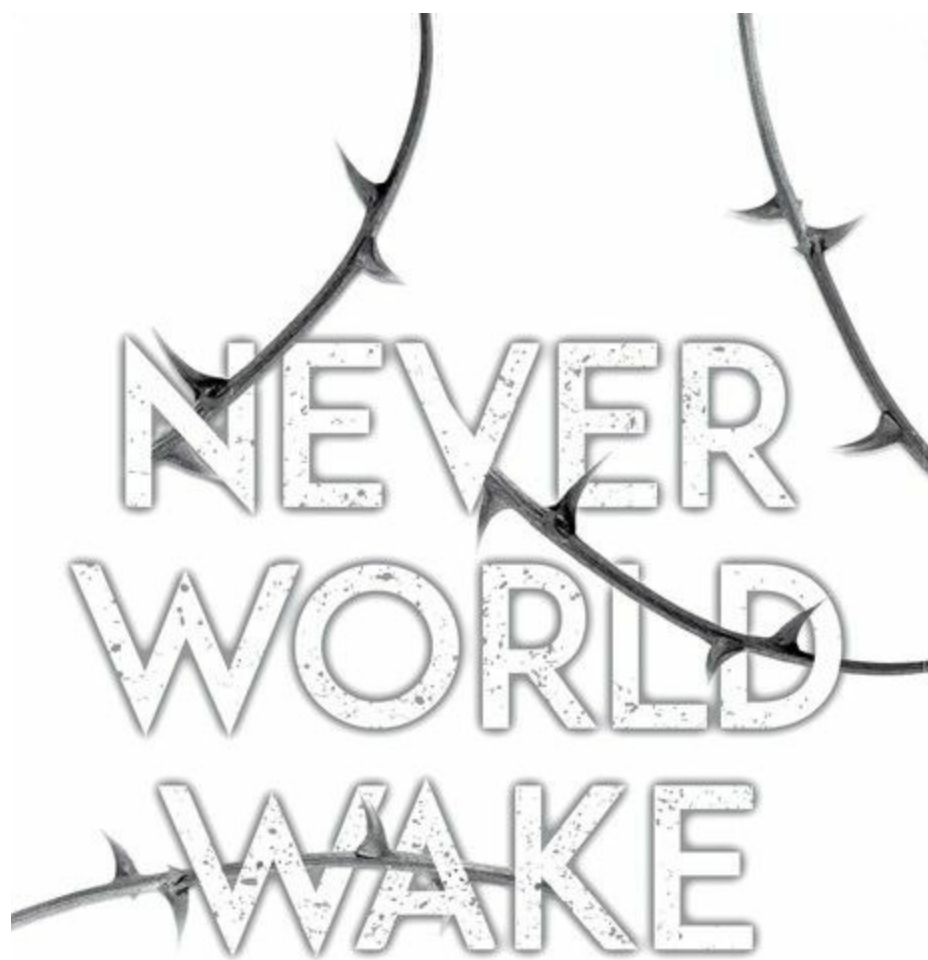


PIĘCIORO PRZYJACIÓŁ.
TYLKO JEDNO Z NICH MOŻE PRZETRWAĆ...

NEVER WORLD WAKE

KOGO BYŚ WYBRAŁ?

MARISHA PESSL

The title 'NEVER WORLD WAKE' is rendered in a large, white, distressed, sans-serif font. The letters have a grainy, weathered texture. The text is overlaid on a graphic of dark, twisted barbed wire with sharp thorns. The wire strands are positioned behind and around the letters, creating a sense of entanglement and restriction.

NEVER WORLD WAKE

MARISHA PESSL

Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: Neverworld Wake

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright © 2018 by Wonderline Productions LLC

Cover illustration reproduced by permission of Scholastic Ltd.

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-774-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat:jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część 1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Część 2

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Część 3

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Podziękowania

O autorce

Przypisy

Dla Davida

Czasem brakuje odpowiedzi,
czasem znajdujesz miłość,
czasem ciemność ma zęby,
czasem kryje w sobie gołębie.
Jedyna pewna rzecz, jakiej możesz się spodziewać
na krętej ścieżce życia: zaniemówisz.
Co wtedy? Zapytaj kogoś, kto wie.

J. C. Gossamer Madwick,
The Dark House at Elsewhere Bend

CZĘŚĆ 1

ROZDZIAŁ 1

Nie miałam kontaktu z Whitley Lansing – ani z pozostałymi – przez ponad rok.

Wiadomość od niej przysłała podczas egzaminu końcowego i wydała mi się nieunikniona, jak kometa przecinająca nocne niebo, zapowiedź nadchodzących wydarzeń.

Za długo. WTF. #niefajnie. Sorry, to znowu mój Tourette. Jak twój pierwszy rok? Wspaniały? Tragiczny?

Poważnie. Tęsknimy.

Przerywam milczenie, bo całą ekipą ruszamy do Wincroft z okazji moich urodzin. Linda będzie na Majorce, a ESS Burt bierze swój trzeci ślub w St. Bart (joginka weganka). Chata wolna na cały weekend. Jak w zeszłym roku.

Możesz przyjechać? Co ty na to, B?

Carpe noctem.

Chwytaj noc.

Whitley była jedyną znaną mi dziewczyną, która patrzyła na wszystkich z góry jak modelka ubrana w skórę od Diora i nawijała po łacinie, jakby był to jej język ojczysty.

– Jak egzamin? – spytała mama, kiedy wsiadłam do samochodu.

– Pomyliłam Sokratesa z Platonem i nie wyrobiłam się z esejem – odparłam, zapinając pas.

– Na pewno świetnie ci poszło. – Uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie bacznie. – Mamy coś jeszcze do załatwienia?

Pokręciłam głową.

Z pomocą taty opróżniłam już pokój w akademiku. Zniosłam podręczniki do zrzeszenia studentów, żeby dostać trzydziestoprocentową zniżkę na przyszły rok. Pokój dzieliłam z dziewczyną z New Haven o imieniu Casey, która na każdy weekend wyjeżdżała do domu, żeby spotkać się z chłopakiem. Prawie jej nie widywałam.

Zakończenie pierwszego roku studiów w Emerson College nadeszło

i minęło w obojętnej ciszy zwykle zarezerwowanej dla ostatecznej wyprzedaży z okazji likwidacji sklepu.

– Coś wisi w powietrzu – powiedziała by Jim.

Nie miałam żadnych planów na lato, wiedziałam tylko tyle, że będę pomagać rodzicom we Wronie Kapitana.

Wrona Kapitana – zwana przez miejscowych po prostu Wroną – to nadmorska kawiarnia i lodziarnia, którą prowadzi moja rodzina w Watch Hill na Rhode Island, niewielkiej miejscowości, w której dorastałam.

Watch Hill na Rhode Island. Liczba mieszkańców: wszyscy znają wszystkich.

Mój pradziadek Burn Hartley otworzył lodziarnię w 1885. Watch Hill było wówczas niewielką osadą na wybrzeżu, zamieszkaną przez wielorybników, którzy czasem wpadali do domu, by spędzić nieco czasu na suchym lądzie, po raz pierwszy wziąć na ręce najmłodsze dziecko i zaraz znowu wyruszyć na niezmiernie przestworza Atlantyku. Wiszący nad wejściem portret Burna przedstawia człowieka o gniewnym spojrzeniu szaleńca, godnym genialnego pisarza czy podróżnika, który nie wrócił z ostatniej wyprawy do Arktyki. W rzeczywistości jednak Burn ledwo umiał czytać i zdecydowanie wolał znajome twarze od obcych, a także suchy ląd od morza. Spędził życie prowadząc naszą nadmorską restauracyjkę i doskonalił przepis na najlepszą na świecie zupę z owoców morza.

Przez całe lato nakładałam lody opalonym nastolatkom w klapkach i pastelowych bluzach. Zjawiali się dużymi rozproszonymi grupami, jak ławice ryb. Robiłam cheeseburgery i zapiekane kanapki z tuńczykiem, sałatkę coleslaw i mleczne shake'i. Zmiatałam piach z podłogi w biało-czarne kwadraty. Wyrzucałam serwetki, opakowania po keczupie, opakowania po soli, papierowe bransoletki, kubki po napojach, broszury firm oferujących wyprawy wędkarskie. Zbierałam zgubione telefony i stawiałam je przy kasie, by bez trudu odnalazł je spanikowany właściciel (*Zgubiłem... O... dzięki, jesteś genialna!*). Zbierałam też przedarte niebieskie bilety na karuzelę wybudowaną w 1893 i stojącą niedaleko od nas, na której zamiast na koniach jeździło się na spleśniałych syrenkach bez twarzy. Największą dumą naszego miasteczka była fotografia przedstawiająca Eleonor Roosevelt siedzącą bokiem na rudej syrence z turkusowym ogonem (miejscowi komentowali z rozbawieniem, że ma na tym zdjęciu obrażoną i nieswoją minę i wygląda jak żywcem pogrzebana pod zwojami gigantycznej marszczonej spódnicy).

Myłam śmietniczki umazane sosem barbecue, ścierałam stopioną Rupieciarnię ze stolików (Rupieciarnia był to ulubiony smak lodów wszystkich dzieciaków, mieszanka surowego ciasta, orzechów włoskich i czekoladek z nadzieniem toffi). Myłam okna, blaty i klamki. Wycierałam muszle i małże, polerując każdą sztukę z osobna jak jubiler obsesyjnie czyszczący szmaragdy. Przeważnie wstawałam o piątej, po czym wraz z tatą udawałam się do portu, by kupić owoce morza prosto z łodzi rybackich. Uważnie oglądałam krabie nogi i przywry, ostrygi i okonie, przeciągałam dłonią po ruszających się kończynach i szczypcach, pąklach i połyskliwych brzuchach. Układałam słowa piosenek służących za ścieżkę dźwiękową do nieistniejącego filmu pod tytułem *Lola Anderson i rozbój w biały dzień*, zapisywałam słowa i rymy, rysowałam twarze i dłonie na serwetkach i na menu z jedzeniem na wynos, a potem wrzucałam wszystko do kosza na śmieci, zanim ktoś zauważył. Chodziłam na terapię grupową dla pogrążonych w żałobie nastolatków w domu kultury w North Stonington. Prócz mnie był tam jeszcze tylko jeden cichy chłopak, niejaki Turks, którego tata zmarł na stwardnienie zanikowe boczne. Po dwóch spotkaniach więcej się nie zjawił i zostałam sama z terapeutką, nerwową kobietą o imieniu Deb, która nosiła damskie garnitury i dzierżyła w dłoni gruby na osiem centymetrów egzemplarz książki pod tytułem *Terapia żałoby u nastolatków*.

– Celem tego ćwiczenia jest skonstruowanie pozytywnych znaczeń wokół utraconego związku – przeczytała z rozdziału siódmego i wręczyła mi arkusz z nagłówkiem: *List pożegnalny*. – Napisz na tej kartce list do utraconej ukochanej osoby, wymieniając najdroższe wspomnienia, nadzieje i ostateczne pytania.

Rzuciła na mój stół długopis z logo hotelowym z Tabeego Island i wyszła. Słyszałam, jak rozmawia na korytarzu przez telefon, kłóci się z jakimś Barrym i pyta, czemu nie wrócił na noc do domu.

Narysowałam na kartce wrzeszczącego jastrzębia i napisałam tekst piosenki do nieistniejącego japońskiego anime o zapomnianej myśli, zatytułowanego *Zagubiona w głowie*.

A potem wymknęłam się wyjściem ewakuacyjnym i więcej nie wróciłam.

Uczyłam Sennego Sama (wiecznie ziewającego nastolatka z Anglii, który przyjechał z wizytą do amerykańskiego taty), jak się przyrządza smażone w głębokim tłuszczu wytrawne ciastka z owocami morza i idealnie grillowany ser. *Przypiecz na średnim ogniu, dodaj masła, cztery minuty po*

każdej stronie, sześć plasterków ostrego vermonckiego cheddara, dwa fontiny. Zaprosił mnie na imprezę czwartego lipca do kolegi kolegi. Ku jego niepomiernemu zaskoczeniu nawet się zjawiłam. Stałam przy podłogowej lampie z ciepłym piwem w ręku, słuchając rozmów na temat lekcji gitary i Zacha Galifianakisa, tego komika, czekając na odpowiedni moment do ucieczki.

– A to, tak przy okazji, jest Bee – powiedział Senny Sam. – Ona mówi, przysięgam.

Nie powiedziałam nikomu o wiadomości od Whitley, ale pamiętałam o niej przez cały czas.

—

Miałam taką sukienkę, stanowczo zbyt ekstrawagancką, której nigdy nawet nie wyjęłam z torby. Wcisnęłam ją na tył szafy, zawiniętą w bibułę, razem z paragonem i metkami, bo zamierzałam ją oddać.

Istniała jednak nikła możliwość, że kiedyś zbiorę się na odwagę i ją włożę.

Pamiętałam datę urodzin Whitley jak swoich własnych: trzydziestego sierpnia.

W tym roku ta data wypadła w piątek. Głównym wydarzeniem dnia było pojawienie się bezpańskiego psa na głównej ulicy. Nie miał obroży z danymi właściciela, miał za to zaszczute spojrzenie jeńca wojennego. Był siwy i kudłaty, i panikował przy próbach głaskania. Na dźwięk klaksonu zwał za śmietniki stojące na tyłach naszej knajpki.

– Widzieliście to żółte błoto na tylnych łapach? Pochodzi z zachodniego brzegu Nickybogg Creek – oznajmił oficer Locke, zachwycony pierwszą zagadką kryminalną, jaka trafiła mu się od początku roku.

Bezpański pies stanowił temat rozmów przez cały piątek: co z nim zrobić, skąd przyszedł – a ja dopiero dużo później zauważyłam, że wracam myślami do tego psa, który zjawił się w naszym miasteczku nie wiadomo skąd. Zastanawiałam się, czy stanowił coś w rodzaju znaku, ostrzeżenia, że wkrótce wydarzy się coś strasznego, a ja nie powinnam wybierać cieszącej się złą sławą i tajemniczej Mało Uczęszczanej Drogi, tylko tę szeroką, znaną i jasno oświetloną.

Ale wtedy było już za późno. Słońce zaszło. Senny Sam poszedł do domu. Ustawiłam odwrócone krzesła na stołach. Wyniosłam śmieci. Zresztą to

pozostawało w sprzeczności z ludzką naturą. Jeszcze nikt nigdy nie zauważył ostrzegawczego znaku, nim nie było za późno.

Rodzice założyli, że zgodnie z piątkową tradycją pojedę z nimi do kina Dreamland w Westerly i razem obejrzymy maraton zwariowanych klasycznych komedii romantycznych.

– Właściwie to mam plany na wieczór – powiedziałam.

Tata był zachwycony.

– Naprawdę, Bee? To wspaniale.

– Jadę do Wincroft.

Zapadła cisza. Mama obróciła w drzwiach tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, odwróciła się, mocniej owijając się swetrem, cała drżąca, chociaż było ze dwadzieścia cztery stopnie.

– Kiedy to zaplanowałaś? – zapytała.

– Niedawno. Będę uważać. Wrócę przed północą. Spotykają się z okazji urodzin Whitley. Myślę, że dobrze mi zrobi, jeśli się z nimi zobaczę.

– To daleko – zauważył tata.

Mama miała taką minę, jakby właśnie usłyszała, że lekarze dają mi sześć tygodni życia. Czasem, w chwilach wielkiego zdenerwowania, żuła nieistniejącą gumę. Właśnie w tej chwili też to robiła.

– Częścią procesu żałoby jest konfrontacja z przeszłością – powiedziałam.

– Nie o to chodzi. Ja...

– W porządku, Victorio. – Tata położył dłoń na jej ramieniu.

– Ale doktor Quentin powiedział, że nie powinnaś narażać się na stresujące sytuacje, które...

– Ustaliliśmy, że doktor Quentin to idiota – odparłam.

– Zgadza się, doktor Quentin to idiota – zgodził się tata, ze smutkiem kiwając głową. – Fakt, że jego nazwisko stanowi połowę nazwy więzienia stanowego powinien był zapalić czerwoną lampkę.

– Wiecie, że nie lubię, kiedy przypuszczacie na mnie zmasowany atak – powiedziała mama.

Nagle do drzwi zaczął się dobijać jakiś zarumieniony turysta w szortach, zapewne po zbyt wielu mocnych w pubie u O'Malligana.

– Zamknięte – warknęła mama.

I oto jechałam starym zielonym Dodgem RAM taty, z tłumikiem cierpiącym na rozedmę płuc, pokonując odcinek ponad siedemdziesięciu kilometrów na północ wzdłuż wybrzeża Rhode Island.

Wincroft.

Ta nazwa brzmiała jak wyjęta z powieści pełnej duchów, szaleńców i wyjącego wichru. Posiadłość składała się z licznych budynków z czerwonej cegły, wieżyczek, ogrodów i gargulców w kształcie wron. Wzniósł ją w latach trzydziestych dwudziestego wieku Wielki Biały Myśliwy, który zapewne miał za przyjaciół Hemingwaya i Lawrence'a z Arabii. Zjeździł świat, przy okazji zabijając różne piękne zwierzęta, a w Wincroft, swej nadmorskiej posiadłości, spędził w ciągu sześćdziesięciu lat w sumie może kilka tygodni. Dziwaczny drugi eksojczym Whitley, Burt – powszechnie znany jako E.S.S. Burt – kupił ją w latach osiemdziesiątych na licytacji i kazał odnowić wnętrza w niefortunnym stylu, który Whitley określała mianem *gdyby Madonna obrzygała Cyndi Lauper*.

Mimo przeprowadzonych prac, po otwarciu szuflady na strychu czy zatechłego kufra podróżnego, nadal można było znaleźć fotografie przedstawiające panów dumnie dzierżących strzelby i ubranych w lisie skóry czy trafić na dziwne okazy wypchanych zwierząt – fretkę, egzotyczną ropuchę bądź niezidentyfikowanego gryzonia. Dzięki temu każda wizyta w Wincroft miała tajemniczy posmak wyprawy archeologicznej, jakby gdzieś wokół nas, między tymi podłogami, ścianami i sufitem, czekała na odkrycie zaginiona cywilizacja.

– Pokaż mi swoje graty, a powiem ci, kim jesteś – zawyrokował kiedyś Jim, wyciągając wypchaną jaszczurkę z pudełka po butach.

Droga, w którą zjeżdżało się z autostrady, wiała się i kręciła, jakby chciała wywołać u podróżnych poważne zawroty głowy. Wybrzeże Rhode Island – ale nie mówię o spiętej i formalnej części wokół Newport, gdzie wznosiły się sztywne klify, a gigantyczne posiadłości patrzyły z góry na maleńkie łódki i jachty rozsypane na wodach portu niczym ziarnka soli, nie, mam na myśli całą resztę – było dzikie i nieogarnięte, wyluzowane i spalone słońcem. Jak stary bezdomny włóczęga zbierający wszystko, co morze wyrzuci na brzeg, ubrany w spłowiały T-shirt i nie pamiętający, gdzie spał poprzedniej nocy. Rosły tu szorstkie, mizerne trawy, drogi były słone i popękane, tu i tam obrośnięte obłazącymi z farby znakami drogowymi i zepsutą sygnalizacją. Mosty dzielnie wygrzebywały się z trzęsawisk, by wkrótce paść

z wyczerpania po drugiej stronie drogi.

Nadal miałam dawne numery telefonów, ale nie chciałam dzwonić. Nawet nie wiedziałam, czy ich zastanę. Minęło kilka miesięcy, mogli zmienić plany. Może zapukam do drzwi i otworzy mi nie Whitley, tylko jej drugi eksojczym Burt, E.S.S. Burt o zbyt długich, siwych, kręconych włosach, Burt, który milion lat temu napisał nominowaną do Oscara piosenkę do tragicznej miłosnej historii z Ryanem O'Neillem w jednej z głównych ról. A może będą tam wszyscy. Może chciałam zobaczyć ich miny, których nie zdążyli przećwiczyć.

Ale, skoro nikt nie wiedział o moim przyjeździe, jeszcze nie było za późno, żeby zawrócić. Wciąż miałam możliwość dołączyć do rodziców w kinie Dreamland i obejrzeć *Dziewczynę Piętaszek*, a potem iść do Shakedown na ciastka krabowe i ostrygi, przywitać się z Artiem, właścicielem, udawać, że nie słyszałam, jak szeptał do taty, kiedy poszłam do łazienki: *Bee wyszła z tego*, jakbym była rannym koniem wyścigowym, którego postanowili jednak nie usypiać. Nie winiłam Artiego. Ludzie zwykle tak reagowali, kiedy dowiadywali się, co się stało: Jim, mój chłopak, zmarł w ostatniej klasie liceum.

Nagła Śmierć Miłości Twojego Życia nie powinna się zdarzać, kiedy masz kilkanaście lat. A jeśli już, to najlepiej, gdyby nastąpiła w wyniku jednego z Trzech Najważniejszych Zrozumiałych Powodów Śmierci w Młodym Wieku: A. wypadku samochodowego B. raka C. samobójstwa. Dzięki temu, kiedy już wybierzesz odpowiednią opcję, najbliższy dorosły będzie mógł czym prędzej przekierować twoją uwagę na stosownie dobrane filmy (w większości z Timothyem Huttonem) i poradniki, które pomogą ci Uporać się ze Stratą.

Ale kiedy śmierć twojego chłopaka pozostaje zagadką, a ty bez końca gapisz się w czarną dziurę poczucia winy i niewiadomego?

Na całym świecie nie ma filmu ani poradnika, który mógłby ci pomóc w takiej sytuacji.

No, może *Egzorcysta*.

Nie zrobię wielkiego wejścia, moi przyjaciele przyjadą do Wincroft, a potem odjadą i tyle. To będzie ostatni ruch, który popchnie tę starą zabawkę-żaglówkę z mojego dzieciństwa, zdecydowany ruch, po którym łódka wreszcie wypłynie na środek jeziora, daleko od brzegu, już na zawsze nieosiągalna.

Ale wtedy nigdy nie dowiem się prawdy o Jimie.

Jechałam dalej.

Wijąca się droga jakby popędzała mnie do przodu, po bokach migały żółte buki, most, niespodziewany, zapierający dech w piersiach widok zatoki, w której tłoczyły się białe żagłówki niczym stado jednorożców na polanie. Nie mogłam uwierzyć, jak doskonale pamiętam trasę: w lewo koło Exxon, w prawo na Elm, w prawo za znakiem stopu, gdzie igrało się ze Śmiercią, wzdłuż zniszczonych przyczep z praniem rozwieszonym na sznurkach i sflaczałymi oponami na podwórku. Potem drzewa ustępowały najpiękniejszemu na świecie pocałunkowi nieba i morza, który o zmierzchu zawsze znaczyły pasma pomarańcza i różu.

I już. Brama z giętego żelaza ozdobiona wielkim W.

Była otwarta. Lampy się paliły.

Skręcałam, przyspieszyłam, gałęzie dębów przefrunęły obok jak wstążki uwolnione z warkocza, wiatr zaszumiał przez otwarte okna. Kolejny zakręt i zobaczyłam posiadłość, złociste, pełne życia okna, ciężkie bryły z czerwonej cegły i łupkowych dachówek, gargulce w kształcie wron przycupnięte na dachu.

Zatrzymałam samochód obok czterech innych, stojących w równym rzędzie, i o mało nie wybuchnęłam śmiechem. Nie rozpoznałam żadnego z nich – nie licząc hondy accord należącej do Marthy, z naklejką *zatrąb na cześć teorii względności*. Gdyby ktoś pytał, bez trudu potrafiłabym dopasować pozostałe samochody do właścicieli.

Przez ten czas bardzo się zmieniłam. Sądząc na podstawie samochodów, oni nie.

Sprawdziłam swoje odbicie we wstecznym lusterku i ogarnęła mnie zgroza: potargany kucyk, spierzchnięte wargi, błyszczące czoło. Wyglądałam, jakbym właśnie przebiegła maraton i dotarła na metę ostatnia. Wytarłam twarz papierowym ręcznikiem, który tata zawsze wozi w kieszeni na drzwiczkach, poszczypałam policzki, zatknęłam niesforne brązowe kosmyki za uszy. Wbiegłam po schodach i zastukałam mosiężną kołatką w kształcie lwa.

Nic się nie wydarzyło.

Wcisnęłam dzwonek, raz, dwa, trzy razy, jednym obłąkanym ruchem, bo wiedziałam, że jeśli się zawaham, to stracę grunt pod nogami. Utonę, jak zgubiony but schwytyany w pułapkę na homary, opadnę prosto na dno morza.

Drzwi się otworzyły.

Stał w nich Kipling. Miał na sobie różową, sięgającą do żuchwy perukę, niebieską koszulkę polo, bermudy, klapki. Był bardzo mocno opalony. Żuł czerwone mieszadełko do drinków – które wypadło, kiedy mnie zobaczył.

– A niech mnie – powiedział ze swoim charakterystycznym południowym akcentem.

ROZDZIAŁ 2

W prawdziwym życiu wielkie wejścia się nie zdarzają. Nie takie, jak człowiek by sobie życzył.

A życzyłby sobie czegoś między sceną z kolumbijskiej opery mydlanej (wrzaski, obłęd na twarzy, smugi z tuszu do rzęs) a Meryl Streep odbierającą Oscara (skrzący dowcipem dialog, uściski, wszyscy śpiewają, łącząc głosy w idealnej harmonii).

Ale w prawdziwym życiu jest dziwnie i niezręcznie.

Moje nagłe pojawienie się w Wincroft przypominało źle wycelowaną torpedę. Chybiłam i teraz dryfowałam, gotowa wybuchnąć, ale pozbawiona celu. Stojąc w holu pod wielkim żyrandolem, ubrana w spodenki z obciętych dżinsów, trampki, poplamiony lodami T-shirt naprzeciwko nich, prosto spod prysznicza i odstawionych, poczułam się idiotycznie. Już wiedziałam, że nie powinnam była przyjeżdżać.

Wybierali się na wyprzedany koncert kapeli punkowej w Newport, w klubie Able Seaman – nadmorskiej spelunie, gdzie spędziliśmy niejednen weekend w ostatniej klasie liceum, posługując się fałszywymi dowodami. Tak więc witali się ze mną, ale jednocześnie szykowali do wyjścia. Atmosfera była lekko nerwowa, a dialogi słabe.

Kip uściskał mnie, po czym uprzejmie zmierzył wzrokiem, jakby był zwiedzającym w muzeum, a ja małym rozczarującym obrazem, o którym przewodnik nawija do znudzenia.

Potem podbiegła do mnie Whitley.

– O rany, Beatrice. – Cmoknęła mnie w powietrze. – Naprawdę przyjechałaś. Wow.

Wyglądała jeszcze bardziej oszłamiająco niż zapamiętałam: sięgające do ud dżinsowe botki na cienkich szpilach, za duża bluza z cekinowymi ustami z przodu, spodenki wykończone czarnymi frędzlami, perfumy o zapachu gardenii i skóry. Jakby wyskoczyła z reklamy w kolorowym magazynie. Nie mogłam uwierzyć, że kiedyś była moją najlepszą przyjaciółką. Tyle razy siedziałyśmy wieczorami – nielegalnie, po zamknięciu – w budynku szkoły Darrow-Harker w Warwick, upstrzone maścią na pryszczę, w grubych

welnianych skarpetkach. Mówiłam jej o rzeczach, których nie powiedziałam nikomu innemu. Teraz tamte obrazy wydawały się sceną wyciętą z innego filmu.

– Co słyhać, Bee? – zapytała, ściskając moje dłonie.

– W porządku.

– Ale niespodzianka. To znaczy, mogłam... o rany, trzeba zabrać poduszki z patio. Chyba ma padać, prawda?

I pobiegła, kołyszając długimi blond włosami.

– Kip miał rację! – krzyknęła, znikając w kuchni. – Powiedział, że któregoś dnia zjawisz się niespodziewanie jak postać z filmu z, ja wiem, Jake’iem Gyllenhaalem, niby dawno uznana za zmarłą, ale powiedzieliśmy, że chyba zwariował. Sądziłam, że wolisz umrzeć niż jeszcze się z nami spotkać. Teraz wiszę mu, eee, pięćdziesiąt dolarów...

– Sto – wtrącił Kip, unosząc palec. – I nie próbuj się wykręcać. Unikanie spłaty długów to jedna z twoich najgorszych cech, Lansing.

– Co? Zaraz, czekaj. Musimy dać Gandalfowi prozac, inaczej wszystko zasika.

– Gandalf ma depresję – wyjaśnił Kip, afektowanie kiwając głową. – Cierpi też na rozszczepienie jaźni. To owczarek niemiecki, któremu wydaje się, że jest małym kanapowym pieskiem.

– Znam Gandalfa – przypomniałam nieśmiało.

– *Beatrice*.

Cannon zbiegł po schodach na bosaka, trzymając w ręku pumy. Na dole zatrzymał się i zmierzył mnie wzrokiem z ciepłym uśmiechem.

– Niesamowite. Siostra Bee we własnej osobie. Co u Boga?

– Zabawne.

On też się zmienił. Nadal nosił nieodłączną szarą bluzę hakera, ale już nie był to stary worek obsypany przyprawami z chipsów po dwóch tygodniach spędzonych w arktycznej podziemnej sali komputerowej. Obecna wersja była uszyta z kaszmiru. Cannon stał się sławą po tym, jak w drugiej klasie odkrył błąd w systemie OS X: kiedy przypadkowo wcisnęło się pewne określone klawisze, obraz na ekranie nieruchomiał i zmieniał się w surrealistyczną zimową scenerię – tapetę Apple’a przedstawiającą błękitne zamarzniete jezioro. Ochrzcili ten błąd Kłatką dla Ptaków i wkrótce o Cannonie pisano na setkach blogów dotyczących tematyki komputerowej. Z tego co słyszałam, studiował informatykę na uniwersytecie w Stanford.

Podbiegł i mnie uściskał. Pachniał jak ekskluzywna pasta do podłogi.

– Jak studia? Jak rodzice? Nadal prowadzą tę małą lodziarnię?

– Aha.

Popatrzył na mnie głębokim, nieodgadnionym wzrokiem.

– Uwielbiam to miejsce.

– Hej, Bee – zawołał dostojny głos.

Odwróciłam się. To była Martha, mrugała do mnie zza swoich grubych okularów godnych szalonego naukowca, które nadawały jej sławetne wszyszkowidzące spojrzenie teleobiektywu. Porzuciła bojówki i kraciaste koszule na rzecz porwanych czarnych dżinsów i oversize’owego T-shirtu głoszącego coś po niemiecku. TORSCHLUSSPANIK. Poza tym ufarbowała cienkie brązowe włosy na jaskrawoniebieski.

– Cześć – powiedziałam.

– To niesamowite, w ogóle się nie zmieniłaś – stwierdził Kip. Jego uśmiech wyglądał jak maleńki guzik na eleganckiej tapicerce. – Zamroziłaś się w jakimś kriogenicznym eksperymencie? To nie w porządku, dziecko. Ja już mam kurze łapki i podagrę.

Wróciła Whitley. Unikając kontaktu wzrokowego, chwyciła beżową torebkę od Chanel.

– Chyba idziesz z nami, co? – zapytała, wsuwając stopy w balerinki od Lanvin.

Nie wydawała się nawet trochę zachwycona tym pomysłem.

– Właściwie...

– No jasne, że idziesz – wtrącił Cannon, obejmując mnie ramieniem. – Załatwię ci bilet. Coś się wymyśli.

– *Laissez les bons temps rouler* – powiedział Kip, wznosząc toast.

Wyszliśmy. Zapadła cisza wielkości Teksasu, zakłócana tylko odgłosem naszych kroków na chodniku i szumem wiatru potrząsającego koronami drzew. Serce waliło mi jak młotem, twarz miałam czerwoną. Najbardziej na świecie pragnęłam wskoczyć do swojego pikapa i odjechać z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, udając, że nasze spotkanie w ogóle się nie wydarzyło.

– Pojedziemy dwoma samochodami? – spytała Martha.

– Jest nas tylko pięcioro – odparła Whitley. – Zmieścimy się wszyscy w moim.

– Obiecujesz, dziecko, że przynajmniej raz spojrzysz w lusterko wsteczne?

– poprosił Kip.

– Jesteś przezabawny.

Wcisnęliśmy się do jej jaguara kabrioletu w kolorze myśliwskiej zieleni. Whitley z surową miną – oznaczającą, jak pamiętam, zdenerwowanie – wcisnęła kilka przycisków na pulpicie sterowniczym. Silnik elegancko odkaszlnął, a dach rozjechał się jak jajo, z którego właśnie wykluwa się pisklak. Po chwili ruszyliśmy. Whitley przyspieszyła jak wytrawny kierowca wyścigowy, gwałtownie skręciła na trawnik, przebiła się przez rododendrony. Siedziałam z tyłu między Kipem a Martha i starałam się nie przytulać za bardzo do żadnego z nich.

Kip rzucił różową perukę w powietrze.

– Achchchchch! – wykrzyknął z głową odchyłoną do tyłu. Peruka wylądowała na podjeździe. – Po długiej przerwie kapela znowu w komplecie! Nigdy więcej się nie rozpadajmy! Pojedźmy w światową trasę!

A co z wokalistą? – pomyślałam mimo woli, spoglądając na Kipa.

Czyżbyś zapomniał o Jimie?

—

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, grał już pierwszy zespół. Nie było czasu na rozmowy. Przedzieraliśmy się nerwowo przez gęsty tłum czekający przed klubem. Whitley poszła do bramkarza, Martha od razu weszła do środka, żeby zająć stolik, a Cannon krążył wokół, przepytując gości z fryzurą rekruta i piwnym oddechem, czy nie mają biletu na zbyciu. Zostałam sama, przyciśnięta bez celu do barierki.

– Wchodźcie beze mnie! – krzyknęłam, kiedy obok mnie wyrósł Kip.

– Cisza. – Wziął mnie pod ramię. – Skoro wreszcie cię odnaleźliśmy, to już nie puścimy. Jestem twoją pąklą, dziecko. Pogódź się z tym.

Zaśmiałam się. To przypominało początek pierwszej normalnej rozmowy tego wieczoru.

Zawsze byłam blisko z Kiplingiem. Wysoki i tyczkowaty, o rdzawych włosach i „twarzy dżentelmena z dawnej epoki” – jak sam siebie określał – był najzabawniejszą znaną mi osobą. Dziwny i ekscentryczny, jak uszkodzony talizman znaleziony na zakurzonej półce w sklepie z antykami, przywodzący na myśl wstrząsające historie i łut szczęścia. Był gejem, chociaż twierdził, że od seksu bardziej interesują go dobrze opowiedziane

historie, szkołę traktował raczej jak coś w rodzaju eleganckiego klubu towarzyskiego niż instytucję, w której z założenia człowiek ma się czegoś nauczyć. Wspólna nauka w bibliotece oznaczała ciągłe przerwy na kolejne anegdotki i uwagi na temat życia, znajomych i hord barwnych postaci zamieszkujących jego niewielkie rodzinne miasteczko Moss Bluff w Luizjanie – jakbyśmy wcale nie tkwili w dusznym bibliotecznym boksie, zestresowani wizją zbliżających się egzaminów, tylko siedzieli rozparci na ganku, przeganiając muchy. Był równie bogaty jak reszta (*kasa ze zlikwidowanego domu towarowego*), ale miał za sobą dzieciństwo, które określał mianem zrujnowanego, a to za sprawą przerażającej mamusi zwanej Mamą Greer.

Właściwie niewiele na jej temat wiedzieliśmy, nie licząc garści szczegółów, które Kipling rzucał czasem w powietrze bez ostrzeżenia, jak confetti. Kiedy był bardzo mały, zamykała go samego na całe dni w pokoju numer dwa w motelu Royal Sonata (*na parterze przy automatach, żeby mogła się wymknąć bez płacenia*), do jedzenia zostawiając mu tylko paczkę ciastek, a do towarzystwa Deltę Burke sprzedającą bransoletki na kanale zakupowym. Jej nieodpowiedzialne zachowanie doprowadziło do tego, że któregoś dnia pitbull przyczepiony na łańcuchu z tyłu budynku zaatakował pięcioletniego Kiplinga i pozbawił go trzech palców u lewej dłoni oraz zostawił „bliznę jak po miniaturowym rekinie” na jego podbródku, z którą Kipling obnosił się teraz jak z medalem.

– Mówcie na mnie Fantom z Opery – powtarzał, radośnie machając uszkodzoną dłonią przed czyjąś twarzą. Kiedy sąd wreszcie odebrał matce Kipa prawa rodzicielskie i oddał go pod opiekę niedołącznej ciotce, Kip notorycznie uciekał do Mamy Greer.

Słyszałam, że trafiła do szpitala psychiatrycznego w Baton Rouge.

Chciałam zapytać, jak minął mu ten rok, ale w tym momencie Whitley w charakterystycznym dla niej stylu podeszła do mnie, bez słowa złapała za nadgarstek i pociągnęła w stronę wejścia. Widocznie jakoś dogadała się z bramkarzem, bo wpuścił mnie bez biletu, przybił pieczętkę na rękę i po chwili siedzieliśmy przy stoliku, patrząc na występ dziewczyny o strąkowatych włosach, udającej Kurta Cobaina.

Dziwne. Perkusista wyglądał jak Jim. Nie wiem, czy inni zauważyli, ale naprawdę wyglądał jak młodszy brat Jima, te same oczy w kolorze mlecznej czekolady, potargane włosy, smętna mina księcia-banity. Panował

ogłuszający hałas, nie dało się rozmawiać, więc tylko gapiliśmy się na zespół, zagubieni na trzęsawiskach własnych myśli.

A może tylko ja się zagubiłam. Może oni wszyscy przez ten rok zebrali na studiach wspólnie doświadczenia, wobec których zbladło to, co przydarzyło nam się w liceum i nawet śmierć Jima zmieniła się w wypłowiały, tysiące razy prany T-shirt.

Kiedyś, w szkole, byli moją rodziną. Pierwszymi prawdziwymi przyjaciółmi w moim życiu, grupą ludzi tak pełnych energii i lojalnych, że nie mogłam wyjść z zachwytu i zdumienia nad własnym szczęściem – jakbym urodziła się w królewskiej dynastii. Tworzyliśmy klub, tajemne stowarzyszenie, na które wszyscy pozostali uczniowie w Darrow patrzyli z zazdrością – a my nawet nie zwracaliśmy na to uwagi. Przyjaźń, jeśli jest głęboka, sprawia, że stajesz się ślepy na resztę świata. Staje się twoim ekskluzywnym klubem o ściśle pilnowanych granicach, niesprawiedliwym rozdziale zielonych kart, bogatej kulturze niezrozumiałej dla osób z zewnątrz. Moje życie przez ostatni rok, który spędziłam odcięta od nich, wygnana z własnej woli, wydawało się tandetne i niestabilne – tymczasowa egzystencja na walizkach, w wynajętych pokojach, na drogach prowadzących nie wiadomo dokąd.

Śmierć Jima była jak trzęsienie ziemi, które pochłonęło całe miasta. Chociaż przez cały ten rok towarzyszyło mi przekonanie, że moi przyjaciele wiedzą na jej temat znacznie więcej, niż chcą powiedzieć, to miałam również świadomość, że z każdym dniem prawda odpływa coraz dalej. Od czasu do czasu zaglądałam na snapchat Whitley i widziałam ich razem. Sprawiali wrażenie takich szczęśliwych, nonszalanckich.

Jakby nic się nie stało.

Ale teraz było widać, że dynamika między nimi się zmieniła.

Kip zawzięcie bębnił uszkodzoną dłońią po blacie. Whitley raz po raz sprawdzała telefon. Martha chyba miała wyjątkowo zły humor, wychylała kolejne szoty, które stawiał barman na naszym stoliku – coś o nazwie Zatonięcie *Generała Granta* i smaku ropy naftowej. Raz przyłapałam ją, jak na mnie patrzy, z lekko oskarżycielską miną. Uśmiechnęłam się, ale natychmiast się odwróciła, jak jedna z tych roślin w dżungli, drżących przy najlżejszym dotyku. Więcej na mnie nie spojrzała. W pewnym momencie Cannon pochylił się i wyszeptał coś do Whitley, zatykając jej włosy za ucho. Czyżby znów byli razem? Ale ten gest wydawał się wynikać raczej

z przyzwyczajenia niż czegokolwiek innego.

Kiedy pierwsza kapela skończyła, chciałam zniknąć. Chciałam wrócić taksówką do Wincroft, wsiąść do pikapa taty i odjechać, nie oglądając się za siebie. Czego się spodziewałam – że prawda będzie na mnie czekała, oczywista jak wielgachne zielsko, które wyrosło między tulipanami, gotowa, żebym ją wyrwała?

Ale zostałam. Zostałam na koncert kolejnej kapeli i jeszcze jednej, która grała po niej. Piłam drinki Moscow Mule, które podsuwała mi Whitley. Nie protestowałam, kiedy Kipling wyciągnął mnie na parkiet, tańczyłam z nim charlestona, a potem foxtrota, pozwoliłam, by obracał mną dokoła, aż wpadałam na luzaków spędzających całe dnie na plaży, grzecznych uczniów z prywatnych liceów i groźnych harlejowców. Wirowaliśmy pod drżącymi lampionami z papieru, pośród plakatów z zatopionymi okrętami.

Jeszcze chwilę – powtarzałam w myślach – *i poruszę temat śmierci Jima.*

Kiedy skończyła grać kolejna kapela, Whitley oznajmiła, że chce wracać do Wincroft, tylko że nikt nie wiedział, gdzie jest Cannon. Znaleźliśmy go w alejce na tyłach klubu, właśnie pomagał dziewczynie, która za dużo wypila i straciła przytomność przy wyjściu ewakuacyjnym.

– Oto dzielny Lancelot – powiedziała Whitley.

Przyklejeni do barierki, patrzyliśmy, jak Cannon krąży dokoła – ze skutecznością lobbyisty przemierzającego Wzgórze Kapitolińskie – odnajdując zagubionych przyjaciół dziewczyny, jej torebkę, sandały i iPhone'a. Zdołał zlokalizować nawet spinkę, którą delikatnie spiął jej włosy z tyłu, żeby już nie musiała na nie rzygać. Świeżo odnalezieni znajomi dziewczyny, równie pijani jak ona, popatrzyli na Cannona z podziwem.

– Stary, ty w ogóle jesteś człowiekiem?

– Masz dziewczynę?

– Kim ty jesteś?

Cannon przeciągnął dłonią po włosach.

– Batmanem.

– No i znowu to samo – westchnęła Whitley.

Cannon nie był przystojny. Miał drobną budowę ciała, mysie włosy i nijakie rysy twarzy. Ale emanował atomową intensywnością, a kiedy dawał jej ujście, wprawiał cały świat w niepomierne zdumienie pomieszane z zachwytem. Poruszał się jak naładowany jon, był skuteczny jak karabin maszynowy. W pierwszej klasie liceum po kilku dniach od rozpoczęcia roku

szkolnego zhakował intranet, by wykazać, że są w nim błędy (i tym samym stał się licealnym guru od technologii). Odnowił podupadły ogród rzeźby i salę treningową. Został przewodniczącym klasy, organizował marsze, maratony, zbiórki na zagrożone gatunki zwierząt i akcje w obronie praw dziewczyn. Cannon sam przyznawał, że jego ekstrawertyczna prospołeczna postawa stanowi rekompensatę za czasy dzieciństwa, które spędził jako młody geek uwielbiający filmy Spielberga, utwory The Cure z lat osiemdziesiątych, Raya Kurzweila, bez przyjaciół, nie licząc będącej tworem wyobraźni muchy o imieniu Pete, która mieszkała we wnętrzu komputera. Cannon był adoptowanym dzieckiem, wychowywała go samotna matka, sędzia sądu okręgowego stanu Kalifornia. Fakt, że zainteresowała się nim Whitley Morrow i wolała go od chłopców z elitarnego klubu, którzy mieli przy nazwisku trójkę rzymską, a na drugie imię Chesterton, mógł sprawiać wrażenie historii o księżniczce, która omyłkowo kończy z pomagierem głównego bohatera, ale w miarę jak człowiek coraz lepiej poznawał Cannona, dochodził do wniosku, że rola księcia jest dla niego stanowczo zbyt trywialna. Cannon był królem – a w każdym razie miał nim zostać w przyszłości. Nie znałam drugiej osoby równie cichej w swoich ambicjach.

– Będziesz ratował jeszcze jakieś damulki w opałach? – zapytała Whitley, kiedy Cannon podszedł do nas, wsadziwszy dziewczynę i jej zataczających się znajomych do ubera.

Wyciągnął ramiona w geście udawanego triumfu.

– Barman chyba cierpi na katar. Ale nie. Moja praca w tym miejscu jest zakończona.

– Dzięki ci, Boże, bo nie zrezygnuję z ośmiu godzin snu dla urody – powiedział Kip i ziewnął.

Zapakowaliśmy się do jaguara.

Niestety, chociaż Whitley raz za razem wciskała różne guziki na desce rozdzielczej, dach nie chciał się zasunąć. Ręcznie też nie.

Cannon zaoferował, że poprowadzi, ale Whitley odmówiła. Zaczęło padać i to tak, że powietrze było teraz bardziej wodą niż powietrzem. Trzydziestopięciominutowa podróż powrotna okazała się koszmarną torturą. Kuliliśmy się na tylnym siedzeniu, pijani i przemarznięci, trzęsąc się pod dziwnym trenczem należącym do E.S.S. Burta. W którymś momencie Martha obrzygała sobie buty. Whitley zaczęła płakać, że nie widzi drogi. Ścięła zakręt, niemal wpadając na ciężarówkę pomocy drogowej.

Kierowca zatrąbił. Whitley gwałtownie przekręciła kierownicę, opony zapisały na asfalcie. Przy wtórze naszych chóralnych okrzyków samochód wypadł z drogi i wylądował w rowie. Kip uderzył głową w fotel. Whitley wyłączyła silnik i zaczęła szlochać i wrzeszczeć, że to wszystko wina Cannona, bo zawsze musi imponować laskom, żeby przez pięć minut pomasować swoje niepewne ego, a my o mało nie zginęliśmy. Zerwała mi z głowy czapkę baseballową i rzuciła ją gdzieś w ciemność. Potem wygramoliła się z samochodu, krzycząc, że znajdzie sobie własny transport do domu, i pobiegła do lasu. Czułam, że ten atak ma coś wspólnego z deszczem i wypadkiem, którego cudem uniknęliśmy – ale również ze mną, z moim niespodziewanym powrotem.

Cannon poszedł za Whitley i po kilku minutach przyprowadził ją z powrotem. Płakała i miała na sobie jego bluzę. Usadził ją na przednim siedzeniu, ostrożnie, jak dzikiego ptaka ze złamanym skrzydłem, szepcząc:

– Wszystko będzie dobrze, Krzykaczu.

I zawiózł nas do domu.

Kiedy całą piątką weszliśmy do środka, pijani i przemoczeni, po raz pierwszy poczułam się wśród nich normalnie. Jak za dawnych czasów. Dzięki losowi za zepsuty dach kabrioletu. Otarliśmy się o śmierć i to wydarzenie przełamało lody. Trzęsąc się i szczękając zębami, ściągaliśmy mokre ciuchy i zostawiliśmy je na podłodze, a Gandalf biegał wokół stosu i skomlał. Whitley zniknęła na górze. Martha na czworakach jęczała przed kominkiem: Nie czuję nóg, a Cannon poszedł do piwniczki na wino, wrócił z czterema butelkami whisky Chivas Regal Royal Salute i napełnił nią kieliszki do szampana. Whitley rzuciła na kanapę wielką górę szlafroków z białego frotte, jak naręcze martwych ciał.

– W życiu tak się nie bałam – zachichotała.

I nagle odezwał się dzwonek do drzwi.

Wszyscy usiedliśmy wyprostowali jak struna, patrząc na siebie ze zdumieniem. Policzyliśmy w myślach. Nikogo nie brakowało.

– Ktoś wzywał pogromców duchów? – wybełkotała Martha.

– Ja pójdę – zgłosił się Cannon. Zasalutował i wyszedł do holu. Wszyscy nasłuchiwaliliśmy w milczeniu. Deszcz bębnił w dach.

Cannon wrócił po minucie.

– To jakiś staruch. Ma ze dwieście lat.

– To Alaistar Totters – stwierdziła Martha.

– Kto? – warknął Cannon.

– Podróżujący w czasie czarny charakter z *Zakrętu* – mruknęła Martha.

– Nie, nie – szepnął radośnie Kip. – To podręcznikowy świr z Alzheimerem, który wyszedł z domu opieki podczas wieczorka tanecznego. I nie wziął leków. Nigdy nie biorą leków.

– Może zaproszę go na drinka? – zaproponował Cannon i puścił złośliwe oczko.

– Nie – zasyczała Whitley. – Tak się zaczynają wszystkie horrory.

– Rozdział trzeci – wymamrotała Martha.

– Hej – powiedział Cannon, mierząc palcem w Wit. – To niezbyt uprzejme. Zaproszę go na...

– NIE!

A potem wszyscy razem rzuciliśmy się biegiem do drzwi, chichocząc i wpadając na siebie, i zawiązując po drodze szlafroki. Po kolei, zderzając się głowami, patrzyliśmy przez wizjer. Każdy chciał zobaczyć niespodziewanego gościa na własne oczy. Sądziłam, że Cannon z nas zażartował, że nikogo tam nie będzie.

Ale był. Starszy mężczyzna.

Wysoki i siwy. Nie mogłam dojrzeć jego twarzy w ciemnościach, zauważyłam tylko, że jest ubrany w ciemny garnitur z krawatem. Pochylił się z uśmiechem, jakby mógł zobaczyć mnie przez drzwi.

Cannon otworzył z ukłonem.

– Dobry wieczór. Czym można służyć?

Nie odpowiedział od razu. Przyglądał nam się metodycznie, każdemu po kolei, uważnie, jakby skądś nas znał.

– Dobry wieczór – powiedział w końcu. Jego głos brzmiał zaskakująco głęboko. – Czy mogę wejść?

Nikt nie odpowiedział. Za bardzo zaskoczył nas tym pytaniem, beczelnym i dziwnym. Stwierdziłam, że wcale nie jest taki stary. Miał zielone świetliste oczy, błyszczące w świetle palącym się nad wejściem.

– A, pewnie mieszka pan obok – powiedziała Whitley, stając obok Cannona. – Bo jeśli chodzi o to, że Burt zostawił swoją żaglówkę przy pana pomoście, to kazał przekazać, że miał problem z kotwicą i próbuje zamówić

holowanie na przyszły tydzień.

– Nie mieszkam obok.

Znów na nas popatrzył, z wyrazem oczekiwania na twarzy.

– Będzie lepiej, jeśli wejdę do środka i wszystko wyjaśnię.

– Proszę powiedzieć tu i teraz – odparł Cannon.

Mężczyzna kiwnął głową, całkowicie nieporuszony. Nagle zauważyłam dwie dziwne rzeczy.

Pierwsza: wyglądał jak nauczyciel muzyki z naszego liceum, pan Joshua. Przez chwilę mój pijany umysł nawet uwierzył, że to jest pan Joshua, że coś strasznego przydarzyło mu się w ciągu tego roku. Spotkała go tragedia i postarzał się o dwadzieścia pięć lat, włosy mu posiwiały, twarz się pomarszczyła. Ale to nie był on. Pan Joshua był drobny, różowy i często się śmiał, a ten mężczyzna był kościsty, o jastrzębiej twarzy, która mogłaby się znaleźć na obcych banknotach czy na pomniku. Mogliby uchodzić za bliźniaków, których rozdzielono tuż po urodzeniu, i którzy mieli zupełnie inne doświadczenia życiowe, pan Joshua dobre, a ten człowiek straszne, co odcisnęło się na jego wyglądzie.

Druga: na podjeździe nie było samochodu, więc kwestia, jakim sposobem dotarł tutaj bez parasola i pozostał idealnie suchy, wydawała się nieco alarmująca, jak słaba woń gazu.

– Wszyscy jesteście martwi – oznajmił.

ROZDZIAŁ 3

– O rany. Musicie mi wybaczyć. Ująłem to niezbyt precyzyjnie.

Mężczyzna zakrył dłońią oczy i pokręcił głową.

– Przesadziłem. Zastosowałem zbyt dramatyczny efekt, jak z opery mydlanej. Przepraszam. Spróbujmy jeszcze raz, dobrze?

Odchrząknął i uśmiechnął się.

– Jesteście niemal martwi. Tkwiecie między życiem a śmiercią. Czas w waszym przypadku zawiesił się, utworzył zakręconą potencjalność noszącą nazwę Pętli w Nieświecie.

Wyraźnie z siebie zadowolony, pokiwał głową i nabrał powietrza.

– Ten fenomen nie dotyczy wyłącznie was. Takie sytuacje wydarzają się jednocześnie w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości na całym świecie, ba, nawet we wszechświecie, znanym i nieznanym, zgniecionym i rozłożonym na nowo. Czas nie porusza się po prostej linii. Zakrzywia się, toczy przez tunele i mosty. Przyspiesza. Zwalnia. Nawet wypada z toru. Cóż. W tym momencie istniejecie w tym, że tak go określe, suple. I na razie w nim pozostaniecie.

Uklonił się jak konferansjer w nędznym obwoźnym cyrku, z pełną wdzięku lekkością i delikatnym znużeniem.

– Jestem Stróżem – dodał. – Nie mam innego imienia. Mój wygląd, zachowanie, ton głosu, sposób chodzenia, twarz, wszystko, co mówię i myślę to suma waszego dotychczasowego życia. Pomyślcie o tym jak o równaniu. Ta chwila łączy w sobie pięć waszych dusz plus zaistniałe okoliczności towarzyszące. Kolejny przykład? Wyobraźcie sobie, że wasze umysły umieszczono w blenderze i włączono go na wysokie obroty. W rezultacie otrzymano smoothie, czyli ten moment. Gdyby był z wami ktoś jeszcze, ten moment wyglądałby nieco inaczej. Ja mówiłbym coś innego. Miałbym inne włosy. Inne dłonie. Inne buty. Może na przykład zwykłe mokasyny zamiast klasycznych eleganckich półbutów. No tak, ale za bardzo odbiegłem od tematu. Okoliczności towarzyszące. Na pewno zastanawiacie się, co rozumiem pod tym terminem. Hm.

Pociągnął nosem i uśmiechnął się.

– W tym momencie wszyscy leżycie w jakimś stopniu martwi na poboczu drogi biegnącej wzdłuż morza. Stało się tak w wyniku zderzenia czołowego z ciężarówką pomocy drogowej, ściśle mówiąc Chevroletem Kodiak, prowadzonym przez niejakiego pana Howarda Heywarda, lat pięćdziesiąt osiem, zamieszkałego pod numerem dwieście osiemdziesiąt jeden na Admiral Road w South Kingstown. Czas zatrzymał się w miejscu. Został uwięziony w ósmej części sekundy jak ćma w słoiku. Istnieje wyjście, rzecz jasna. Istnieje jeden sposób, dzięki któremu ćma może uciec ze słoja, a czas swobodnie popłynąć dalej. Musicie zagłosować w ciągu trzech ostatnich minut każdej pętli. Musicie wybrać jedną osobę spośród was, która przeżyje. Ona jedna wróci do życia, pozostali zaś przejdą w stan prawdziwej śmierci, stan stały i całkowicie nieznany. Decyzja musi być zgodna, tylko jeden głos może różnić się od reszty. Tylko jedna osoba może ocaleć. Nie ma wyjątków. Pytania?

Nikt się nie odzywał.

Jedyne, co mi przyszło do głowy, to że ten człowiek jednak jest stary. I prawdopodobnie pracował kiedyś jako aktor, bo mówił z intonacją przypominającą narratora z westernu z lat pięćdziesiątych z Johnem Wayne w roli głównej, głos miał melodyjny, staroświecki i wytworny. Każde słowo wypowiadał swobodnie, bez wysiłku, jakby wygłaszał tę przemowę już wcześniej wiele razy.

Czekał, aż któreś z nas coś powie.

Kipling zaczął klaskać.

– Brawo.

– Zaraz – wtrąciła Martha, patrząc spode łba na dziwnego intruza. – Czy on sprzedaje Biblie?

– Czego pan od nas chce? – spytał Cannon.

Wzruszył ramionami.

– Ja jestem tylko zwykłym posłańcem. Nie oczekuję wynagrodzenia ani materialnego, ani żadnego innego. I życzę wam powodzenia.

– Powodzenia w czym? – zdziwiła się Whitley.

– W głosowaniu.

– Proszę posłuchać – powiedział Cannon. – To był męczący wieczór. Niech pan w końcu powie, czego od nas chce.

– Zdaje się, że nie nadążacie. Mam to ująć inaczej, byście zrozumieli? W formie scenki? Fiszek? Posłużyć się innym językiem? Włosi lubią

łagodzić wymowę nawet najgorszych wiadomości, Dante w *Piekle* również zastosował ten zabieg. – Odchrząknął. – *Buonasera. Tra la vita e morte, il tempo è diventato congelato...*

– Wystarczy – warknął Cannon. – Wynocha.

Mężczyzna, nieporuszony, uśmiechnął się, ukazując drobne szare zęby.

– Doskonale. Powodzenia życzę. Szerokiej drogi.

Zręcznie zeskoczył ze schodów i ruszył podjazdem. Po chwili rozpląnął się w ciemności. Słuchaliśmy szelestu trawy pod jego krokami.

– Mój mózg właśnie eksplodował – powiedziała Martha.

– W życiu nie widziałem tak fatalnego akwizytora – zawyrokował Kip, kręcąc głową. – Techniki sprzedaży uczył się chyba od Monty Pythona. Jak on nas określił?

– Powiedział, że jesteśmy martwi – wyszeptałam.

– Właśnie. Nikt nigdy mnie tak nie nazwał. Różnie mnie określano, ale nigdy w ten sposób. Brzmi trochę ponuro.

– To jakiś chrześcijański pojeb – zawyrokowała Whitley, zajęta skubaniem paznokcia. – Nie sądzicie? Pewnie należy do sekty. Może zadzwonię na policję? Może jest ich tam więcej. Czają się, a potem włamią się do domu i nas powyrzynają czy coś w tym stylu.

– Jest niegroźny – mruknął Cannon. Wyglądał jednak na wytrąconego z równowagi. Popatrzył na pusty podjazd, nagle chwycił parasol i błyskawicznie wybiegł na zewnątrz, akurat w chwili, gdy wałał kolejny monstualny grzmot, a ulewa jeszcze przybrała na sile. Cannon rozejrzał się dokoła, po czym ruszył w stronę, gdzie przed chwilą zniknął mężczyzna.

Czekaliśmy w napięciu, nic nie mówiąc.

Wrócił minutę później.

– Musiał zawrócić do drogi. Ani śladu.

– Sprawdźmy kamery – zaproponowała Whitley.

Wszyscy ruszyli na dół, do pokoju z centrum monitoringu. Kip i Martha, mrużąc coś o potrzebie „mocnego drinka przed nadciągającą apokalipsą podstarzałych zombie” po drodze zahaczyli o salon.

Ja nie ruszyłam się z miejsca.

Ten człowiek miał w sobie coś irytującego. Cała jego elokwencja, formalny sposób mówienia, akcent – godny spikera wiadomości telewizyjnych skrzyżowanego z kimś, kto spędził rok w Anglii – zdawały się kamuflować głębiej ukryte zamiary. Jakby to, co nam powiedział, stanowiło

jedynie małą cząstkę wielkiego planu.

Wodziłam wzrokiem wzdłuż linii drzew, wypatrując ruchu i jednocześnie walcząc z kołysaniem w głowie.

Nagle ze środka buchnęła muzyka, całkowicie zagłuszając burzę i zmiękczając kontury nocy. Odetchnęłam głęboko, zamknęłam drzwi i zasunęłam zasuwkę. Whitley miała rację. Pewnie po prostu próbował zwerbować nowych członków do swojej sekty.

Minęłam Kipa i Marthę zwiniętych na kanapie obok Gandalfa, wzięłam telefon i wyszłam do holu. Mama odebrała za pierwszym razem.

– Bee? Wszystko w porządku?

Z zaniepokojonego tonu wywnioskowałam, że oboje jeszcze nie śpią: tata czyta jedną z tych ciężkich jak cegła biografii prezydentów, a mama próbuje czytać thriller Jamesa Pattersona, chociaż pewnie tylko prześlizguje wzrokiem po tym samym akapicie cztery czy pięć razy, by wreszcie wyrzucić z siebie: *Nie rozumiem, po co pojechała się z nimi spotkać. Jakby wciąż mieli nad nią jakąś tajemniczą władzę.* Wtedy tata, rzucając jej cierpliwe i znaczące spojrzenie znad okularów, mówi: *Jeśli chce się z nimi spotkać, ma do tego prawo, Victorio. Jest dorosła. I silniejsza niż ci się wydaje.*

Uświadomiłam sobie, że nie wiem, po co dzwonię, prócz tego, że może chciałam usłyszeć jej głos.

– Zrobiło się późno, więc zostaję na noc – oznajmiłam.

– Hm, jesteś od rana potrzebna tacie we Wronie. Senny Sam zadzwonił, że idzie na usunięcie zęba.

– Będę.

Ściszej głos, zapytała:

– A jak tam? Możesz rozmawiać? Wydajesz się zdenerwowana.

– Wszystko w porządku. Kocham cię.

– My ciebie też, Bee. W razie czego możesz na nas liczyć.

Rozłączyłam się i w tej samej chwili pokazali się Whitley i Cannon.

– Nie ma go na nagraniach – powiedział Cannon.

– Zniknął – dodała Whitley.

– Ta noc osiąga rekordy w kategorii dziwności – wybełkotała Martha.

– Czy to nie było przekomiczne, kiedy kazał nazywać się Stróżem? Może jeszcze Aniołem Stróżem? – Kip pokręcił głową. – Wyglądał raczej jak święty Mikołaj rodem ze Wschodniej Europy.

Whitley zmarszczyła nos.

– To było przez lata moje hasło do wszystkiego w internecie. Nie żartuję. Stróż jeden dwa trzy.

W końcu wspólnie doszliśmy do wniosku, że ów mężczyzna był po prostu Jedną z Tych Rzeczy, rozwiązaniem sznurowadłem istnienia. Ale burza szalała dalej, biły błyskawice i grzmiało, a w pewnym momencie ogromny konar dębu spadł na tylny taras, niszcząc całą balustradę.

Aż podskoczyliśmy. Spojrzeliśmy po sobie i każdy zapewne pomyślał o tym samym: oto początek horroru, tamten zabawny dziwak był tylko niepokojącym preludium.

Ale nic się nie wydarzyło.

Minęła kolejna godzina. Whitley opowiadała, że molestował ją szef firmy prawniczej z San Francisco, w której odbywała staż przez całe lato. Cannon zastanawiał się, czy jest zakochany w swojej dziewczynie, międzynarodowej mistrzyni szermierki.

– Miłość jest nieuchwytnym ptakiem – oznajmił. – Człowiek to zapalony ornitolog, przez całe życie wypatrujący rzadkiego gatunku, który czasem pokazuje się na trzy sekundy wśród gałęzi wiśni rosnącej w górach Japonii.

– Mylisz miłość z pragnieniem ideału – stwierdziłam. – Prawdziwa miłość, jeśli jest, to po prostu jest. Tuż obok. Jak składane metalowe krzesło.

Nikt się nie odzywał, a ja uświadomiłam sobie z zakłopotaniem, że chciałam w ten mało zręczny sposób poruszyć temat Jima. I właśnie miałam to zrobić, ale w tej samej chwili Whitley podniosła się, żeby przynieść więcej whisky, a Kipling mruknął, że ostatnio do tego stopnia uwalił się w wieku dziewięciu lat. I magiczny moment minął.

– Powiem wam, co to jest miłość – oznajmiła Martha ze wzrokiem wbitym w sufit. – To zasada nieoznaczoności Heisenberga. Wydaje ci się, że jest i chcesz ją dopuścić do głosu, a w następnej chwili już jej nie ma. Teraz jest już w innym miejscu. Nie możesz jej pochwycić ani zatrzymać, choćbyś nie wiem jak się starał.

Po raz pierwszy słyszałam, żeby Martha mówiła tego rodzaju rzeczy – wnioskując z ich zaskoczonych min, dla pozostałych również był to pierwszy raz. Zawsze twierdziła, że ma alergię na romantyczne klimaty. Na pytanie, kto jej się podoba, zawsze mrugała, patrząc na ciekawskiego nieszczęśnika takim wzrokiem, jakby miał trzy głowy. *Po co miałabym tracić czas, którego zasoby są bezcenne i stale ubywające, na zaburzenia w wydzielaniu adrenaliny, dopaminy i serotoniny?* A pary trzymające się za ręce

ostentacyjnie obchodziła szerokim łukiem. *W razie gdyby to było zaraźliwe, tłumaczyła. I wcale nie żartowała.*

Rozmowa toczyła się dalej przy wtórze deszczu bębniącego o szyby.

W którymś momencie Kip znów zaczął mnie nazywać Siostrą Bee, a Cannon stwierdził, że byłam jedyną osobą w całej szkole, o której nikt, ani nauczyciel, ani uczeń, ani rodzic, ani sprzątaczką, ani nawet mrówka, nie potrafiłby powiedzieć nic złego.

– W dodatku nawet nie jesteś przy tym irytująca – stwierdził.

– Pamiętajcie, jak na biologii – zaczął Kip z krzywym uśmiechem – Bee nie powiedziała panu Jetty, że Chad Burman właśnie wyrzygał cały lunch na jej plecy? Siedziała w ławce, heroicznie odpowiadając na pytania o osmozę, a potem po prostu przeprosiła i wyszła z klasy.

– A tamta wycieczka do Waszyngtonu, kiedy pan Miller musiał wrócić do ciężarnej żony i zamiast poprosić o zastępstwo innego nauczyciela z kampusu, poprosił nie kogo innego jak Bee.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Też mi wielkie rzeczy – odparłam.

Podczas tej rozmowy Whitley zachowała wymowne milczenie, wbijała wzrok w podłogę z tajemniczą miną, jakby miała ochotę zaprotestować czy się roześmiać.

Kiedy to wreszcie nastąpi? – zastanawiałam się. – Kiedy porozmawiamy o Jimie?

Nieobecny przywódca. Szósty członek bandy. Ten nieżyjący.

Czy nie chcieli o nim pogadać równie mocno jak ja? Jim, za którym ciągnął się długi mroczny cień, Jim równie fascynujący po śmierci jak za życia. Poeta. Książę.

Na pewno o nim myśleli. Jak mogliby nie myśleć?

A mimo to traktowali go raczej jak zamkniętą szopę na opuszczonej posesji, do której wszyscy boją się podejść, a już na pewno zajrzeć do środka przez brudne okno.

Wkrótce zasnąłam. Kiedy się obudziłam i odkleiłam policzek od sofy, Whitley i Cannon spali pod kocem przy kominku, a Kip chrapał na dwuosobowej kanapie. Tylko Martha nie spała. Chyba nawet zdążyła wytrzeźwieć i siedziała teraz w fotelu na drugim końcu pokoju, pogrążona w lekturze, z podbródkiem wspartym na dłoni.

– Hej – wychrypiałam. – Która godzina?

– Czwarta piętnaście.

Na zewnątrz nadal było ciemno i padało.

– Nie mogę spać – powiedziała Martha ze słabym uśmiechem. – Przez tego faceta. Czuję, jakby ciągle krążył w pobliżu.

Spojrzałam w okno, cała drżąca.

Paliły się wszystkie światła i wyraźnie widziałam ogromny konar, który spadł na taras, ogrody i basen, przegradzając kamienną ścieżkę wiodącą na nabrzeże.

– Na pewno nie – pocieszyłam ją.

Zaczęłyśmy rozmawiać, chociaż chwile milczenia między słowami rozciągały się coraz dalej i dalej, jak odległość między ostatnią linią wysepek, zanim zacznie się otwarte morze.

Nigdy nie byłyśmy sobie bliskie, chociaż właściwie powinnyśmy. Jako jedyne spośród uczniów Darrow korzystałyśmy ze stypendium, byłyśmy jak dwa przygarnięte kundły z marnym pochodzeniem i niestabilnym temperamentem pośród samych rasowych psów światowej klasy.

Martha trafiła do Darrow dzięki stypendium z dziedziny fizyki, które ustanowił genialny absolwent pracujący nad boską częstką. Była pierwszą zwyciężczynią od dwudziestu ośmiu lat. Zawsze miała najlepsze oceny w klasie i dostała się na Uniwersytet Techniczny w Massachusetts, na wydział inżynierii matematycznej, ponownie otrzymując pełne stypendium.

Dorastała w Południowej Filadelfii, wychowywana przez samotnego ojca. Jej rodzina była jeszcze uboższa od mojej. Taty nigdy nie poznałam, ale Cannon mówił, że ma stację benzynową, i że nazywają go Mickey Fistaszek. Jim powiedział mi, że Martha miała znacznie starszą siostrę, która zmarła z przedawkowania, i że właśnie z tego powodu matka odeszła, Martha jednak nigdy nie wspominała o siostrze, o matce zaś tylko w związku z jedną jedyną wycieczką na Alaskę, którą odbyła w wieku dziesięciu lat.

Spędzałam mnóstwo czasu w jej towarzystwie, ale nie potrafiłabym powiedzieć, kogo czy co Martha lubi, nie licząc tej dziwacznej undergroundowej powieści fantasy pod tytułem *Zakręt*. Z jej powodu Martha wytapetowała pokój w internacie tajemniczymi plakatami parowozów i przeglądała fora czytelnicze w poszukiwaniu innych zaciekle fanów znanych pod nazwą Zakręceni. Potrafiła nawet wystąpić – z zadziwiającym brakiem żenady – w cylindrze i okrągłych okularach czy siwej peruce sędziego, by uczcić urodziny któregoś z bohaterów. Zawsze nosiła

egzemplarz książki na dnie plecaka, na początku lekcji wyciągała tę wielką cegłę, liczącą chyba z tysiąc stron, w formie słabej odbitki ksero przewiązanej wystrzępionym sznurkiem i zatapiała się w lekturze, prawdopodobnie w celu uniknięcia interakcji z otoczeniem.

Ale przyjaźniła się z Jimem. Poznali się w podstawówce na obozie dla szczególnie uzdolnionych dzieciaków, który nosił nazwę Córki i Synowie Da Vinci, a odbywał się w dziewiętnastowiecznej posiadłości w północnej części stanu Nowy Jork. Jim trafił tam, ponieważ skomponował cały musical o Napoleonie, który wystawiono w jego prywatnej szkole na Manhattanie, i który zapewnił Jimowi notkę w magazynie *Nowy Jork*. Martha zaś skonstruowała w przydomowym garażu działający samolot.

To Jim ją namówił, żeby wysłała papiery do Darrow i Jim zawsze chciał mieć ją w pobliżu. Przez te kilka lat Martha stała się integralną częścią naszej grupy. Każdą sytuację podsumowywała wygłaszając z kamienną twarzą nieśmieszną uwagą bądź całkowicie dla nas niezrozumiałym odwołaniem do *Zakrętu*. Zawsze podejrzewałam, że Jim jest jej jedynym orędownikiem, a Cannon, Wit i Kip po prostu ją tolerują w taki sposób, w jaki człowiek godzi się z różnymi niedogodnościami typu astma czy ukochany kot współmałżonka. Jim zawsze się upierał, że Martha jest niesamowita, i że pewnego dnia, jak będziemy mieć po sześćdziesiąt lat, spojrzemy wstecz i pomyślimy z niedowierzaniem: przyjaźniliśmy się z Marthą Ziegler.

– To tak jakby powiedzieć, że przyjaźniło się ze Stevenem Hawkingiem. Martha też będzie wielka.

Łączyło ich tajemne porozumienie, śmiali się z rzeczy, które tylko dla nich były śmieszne, wzajemnie oplatając ramionami swoje szyje, co przywodziło na myśl rękawy starego swetra. Nie byłam zazdrosna, ale nie mogłam ignorować różnych znaczących szczegółów – przeciągłych spojrzeń, dziwnych uwag – które włączały dzwonek alarmowy i podtrzymywały kiełkujące od dawna podejrzenie, że Martha kryje palący sekret: jest zakochana w Jimie. I dlatego mnie nie lubi.

Jego śmierć na pewno nią wstrząsnęła. Do końca roku szkolnego, przez te dziesięć dni, była ponura i milcząca, wybiegała z budynku przed wszystkimi, jak spłoszony nietoperz zwiewający ze strychu. Wydawała się wzburzona. Przypominam sobie, że po prostu zmyła się na dzień przed moim wyjazdem, zniknęła bez pożegnania. Whitley, zawsze wyczulona na wstydlive sekrety, które ktoś wolałby pozostawić w ukryciu, powtarzała: Z Marthą dzieje się

coś złego.

A teraz Martha patrzyła na mnie tym swoim przenikliwym teleskopowym spojrzeniem, które zawsze tak mnie irytowało. Niezależnie od tego, co czuła po śmierci Jima, i co kiedyś wyszło na światło dzienne, teraz jej emocje znów były ukryte, jak stado płetwali błękitnych mknących w głębinach oceanu, którego powierzchnia pozostaje gładka i spokojna.

Nagle uświadomiłam sobie, że Martha zadała mi pytanie.

– Co?

– Zastanawiałam się, czy nadal układasz te ścieżki dźwiękowe.

Chodziło jej o moje ulubione zajęcie – tworzenie podkładu muzycznego do wymyślonych filmów. Nie wiem, czemu to robiłam. Jako dziecko byłam potwornie nieśmiała, bałam się odezwać w klasie tak bardzo, że nauczyciele często sądzili, że się jąkam lub mam problem ze słuchem. W którymś momencie zaczęłam produkować małe książeczki wypełnione tekstami piosenek i rysunkami dotyczącymi nieistniejących filmów, jak na przykład hit o wampirach dla nastoletniej publiczności pod tytułem *Krwawa szkoła* czy *Dove Nova*, biografia młodocianej szwedzkiej gwiazdy pop, która zaginęła bez śladu, a zagadki jej zniknięcia nigdy nie rozwiązano. Te albumy nie miały najmniejszego sensu. Nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego je tworzę, po prostu lubiłam sobie wyobrazać, że to artefakty ze świata istniejącego gdzieś poza naszym; świata, w którym nie jestem nieśmiała, a niewypowiedziane słowa nie zbierają się w moich ustach jak kamyki; świata, w którym jestem odważna. To były moje alternatywne istnienia, moja szklana menażeria, jak to określał Jim.

Pewnego wieczoru w pierwszej klasie, podczas gdy cała szkoła ćwiczyła tańce na bal, a za oknami szalała zamieć, nagle wysiadł prąd. Niechcący rozdarłam sobie sukienkę na plecach, zostawiłam więc Jima i pobiegłam do pokoju się przebrać. Ku swemu zaskoczeniu w świetlicy zastałam Marthę czytającą *Dumę i uprzedzenie* przy świetle latarki, tak zaabsorbowaną, że nie zauważyła otwartego okna, przez które wpadał do środka śnieg, tworząc w kącie kopczyk, liczący sobie już dobre pięć centymetrów. Skończyło się na tym, że przegadałyśmy dwie godziny. Zdarzyło się to tylko ten jeden raz. Z jakiegoś powodu, może w nadziei, że poprawię napiętą atmosferę między nami, pokazałam jej mój zbiór wymyślonych płyt. Od tej pory zawsze, kiedy zostawałyśmy same, pytała o nie, jakby stanowiły poręczny i uniwersalny temat, którym zawsze mogła się posłużyć w rozmowie ze mną. Bywało to

nieco wkurzające.

– Nie – odparłam z udawanym ziewnięciem. – Nie za bardzo. Chyba pójde już się położyć.

Kiwnęła głową z poważną miną.

– Dobranoc, Beatrice.

Martha wróciła do lektury, a ja poszłam na górę, do ulubionego pokoju gościnnego na końcu korytarza. Ściągnęłam narzutę i rzuciłam się na łóżko.

Normalnie zapewne nie dałyby mi zasnąć wspomnienia związane z tym pokojem. Leżałam zwinięta pod ciężką kołdrą, jak zwykle. Brakowało tylko Jima, układającego teksty piosenek w świetle telefonu.

Ustawiłam budzik na szóstą i zamknęłam oczy. Postanowiłam, że wymknę się po cichu, zanim pozostali się obudzą.

I w ten sposób, niezależnie od konsekwencji, zamknę mój ostatni rozdział w Wincroft.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy się obudziłam, było już jasno.

Marzłam, ale moją skórę pokrywała warstwa potu. Nie, nie potu, stwierdziłam po chwili, mrugając powiekami. To był deszcz. Przemokłam, ponieważ siedziałam na tylnym fotelu w jaguarze kabriolectic, a dach wciąż nie dawał się zamknąć. Ktoś chyba mocno pijany zaparkował samochód pośrodku rabaty przed wejściem do Wincroft.

Nadal lało jak z cebra. Obok mnie siedzieli Kip i Martha, na ich twarzach malował się wyraz skrajnej dezorientacji.

– Co ty robisz? – zapytał Kip. Był przemoknięty, oczy miał czerwone. Z czubka jego nosa stoczyła się kropla deszczu. – Dokąd nas zabierasz?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Wygramoliłam się z samochodu, przebiegłam przez podjazd do wejścia i otworzyłam drzwi. O mało nie zderzyłam się z Whitley, która stała w holu jak sparaliżowana. Miała na sobie to samo ubranie co poprzedniego wieczoru. Patrzyła na mnie osłupiałym wzrokiem i od razu zrozumiałam, że stało się coś strasznego.

– Co? O co chodzi?

Minęła mnie bez słowa.

Pobiegłam do kuchni. Trzęsąc się z zimna, dokonałam szybkiej inspekcji całego ciała. Czuję się dobrze. Myślałam całkiem jasno. Ale jakimś cudem zasnęłam. Wiedziałam, że nie zdążę przed otwarciem Wrony. Rodzice będą musieli sami poradzić sobie z tłumem gości podczas śniadania, a potem lunchu, tata pewnie z tego wszystkiego zapomni poinformować o daniach dnia, a mama skorzysta z okazji i zawyrokuje, że dania dnia są zbędne i w dodatku za drogie, a taka uwaga czasem wystarczała, by zaczęli się kłócić, co jednak rzadko się zdarzało.

Cannon stał przy wyspie kuchennej, pisząc coś na laptopie.

– Spójrz! – krzyknął przez ramię, pewnie biorąc mnie za Whitley. – *New York Times*. To samo.

Podeszłam bliżej. Był nabuzowany, jakby wypił z sześć filiżanek kawy.

– O co chodzi?

– O co chodzi? – powtórzył. Obrócił się w moją stronę, chwycił mnie za

głową i nakierował w stronę monitora.

– Senat popiera nowy projekt ustawy imigracyjnej – przeczytałam.

– Data – warknął.

– Piątek trzydziesty sierpnia. No i?

– No i?! To było wczoraj.

Krzywiąc się, wpisał adres strony CNN.

– CNN. *The Post. Time.* Wszędzie to samo.

Wcisnął mi w dłonie swój iPhone. Zamrugałam, wlepiając wzrok w datę widniejącą nad zdjęciem dziewczyny, zapewne tej mistrzyni szermierki.

Miał rację. Trzydziesty sierpnia, 17:34.

Na pewno wystąpił jakiś błąd w strefach czasowych. Terrorysty zhakowali sieć. Jakby czytał mi w myślach, uniósł rękę z zegarkiem. Wskazówki stały na piątej trzydzieści pięć, w miejscu daty widniała trzydziestka.

– Jakim cudem ktoś zhakowałby zegarek?

Patrzyłam w milczeniu.

Nagle zadzwonił jego telefon. Ktoś o imieniu Alexandra. Cannon odebrał.

– Alex. Zaczekaj. Nie, nie, czekaj... Powiedz mi, jaki jest dzisiaj dzień i która godzina. Zaraz wszystko wy... Możesz podać mi datę, do cholery? Nie proszę, żebyś wyrecytowała Deklarację... **MOGŁABYŚ SIĘ ZAMKNAĆ I PODAĆ...**

Nie wiem, jak brzmiała odpowiedź zapewne mocno zdziwionej Alex, w każdym razie Cannon z wściekłością rzucił telefonem w szklane drzwi przesuwne. Padł na sofę, wbijając dziki wzrok w podłogę. Wyjęłam z torebki swój telefon – co zresztą wydało mi się zastanawiające, bo ostatnio widziałam go na górze.

Widniała na nim ta sama data. Trzydziesty sierpnia. Lekko spanikowana, zadzwoniłam do mamy.

– Hej, Bee...

– Mamo. Mamo? Gdzie jesteście?

– Jedziemy do kina na *Dziewczyne Piętaszek*. A co?

– Nie widzieliście tego filmu wczoraj?

– Wczoraj?

– Mamo, który dzisiaj jest?

– Co? Dlaczego krzyczysz?

– Jaka jest dzisiejsza data?

– Trzydziesty sierpnia, piątek.

– Na pewno?

– Właśnie patrzę na tablicę rozdzielczą.

– Trzydziesty – usłyszałam głos taty.

– Mamo, dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem, pamiętasz?

– Wczoraj? Jak to?

– Tak, dzwoniłam i powiedziałam, że zostanę na noc w Wincroft, a ty poprosiłaś, żebym przyszła rano do Wrony, bo Senny Sam idzie na wyrwanie zęba.

– Sama jutro nie będzie? Dzwonił do ciebie? Sama jutro nie będzie – zwróciła się do taty.

– Zadzwoił do Bee, chociaż chyba z dziewiętnaście razy pytaliśmy, czy na pewno ma nasz numer?

– Bee, co tam się dzieje? Czy jest strasznie? Może po ciebie przyjedziemy? Rozłączyłam się. Krew tętniła mi w uszach.

Mama oddzwoniła, ale byłam zbyt roztrzęsiona, żeby odebrać.

Usiadłam na sofie i próbowałam się uspokoić. To na pewno tylko sen. Muszę się obudzić. *Obudź się*. Po chwili zobaczyłam, że Kip i Martha weszli do domu i stoją teraz sztywno, z takimi minami, jakby właśnie się ocknęli i stwierdzili, że lunatykowali. Whitley weszła do kuchni, poruszała się bardzo powoli, jakby próbowała chodzić po Księżycu.

– Hej? – szepnął Kip, a jego cichy głos zabrzmiał przerażająco donośnie. – Czy nastąpiło trzęsienie ziemi? Albo inna katastrofa, o której jeszcze nic nie wiemy?

W tym momencie rozległ się dzwonek.

Nie czekając na pozostałych, zerwałam się z sofy, pobiegłam do drzwi i otworzyłam je gwałtownym ruchem.

– Może tym razem zaprosicie mnie na herbatę – powiedział mężczyzna.

ROZDZIAŁ 5

– Po pierwsze, zachowajcie spokój – powiedział Stróż. – Panika w niczym wam nie pomoże.

Robił sobie herbatę.

Poprosił o herbatę, wchodząc do środka, a ponieważ wszyscy byliśmy zbyt przerażeni, by zareagować, postanowił sam się obsłużyć. Niesamowite. Napełnił czajnik wodą, włączył gaz i wyjął kubek z szafki, jakby był w tym domu nieraz.

– Jeśli to was uspokoi, zapamiętajcie jedną rzecz – podjął, zręcznym ruchem poprawiając krawat z granatowego jedwabiu. Kiedy tkanina pochwyciła światło górnej lampy, dostrzegłam wyraźny wzór jeleni, takich samych jak ten królujący nad wejściem do naszej dawnej szkoły. – Wiele osób przed wami przechodziło przez Nieświat. I po was również wielu przezeń przejdzie. Ale setki milionów nigdy nie dostanie szansy, którą dostaliście wy. Potraktujcie więc to, co wam się przydarzyło, jako dar. Okazję, by zmienić bieg historii, ponieważ wasz wybór wpłynie na miliony przyszłych wydarzeń biegnących ku przyszłości, w nieskończoność. Innymi słowy, istnieje precedens, nie jesteście sami. Musicie polegać na sobie nawzajem. Każdy z was jest kluczem, pozostali zamkiem. To nie jest koszmar ani sen. To pęknięcie w czasie, w które będziecie wpadać aż do momentu, gdy oddacie głosy. Im szybciej zaakceptujecie swój stan, tym szybciej zdołacie się od niego uwolnić.

Obecność tego człowieka, który wrócił, w tym samym ciemnym garniturze, i znów przemawiał tym swoim wytwornym głosem, wydawała się tak absurdalna i dziwaczna, że nie potrafiliśmy skupić się na tym, co mówi. Whitley i Kip stali obok wyspy kuchennej, gapiąc się na niego z rozdziawionymi ustami, jakby zobaczyli ducha. Martha siedziała na sofie z kamienną twarzą, mocno wbijając stopy w podłogę, jakby bała się, że zaraz zemdleje. Staralam się z całej mocy zrozumieć, co mówi, w nadziei, że znajdę w jego słowach wskazówkę, odpowiedź na zagadkę, kim on tak naprawdę jest. Ale mój mózg przez cały czas krzyczał: to dowcip, to tylko głupi dowcip. Na pewno. Ktoś – międzynarodowa grupa terrorystów, hakerzy

z Anonymousa, może jeszcze ktoś inny – zrobiła nam okrutny żart.

Zauważyłam, że podczas przemowy nieznanego Cannon wymknął się na górę. Teraz wrócił, ciągnąc za sobą torbę.

– Zmywam się – oznajmił.

– Co? – wykrzyknęła Whitley. – Dokąd?

– Jadę na lotnisko.

– Ale jest wczoraj – zauważył Kip.

– Wcale nie. Oczywiście, że nie. Dobra, nie umiem tego wyjaśnić, ale na pewno jest jakieś wyjaśnienie. Zakład fizyki na Harvardzie na pewno już nad tym pracuje.

– Obawiam się, że zakład fizyki na Harvardzie nic nie wie o waszej trudnej sytuacji – wtrącił Stróż, wyciskając torebkę herbaty na łyżeczce. – Są dosyć zajęci problemami grawitacji kwantowej. Zwłaszcza rozpadu próżni.

Cannon rzucił mu zimne spojrzenie.

– Wracam do domu.

– I co zamierzasz zrobić? – spytał Kip. – Poskarżyć się mamie: Mamo? Co za żenada. Dzisiaj to jakby wczoraj.

Cannon wzruszył ramionami.

– Za nic tu z nim nie zostanę.

I wyszedł. Trzasnęły drzwi. Nagle Whitley też pomknęła do wyjścia. A potem Kipling. I Martha. Wszyscy rzucili się do ucieczki, jakby nagle usłyszeli, że ten człowiek ma na sobie ładunek wybuchowy. Chwyтали po drodze kluczyki, torby, bluzy, telefony. Nie chciałam zostać sama, też więc chwyciłam torbę i wybiegłam, prosto w ulewę. Wszyscy gnali do swoich samochodów, po chwili zawyły silniki, wycieraczki zaczęły się poruszać. Zanim wskoczyłam do dodge'a, pozostałych czterech samochodów już nie było.

Stróż wyszedł na schody i upił herbaty.

Cała ta sytuacja, fakt, że właśnie zostawiliśmy go samego w domu – kompletnie obcego człowieka – była zbyt szalona, żeby objąć ją rozumem.

– Nie przejmuj się! – zawołał wesoło. – Obiecuję, że nie ukradnę sreber!

Wcisnęłam gaz do dechy i popędziłam. Przez cały czas towarzyszyło mi wrażenie, że ktoś mnie ściga. Ale kiedy pokonałam zakręt, okazało się, że nikogo tam nie ma. Po raz ostatni spojrzałam na Wincroft. Wielki budynek z czerwonej cegły powoli zniknął za wzgórzem. Nawet Stróż chyba zniknął.

Zaczynało się ściemniać. Wciąż padał deszcz, niebo było czarnogranatowe. Przyglądałam się wszystkim kierowcom, by upewnić się, że żyją, że nie są duchami, kosmitami ani zombie (wielu robiło zdziwioną minę, pewnie się zastanawiali, jaki mam problem). Po kilku kilometrach trochę się uspokoiłam. Tak, wszyscy kierowcy wyglądali na ludzi, żywych i całkiem zwyczajnych, żuli gumę, ustawiali radio, totalnie zrelaksowani. Kwestia daty na pewno nie zaprzętała im myśli.

Wszystko wyglądało całkiem normalnie.

Znów zadzwoniłam do mamy.

– Bee?

– Gdzie jesteście?

– W kinie. Co się dzieje? Przestraszyłaś nas wcześniejszym telefonem, mówiłaś takie rzeczy...

Pojechałam prosto do kina Dreamland w Westerly. Rodzice czekali na zewnątrz, bladzi jak ściana. Zaparkowałam na pasie zarezerwowanym dla służb ratowniczych, nie wyłączając silnika. Otworzyłam drzwi, podbiegłam do rodziców i mocno ich uściskałam.

Byli prawdziwi. Nie śniłam. Wszystko będzie dobrze.

Mama wyglądała na mocno wzburzoną.

– Nigdy więcej nie spotykaj się z tymi ludźmi...

– Victorio – upomniał ją tata.

– No co? Spójrz na nią. Jest rozbita. Nie będziemy znów przez to przechodzić. O nie. Te dzieciaki są zepsute. Rozpuszczone. Pewnie do końca życia nawet nie obejrzą się za siebie, żeby sprawdzić, jaki zostawili bałagan, mama i tata zawsze biegają za nimi ze służbą i książeczką czekową.

– To tylko dzieci.

– Te „tylko dzieci” zostawiły naszą córkę samą w fatalnym stanie. Przez dwa miesiące nie mogła spać ani jeść, o ile pamiętasz.

– To był wstrząs. I żałoba.

Płakałam, ale oni oczywiście nie wiedzieli, że tak naprawdę płaczę z ulgi. Dzień, który wcześniej się wydarzył, czymkolwiek był, nie był prawdziwy.

To teraz było prawdziwe.

Jakoś zdołałam ich uspokoić i poszliśmy na kolację do Shakedown. Pogadaliśmy z Artiem, który zaserwował nam darmową szarlotkę. Potem

spacerowaliśmy wzdłuż nabrzeża i rozmawialiśmy o kolejnej ofercie od deweloperów, którzy powtarzali tacie, że musi sprzedać Wronę, bo oni chcą postawić budynki mieszkalne. Rodzice z pewnością poczuli się zaniepokojeni, nawet nie tyle moim nagłym przybyciem co zaskakującym zapalem, z jakim podeszłam do wieczoru w ich towarzystwie – bo przez całe lato raczej reagowałam na takie plany dość apatycznie – ale nie skomentowali tego nawet jednym słowem. Udawali, że wierzą, kiedy tłumaczyłam swój niespodziewany wyjazd z Wincroft: Po prostu musiałam. Jesteśmy zupełnie innymi ludźmi niż rok temu.

Ustąpili również maniackiemu zapalowi, z jakim próbowałam przedłużyć ten wieczór: przejść się jeszcze kawałek wzdłuż nabrzeża, przyglądać się wszystkim obrazom przedstawiającym sceny marynistyczne we wszystkich oknach wszystkich galerii, pójść na stare huśtawki na plaży (gdzie ktoś napisał sprejem na murze ŻYCIE TO TYLKO SEN), byle za wszelką cenę odwlec moment powrotu i pójścia spać.

Bałam się iść spać, ponieważ nie dawała mi spokoju dręcząca świadomość, że już raz przeżyłam ten dzień, brzęczała mi w głowie jak kiepska piosenka, która nie chce się odzepić.

Wróciliśmy do domu tuż po północy. Dodge'a prowadził tata, bo powiedziałam, że jestem bardzo zmęczona, ale tak naprawdę bałam się jechać sama. Weszliśmy do domu. Tata ziewał, mama zaczęła wkładać naczynia do zmywarki.

– Posiedzisz przy mnie, póki nie zasnę? – zapytałam.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się, chociaż widziałam, że się niepokoi. Ostatnim razem prosiłam ją o to po śmierci Jima.

Usiadła na moim łóżku. Rozmawiałyśmy o nowym menu w Mewie i głosowaniu za zburzeniem mostu zwodzonego. Wiedziałam, że chce mnie zapytać o przyjaciół, o to, co się wydarzyło dzisiejszego wieczoru, ale czuła, że nie powinna tego robić.

W pewnej chwili podniosła się i podeszła do ściany pokrytej tapetą w stokrotki.

– Nie do wiary. Tata mówił, że to naprawił.

Podrapała miejsce złączenia w kącie, pociągnęła. Oderwał się spory kawałek.

– To chyba żart. Tu jest grzyb.

– To znak, że powinniście sprzedać Wronę i przenieść się na Florydę.

Splotła ramiona na piersi.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto nosi daszek przeciwsłoneczny?

Nagle ogarnęła mnie senność. Mama mówiła coś jeszcze o kręgosłupie taty, że boli go bardziej niż tata chce zdradzić. Zasnęłam, trzymając ją za rękę.

Dłoń mamy była prawdziwa. To, co wydarzyło się wcześniej, nie. Dzień postanowił się powtórzyć. *Czy to taki wielki problem?*

Jak człowiek potrafi się oszukiwać, byle tylko nie tracić poczucia bezpieczeństwa.

Umysł robi wszystko, by złagodzić skutki każdej katastrofy. Stara się z całych sił. Ale w którymś momencie rozziew między rzeczywistością a fantazją staje się tak wielki, że umysł nie może dłużej udawać. Słowa pocieszenia, nadzieja, że wszystko będzie dobrze, w końcu rozłazą się, rozpadają i bledną, aż nic po nich nie zostaje.

I budzisz się z krzykiem.

—

Obudziłam się w ulewie na tylnym siedzeniu jaguara, obok Marthy i Kiplinga. Wskoczyłam i pobiegłam do domu, trzęsąc się tak okropnie, że musiałam usiąść na sofie ze schyloną głową i rękami opartymi na kolanach, by uspokoić oddech.

Znowu się tu znalazłam. Wróciłam do Wincroft. Ale przynajmniej żyłam.

Tylko co to za życie?

Gandalf biegał dokoła, szczekając.

– Nie. Nie. Nie! – krzyknął Cannon.

Znów siedział przy kuchennej wyspie, pisząc na laptopie, ale teraz – zapewne zobaczywszy, że data wciąż się nie zmienia – gwałtownie zamknął go i cisnął na drugi koniec pokoju.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam jak przez mgłę, że Whitley jest na zewnątrz i znów ma jeden z tych swoich ataków szału. Kompletnie przemoczona, ściągała białe parasole ze stolików na patio i rzucała je za balustradę.

Jej niestabilny temperament był legendarny w szkole Darrow.

– Choroba nie wybiera – komentowały co bardziej uszczypliwe koleżanki.

Zawsze jej tego zazdrościłam. Nie dość, że piękna i inteligentna, to jeszcze

ma wszystko gdzieś i potrafi urządzić scenę, nie przejmuje się panowaniem nad emocjami. Wydawało mi się to niesprawiedliwe i wspaniałe, widziałam w niej niepokromioną bohaterkę wiktoriańskiej powieści (nawet krążące po szkole określenie „temperament Lansing” brzmiało cudownie staroświecko, jak nazwa nieuleczalnej egzotycznej choroby). Też chciałam być taka dzika. Wit szarżowała. Ja zamierałam. Wit odrzucała głowę do tyłu i darła się co sił w płucach. Ja milkłam. Jej napady wściekłości były olimpijskie, pięciogwiazdkowe, multiplatynowe. Pochodziły z jakiegoś wrzącego miejsca w jej wnętrzu, którego sama nie potrafiła określić ani wytłumaczyć. Twarz jej płonęła, oczy ciskały błyskawice. Demolowała pokój w internacie, wyrwała kartki z podręczników, waliła w ściany, przewracała stoły, wyzywała nauczycieli, bez śladu taktu, litości czy lęku przed konsekwencjami. W takich chwilach zawsze odnosiłam wrażenie, że Whitley opowiada nam o alternatywnym świecie, niewidzialnym dla całej reszty ludzi, odrażającym i ogromnym, którego nie da się opisać zwykłym językiem.

Wysyłali ją do pielęgniarki. Wywaliliby ją, ale jej mama, Lina, dyrektor generalna w firmie farmaceutycznej, zawsze przylatywała z St. Louis w ogromnym futrze z nerek i łagodziła sytuację, czyli fundowała kolejne skrzydło w bibliotece. Dzięki niej Whitley mogła w trudnych chwilach opuścić lekcje i udać się do psychologa w Newport. Kiedy zdarzał się atak, zawsze podbiegałam do niej i mocno ścisnęłam jak astronauta trzymający kolegę, żeby nie odfrunął w przestrzeń kosmiczną.

Teraz jednak, patrząc, jak z wrzaskiem chwyta leżak i rzuca nim za balustradę, mogłam tylko obojętnie patrzeć, nie byłam w stanie się ruszyć. Nie mogłam pomóc ani jej, ani sobie.

Kipling i Martha weszli do kuchni i zaczęli rozglądać się dokoła jak ludzie wracający do domu po przejściu tornado.

– Musimy kogoś powiadomić – zawyrokował Kipling drżącym głosem. – FBI? CIA?

– I co im powiemy? – spytała Martha. – Że czas zmienił się w popsutą płytę?

– Na pewno nie tylko nas to spotkało. Jestem pewien, że panuje stan wyjątkowy w całym kraju.

– Na pewno już mówili w wiadomościach – mruknął Cannon. Leżał na podłodze z dłońmi splecionymi na karku, jakby sobie wyobrażał, że przebywa w schronie przeciwbombowym. – Dzisiaj. Nowy rodzaj

wiadomości z ostatniej chwili. Wczoraj to jutro. *Znowu*. W miarę braku rozwoju wydarzeń będziemy podawać informacje na bieżąco. Podziel się z nami swoim doświadczeniem na twitterze, hashtag *dzieńswistakadziejesięnaprawdę*.

Kipling chwycił pilota, włączył telewizor i zaczął przeskakiwać po kanałach. Na wszystkich mówili całkiem zwyczajne rzeczy. *Za chwilę pokazemy, jak przyrządzić trzyminutowy omlet. Biel jest jeszcze bielsza, a kolory jak nowe.*

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Nikt się nie ruszył.

Po chwili do środka wkroczył Stróż z empatyczną, niemal dobrotliwą miną. Wyglądał jakoś tak podstępnie: ten sam garnitur, ten sam krawat. Zemdlilo mnie.

– To jest najgorszy moment – oznajmił. – Druga pętla wydaje się najgorsza.

– Powiedz, co mamy robić – odezwała się Martha.

– Już mówiłem. Zagłosować.

Zagłosować. Jakby to była kwestia typu skręcić w lewo czy w prawo.

Whitley widocznie dostrzegła go z zewnątrz, bo nagle otworzyła przesuwne drzwi i stanęła w nich, z trudem łapiąc oddech i świdrując go morderczym spojrzeniem, na tle siekącego deszczu. Wyglądała jak kadr z jakiegoś starego filmu. Nagle chwyciła ze stolika chińską wazę i walnęła nią Stróża w głowę.

Osunął się na podłogę. Cannon podbiegł do Whitley, ale brutalnie odepchnęła go łokciem, chwyciła Stróża za krawat, podciągnęła do góry i posadziła na krześle. Następnie wparowała do kuchni i zaczęła otwierać szuflady i rzucać garnki, chochle i łyżki na podłogę.

– Napad agresji stanowi bezsensowny akt zaprzeczania rzeczywistości – powiedział Stróż, trzymając się za głowę.

Whitley podbiegła do niego ze sznurkiem kuchennym, brutalnie obwiązała Stróżowi nadgarstki i przecięła sznurek wielkim nożem do mięsa, machając mu nim tuż przed twarzą. Potem przykucnęła i ze zdeterminowaną miną zabrała się za kostki. Stróż nie protestował, patrzył na nią z rozbawieniem, jak tata na swojego czterolatka, który postanowił zakopać go żywcem na plaży.

Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw niego, odgarniając włosy wpadające jej do oczu.

– Zaczynij gadać.

– A o czym? – zapytał.

Walnęła go mocno po twarzy.

– Whitley – upomniał ją Cannon.

– Gadaj, kto nas tak urządził i jak możemy stąd się wydostać.

Stróż zamknął oczy.

– Już przecież mówiłem. Głosowanie. A kto? Istnieje nieskończona liczba możliwości. Wszechświat, Bóg, Absolut, Wyższa Istota, Jestem Który Jestem, Adonai, Ahura Mazda...

Znów go walnęła.

– Wit – szepnął Kipling. – Uważasz, że to rozsądne, robić temu biednemu człowiekowi z twarzy jesień średniowiecza?

– Nie jest biedny. Bawi się nami.

I walnęła go jeszcze raz. Stróż pozostał niewzruszony, chociaż krew pociekła mu z nosa. Zaczęłam płakać. Ale nie próbowałam jej powstrzymać. Nikt z nas nie próbował. Staliśmy tam jak sparaliżowani i wszyscy zapewne myśleliśmy o tym samym – chociaż ciężko to przyznać: a może bicie i tortury pozwolą nam dotrzeć do prawdy, prawdy, dzięki której ten koszmar się skończy. Stróż przyzna, że to była tylko taka misterna gra, kurtyna opadnie, scenografia legnie w gruzach. Zaczniemy się śmiać. *Przezabawne. Naprawdę mnie nabrałeś.* Poza tym wciąż wbrew rozsądkowi miałam nadzieję, że tak jak w przypadku koszmarnych snów w dzieciństwie, kiedy wszystko robi się totalnie dziwne i zaplątane, sen się skończy, a ja się obudzę.

Whitley zadała kolejny cios.

– W ciągu trzech ostatnich minut pętli musicie wybrać jedną osobę spośród was, która przeżyje...

– Czemu tylko jedną? – spytała ostrym tonem Martha, stając u boku Whitley.

– Nie potrafię wyjaśnić wam przyczyn i zasad działania Nieświata. To wy je zdeterminowaliście.

– Ale jeśli czas się zatrzymał, to jak to się dzieje, że wracamy do naszego zwykłego życia? – zapytał Cannon.

– Wracacie tylko na jedenaście godzin i dwie minuty. Sześćset siedemdziesiąt dwie minuty. Tyle wynosi długość waszej pętli, w przypadku Cannona i Whitley sześćset siedemdziesiąt pięć minut. Po tym czasie wszyscy znów obudzicie się w Nieświecie, jest to równie pewne

i nieuniknione jak to, że o północy karoca Kopciuszka zmieni się w dynię. Chociaż wasz wypadek wywołał powstanie rozdarcia w tkaninie czasoprzestrzeni i zmarszczki na powierzchni, to świat nie przestał istnieć. Żyje wokół was, jak pocisk, który pozostał w komorze.

– Jakie znaczenie ma moment, kiedy pojawiajemy się w pętli? – spytała Martha.

– Początek i koniec zależą od nieskończonej liczby przeróżnych czynników, jak gwałtowne zderzenie, siła połączenia i ślepy przypadek.

Whitley, która najwidoczniej nie miała ochoty dłużej tego słuchać, opuściła nóż, chwyciła telefon, porozmawiała z kimś krótko, rozłączyła się i wsunęła stopy w conversy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Cannon.

– Jadę na T.F. Green.

Było to lotnisko dla prywatnych samolotów, położone niedaleko Providence.

– Zabukowałam samolot na Hawaje. Wyruszamy za godzinę. Zbierać się.

– Obawiam się, że to nic nie zmieni – powiedział Stróż.

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

– Pod koniec tej... jak ty to nazwałeś? Pętli? ...będziemy dziesięć kilometrów nad powierzchnią oceanu. Co się wydarzy? Wyparujemy ze swoich miejsc jak za sprawą magicznej sztuczki?

– Zobaczycie – odparł Stróż.

—

Wszyscy wyszli z Whitley, wszyscy prócz mnie.

Nie mogłam. Byłam zbyt wstrząśnięta, zbyt przerażona, by tak oddalić się od rodziców, zamknąć się w pudełku wysoko na niebie. Razem z nimi.

Teraz myślałam o nich jak o osobnej grupie. Już do niej nie przynależałam. Z tej sytuacji jedno wynikło na pewno: wyraźnie pokazała, że ludzie, których kiedyś darzyłam miłością i zaufaniem, stali mi się kompletnie obcy.

Czym sobie na to zasłużyłam? Żeby skończyć w piekle razem z nimi?

Nie mogłam się nad tym zastanawiać. Nie mogłam wybiegać myślami w przód. Musiałam trzymać umysł na krótkiej smyczy, przywiązany do tej chwili. Więcej bym nie zniosła.

Patrzyłam, jak z różnym stopniem entuzjazmu pakują się do jeepa

Cannona. Oczywiście podejrzewali, że impulsywny pomysł Whitley, by polecieć na tropikalną wyspę, okaże się daremny. A mimo to poszli z nią. Żeby okazać solidarność? A może mieli odrobinę nadziei, że jednak się uda, że należący do Lindy Gulfstream V, z fotelami z beżowej skóry cielejącej i talerzami pełnymi ułożonych w wachlarzyki plasterków mango, przetnie landrynkowo różowe chmury i okaże się furtką, drogą ewakuacyjną, zwolnieniem z odsiadki i zakończy ten koszmar?

Zeszłam po schodach, ledwo zwracając uwagę na ulewny deszcz, i wsiadłam do pikapa. Cofając, zobaczyłam, że Stróż uwolnił się z więzów i stoi teraz w drzwiach, z zakrwawioną czerwoną twarzą i Gandalfem u boku, jakby był jego właścicielem.

Tym razem nic nie powiedział. Nie musiał. Uśmiech mówił wszystko.

Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ 6

Nie da się nie zasnąć.

Próbowaliśmy. Nieważne, ile wpije się filiżanek kawy, ile puszek Red Bulla czy Monster Energy, ile połknie się tabletek z kofeiną, ile żeń-szenia, twoje ciało i tak zapadnie w głęboki przypominający wielką dziurę sen. A potem budzisz się w tym samym momencie, kiedy wszystko się zaczęło.

Z powrotem w pętli.

Zabić się też nie można.

Kip próbował. Powiesił się na jednym z pasków E.S.S. Burta w sypialni na górze. Nie widziałam go, Martha mi powiedziała. W kolejnej pętli jak zwykle siedział obok mnie na tylnym fotelu jaguara, w normalnym kolorze, nie miał nawet czarno-sinych śladów na szyi ani opuchniętej twarzy.

Jakby nic się nie stało.

– Jesteśmy nieśmiertelni – stwierdził Cannon. – Powinniśmy przejąć Biały Dom.

– W jedenaście godzin i dwie minuty? – spytała Martha. – Przez ten czas nie zdążysz nawet dojechać do Chicago, o rządzeniu światem nie wspominając.

Powiedzieć rodzicom. Zawiadomić policję. Doprowadzić do aresztowania Stróża. Odwiedzić terapeutę. Zgłosić się na oddział psychiatryczny i poprosić dyżurującego lekarza, by sprawił, że jutro jednak nadejdzie, błagam. Zwierzyć się pastorowi. Powiedzieć kierowcy autobusu, taksówkarzowi, zmęczonej kelnerce w całodobowym barze, która nie takie rzeczy widziała, starszej kobiecie pochylonej nad mrożonkami w supermarkecie i kupującej szokujące ilości gotowych dań do mikrofal, mężczyźnie w skórzanej kurtce oglądającemu pierścionki zaręczynowe w domu handlowym. Przeczytać dwieście pięćdziesiąt dwie książki w dziale naukowym biblioteki publicznej w Warwick i pierdylion pozycji na GoogleBooks, próbując się dowiedzieć, czy kiedykolwiek w całej historii świata jakiś mędrzec typu Kopernik, Arystoteles, Darwin bądź Hawking wspomniał w swoich pismach o takich zjawiskach jak błąd w czasie, kosmiczna poczekalnia, rosyjska ruletka w czyścicu, ludzkie terraria w piekle.

– Na jaki temat szukasz informacji? – zapytała bibliotekarka.

– Na temat Nieświata.

Wystukała słowo na klawiaturze i pokręciła głową.

– W Bibliotece Kongresu nic nie ma.

Na początku próbowaliśmy tego wszystkiego.

Za każdym razem budziliśmy się w dokładnie tym samym miejscu i dokładnie tym samym czasie. Byliśmy jak utwór nastawiony na ciągłe odtwarzanie, jak muchy zamknięte w słoiku, jak nigdy niegasnące echo krzyków w kanionie.

Nieskończona powtarzalność kłóci się z samą istotą człowieczeństwa i jest – powiem to bez zająknięcia – absolutnie nie do zniesienia. Umysł szaleje, próbuje zaprzeczać. Ale ponosi porażkę i rozpada się z szokującą łatwością. Psychika jest bardzo wrażliwa. To zamek z piasku zbudowany przez dziecko na linii przypływu. Nigdy dotąd nie rozumiałam, jak niewielką kontrolę sprawujemy nad naszym światem, w ogóle nad wszystkim, nie licząc własnych czynów, w jak małym stopniu moje życie należy do mnie. Byliśmy jak bezbronni pasażerowie uwięzieni w statku kosmicznym krążącym wokół Marsa. Słońce, niebo, gwiazdy – jak długo patrzyłam na nie z leżaka stojącego przy basenie, w ulewnym deszczu, marząc, by być jedną z nich, zlepkiem gazu i ognia? Zgodziłabym się nawet na żuka, na źdźbło trawy, cokolwiek, byle poza Nieświatem.

– Zagłosujcie – powtarzał Stróż. – Po prostu oddajcie głosy.

Oddawaliśmy. No jasne, że tak.

Po raz pierwszy zaraz na początku naszego pobytu w Nieświecie. Strefa mroku. Czyściec. Wyprawa Robinsona. Zakręcony piątek. Szambo. Nadawaliśmy temu miejscu przeróżne nazwy, jakby obrażanie trzymających nas tu nieznanymi sił mogło sprawić, że zmienią zdanie.

Zebraliśmy się w bibliotece jak barwne postacie na ostatnich stronach kryminału, czekające, aż genialny detektyw zdemaskuje mordercę. Usiedliśmy w fotelach. Whitley podała szampana. Każdy napisał imię swego wybrańca na karteczce, a Stróż je pozbiierał.

– Brak konsensusu – oznajmił.

Za drugim razem każde z nas najpierw wygłosiło mowę, by przekonać pozostałych, dlaczego zasługuje na życie w przeciwieństwie do nich. Byliśmy jak adwokaci przemawiający w sądzie przeciwko całej grupie prokuratorów. Ten system nie mógł zadziałać. Mowy występowały

w przeróżnych gatunkach i odmianach, od altruistycznych (Cannon), przez sucho naukowe (Martha) po dziecinne i oderwane od rzeczywistości (Whitley, która przejawiała wcześniej nieobecne u niej charytatywne zacięcie i oznajmiła, że zaopatrzy cały kontynent afrykański w czystą wodę). Kipling wstał, by przemówić, ale był tak pijany, że osunął się na podłogę.

– Powinniście zagłosować na mnie, bo nie powinniście na mnie głosować – powiedział. – Jestem do bólu przeciętnym, totalnie pojebanym palantem.

Ja przemawiałam ostatnia.

Powiedziałam, że jestem zwyczajną dziewczyną, której przeznaczone jest zwyczajne życie, ale proszę, by na mnie zagłosowali, ponieważ zamierzam postawić sobie za cel robienie drobnych dobrych uczynków każdego dnia.

Wypowiadając te słowa, miałam bolesną świadomość, że brzmię tak samo nieszczerze i desperacko jak mowy wszystkich pozostałych tu obecnych. Gorzej, bo nikt nie słuchał. Owszem, patrzyli na mnie, ale ich uwaga była pogrzebana pod ciężarem losu, przyglądali mi się łapczywie i dokładnie, jak Gollum oglądający pierścień, zastanawiając się, czy Nieświat jest prawdziwy.

Nie mogłam mieć im za złe. Ja też byłam ruiną człowieka. Rzadko udawało mi się przeżyć te jedenaście godzin i dwie minuty, by w którymś momencie nie zacząć wyc z rozpacz. Jeździłam do Westerly, żeby zobaczyć rodziców w kinie, zwykle tylko ich obserwowałam, nie zdradzając się ze swoją obecnością, bo jeśli spędzałam z nimi czas, to podczas kolejnej pętli miałam ataki niekontrolowanego płaczu. Próbowałam im wyjaśnić, co się dzieje.

– Miałam wypadek samochodowy, mogę umrzeć, a miejsce, w którym teraz przebywam, nazywa się Nieświat, tak przynajmniej twierdzi ten dziwny starszy mężczyzna, który nie chce zostawić nas w spokoju.

Zawsze słuchali. Widziałam jednak, że są zdruzgotani, sądzą, że śmierć Jima narobiła mi w głowie jeszcze większego bałaganu, niż przypuszczali, i że potrzebuję całodobowej opieki psychiatrycznej. Dlatego wolałam siadać kilka rzędów za nimi, żeby mnie nie zauważyli, obok tego monstrualnie tłustego faceta. Zawsze uśmiechałam się do niego, myśląc: czy ty w ogóle wiesz, jakie masz szczęście? Przed tobą jutro. Zjadałam popcorn, oglądałam *Dziewczynę Piętaszek* i wymykałam się, zanim włączono światła.

Wynik głosowania się nie zmieniał.

– Brak konsensusu – powtarzał Stróż.

Każdy głosował na siebie. Nie przypuszczałam, by mogło to się zmienić.

Tylko to pozwalało nam przetrwać: możliwość, nawet jeśli odległa i niepewna, że się stąd wydostaniemy, wrócimy do normalnego życia.

I przez cały czas Stróż nas obserwował.

Pojawiał się w najmniej spodziewanych momentach. Czasem wchodził do środka i robił sobie herbatę. Czasem, ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, wykonywał prace w ogrodzie. Mimo deszczu – który czasem zmieniał się w śnieg, temperatura spadała, w powietrzu wirowały miniaturowe tornada białych płatków – Stróż przycinał winorośl, róże, bluszcz i liguster, wisterię i bzy. Zamiatał kamienne ścieżki i okopywał rabaty. Wchodził na zieloną drabinę i wyciągał zeschnięte liście z rynien, czyścił szkła przy lampach i latarniach. Usuwał mech ze skrzydeł gargulców w kształcie wron kraczących w milczeniu.

Czasem pokazywał się tylko w oddali, jako daleki przechodzień, który przecinał trawnik i znikał w lesie, jakby robił sobie skrót przez Wincroft w drodze do innego miejsca, nam nieznanego.

—

Nie wiem, jak długo już przebywaliśmy w Nieświecie, kiedy przydarzyła nam się kłótnia.

Czas w tym miejscu płynął w nieokreślony sposób. Migotał i wydawał się iluzją optyczną, im bardziej człowiek mu się przyglądał i próbował wpasować w zwykły kalendarz. Kolejne godziny niby wydawały się normalne, ale kiedy próbowaliśmy je sumować, stworzyć szerszy obraz mijającego czasu, określić, jak długo już tu jesteśmy, nagle ulatniały się, rozmazywały.

Cztery pętle niczym nie różniły się od czterystu.

W miarę jak mijały kolejne pętle, czułam coraz większe przerażenie. Widziałam, że tamci stają się apatyczni i dalecy, jakby przestało ich obchodzić, czy kiedykolwiek stąd się wydostaną.

– Głosuję za Kanyem! – wykrzyknął Cannon, unosząc kieliszek. – Chcę, żeby to Kanye żył.

– Brak konsensusu – oznajmił Stróż.

Whitley codziennie piła. Cannon i Kipling podobnie. Zaczęli również częstować się pigułkami, które E.S.S. Burt trzymał w swoim apartamencie. Setki pomarańczowych buteleczek pełnych środków pobudzających

i uspokajających stało tam sobie na toalecie jak cukierki w sklepie ze słodyczami. Często całą trójką byli albo w stanie bliskim manii, albo ledwo kontaktowali. Kipling chodził na spacer, rozmawiał z deszczem, za strój mając tylko swoją różową perukę i jedwabny szlafrok z zielonego jedwabiu w pawie, należący do jednej z dziewczyn Burta.

Raz, wołając wszystkich na głosowanie, za nic nie mogłam go znaleźć. Przeszukałam całą posiadłość i wreszcie znalazłam go pływającego w basenie na wielkim dmuchanym łabędziu, w strugach ulewnego deszczu.

– Kipling! – Chwyciłam siatkę na kij do wyciągania liści i przyciągnęłam go do brzegu.

Ledwo był w stanie otworzyć oczy.

– Halo? To ty, Boże? A to ja. Judy.

– Kipling, słyszysz mnie?

– Chciałbym zamówić kolację. Spaghetti bolognese.

Stoczył się do basenu i zaczął opadać na dno. Zrzuciłam buty i płaszcz przeciwdeszczowy i zanurkowałam. Dryfował nieruchomo tuż przy dnie. W panice wypchnęłam go na powierzchnię.

– Kipling! Słyszysz mnie?

– „It’s the final countdown” – zaśpiewał. Oczy miał jak szparki.

Byłam jedyną pielęgniarką na całe wariatkowo.

Owszem, Martha zachowała zdrowie psychiczne, ale postanowiła odciąć się do wszystkiego, najwyraźniej umywała ręce, wymykała się bez słowa na początku każdej pętli. Cały dzień spędzała na zewnątrz. Czasem widywałam ją, jak o zmierzchu wędruje przez lasy w oddali, ciągnąc ze sobą swoją czarną torbę, i obserwuje korony drzew przez lornetkę, jak profesjonalny obserwator ptaków czy działacz na rzecz przyrody wyszukujący ślady kwaśnych deszczy. Grzebała w torbie, która zdawała się tak ciężka, że zastanawiałam się, czy jest tam kopia tej undergroundowej powieści pod tytułem *Zakręt*, którą zawsze targała ze sobą do szkoły. Ale ona wyjmowała ze środka cienki czarny notes, pisała w nim przez minutę i ruszała dalej. Raz pobięłam za nią.

– Martha!

Nie zatrzymała się, udawała, że nie słyszy.

– Martha! Zaczekaj!

Przystanęła i odwróciła się. Widziałam po minie, że nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. A zwłaszcza, żebym ja jej przeszkadzała.

– Martwię się o nich – powiedziałam.

Kiwnęła głową.

– I?

I? Wlepiłam w nią wzrok. Deszcz spływał mi po głowie i ramionach. Czy ona nie widzi, co się dzieje? Czy nic jej to nie obchodzi?

– Im odbija. Już nie traktują tego wszystkiego poważnie. I nie wiem, co robić.

Wzruszyła ramionami.

– To również rodzaj pogodzenia się z sytuacją.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy ktoś dostaje wyrok dożywocia, ryzyko, że w ciągu pierwszego roku załame się psychicznie, wynosi dziewięćdziesiąt cztery procent. – Znowu wzruszyła ramionami. – Zostaw ich w spokoju.

– Nie ma mowy. Musimy trzymać się razem.

Ku mojemu zaskoczeniu ruszyła dalej.

– Dokąd idziesz? – krzyknęłam.

Nie odpowiedziała.

– Potrzebuję twojej pomocy! Proszę! Nie chcesz się stąd wydostać?

Uniosła rękę – łagodny znak zrozumienia dla dziecka w histerii – ale więcej się nie zatrzymała.

—

Byliśmy rozbitkami na wzburzonym morzu. Prosilili mnie, żebym puściła ich ręce, chcieli opaść na głębinę i utonąć.

A ja utknę tu na zawsze.

Tu, w Nieświecie, gdzie nigdy nie dorosnę.

Nie założę rodziny.

Nigdy się nie zakocham.

Byłam nieśmiertelnym wampirem pozbawionym wszelkich korzyści związanych z tym rodzajem istnienia. Nie miałam oszałamiającej urody ani złotych oczu, ani lśniącej skóry, nie potrafiłam biegać pięćset kilometrów na godzinę ani przewracać samochodów.

Byłam duchem, który nikogo nie umiałby wystraszyć. Nie mogłam zakłócać obrazu w telewizorze ani obracać głów porcelanowych lalek o trzysta sześćdziesiąt stopni, wywołując załamanie nerwowe u normalnych

ludzi. Nie mogłam sprawić, żeby niemowlaki zaczęły tańczyć w transie po pokoju, uchwycone na drżącym filmie na wzór tych horrorów stylizowanych na amatorskie nagranie.

Byłam tykającym zegarkiem w świecie bez czasu.

A bez czasu nic nie ma sensu. Nigdy wcześniej nie dostrzegałam, jak fundamentalne znaczenie ma jego upływ. Nadawał wszystkiemu datę ważności, tempo, pęd. Bez niego wszystko zastygało w miejscu, w bezmyślnym oczekiwaniu.

W najmroczniejszych chwilach myślałam o Jimie.

Przyjechałam do Wincroft, żeby się dowiedzieć, co z nim się stało. Teraz nawet to pytanie, które przez cały ubiegły rok wciąż od nowa obracałam w głowie, zwiędło, uschło i spłaszczyło się w obliczu Nieświata, jak robaczek na rozpalonej słońcem autostradzie.

—

Tamtego wieczoru, kiedy się pokłóciliśmy, wróciłam z kina i tuż za progiem powitały mnie krzyki dochodzące z piętra. Wbiegłam na górę. Zamknęli się w łazience przy pokojach E.S.S. Burta. Zapukałam.

– Wszystko w porządku?

W odpowiedzi usłyszałam tylko chichot.

– Zaraz głosujemy.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Hej?

Drzwi gwałtownie się otworzyły. Stała w nich Whitley w za dużej sukni wieczorowej z czerwonych cekinów. Przekrwione oczy obrysowała eyelinerem. Kipling leżał udrapowany na brzegu wanny jak wyczerpana pantera. Cannon siedział na blacie w bandanie zawiązanej na czole w marynarskim stylu. Ich zaczerwienione twarze – oraz kolekcja pustych butelek po Dom Pérignon rozrzuconych na podłodze – świadczyły o tym, że są kompletnie uwaleni.

– Siostra Bee, jak miło siostrę widzieć – powiedziała Whitley. – Nie będziemy głosować. *Nigdy*.

– Że co?

– Nie głosujemy. Zostajemy w Wincroft do końca świata. I już.

Wywróciła oczami na widok mojej miny.

– O Jezu, Bee. Przestań wszystkich niańczyć. Zachowanie godne pełnej poświęcenia zakonnicy nie sprawi, że cię wybierzemy. Przeciwnie, nigdy nie pozwolę, żeby jakaś Matka Teresa została przy życiu zamiast mnie. Po moim robaczywym trupie. To kłóci się z moją filozofią. Człowiek musi się ubrudzić, inaczej nigdy nie będzie żył tak naprawdę. Wytarżaj się w błocie, inaczej cię nie będzie.

– Nie jestem Matką Teresą. I nie jestem zakonnica. Nawet nie jestem taka znowu dobra.

Pomachała ręką, jakby przeganiała muchę, odwróciła się i tępo popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

– Nie chodzi o głosowanie – podjęłam. – Chodzi o to, że musimy trzymać się razem. Istnieje ryzyko, że zostaniemy w tym miejscu na zawsze. Pamiętasz, co mówił Jim na temat przyjaźni? Co mówił o nas? Dzięki lojalności przetrwamy razem wszystko.

Whitley zagryzła dolną wargę, tłumiąc śmiech.

– Nadal go kochasz. Wow. Zawsze dostrzegałaś tylko jego. I nadal tak jest, chociaż on nie żyje. A tak przy okazji, zastanawiałaś się kiedykolwiek, dlaczego wybrał ciebie? Ze wszystkich dziewczyn w całej szkole?

Stała szminkę z podbródka. Przygotowałam się, bo wiedziałam, co się święci. Jej wybuchy zawsze zaczynały się w ten sposób: wygłaszała uroczystą przemowę, jak wytrawny prokurator w sądzie, idealny zestaw słów mający na celu poszatkować przeciwnika.

– Wybrał ciebie, ponieważ na zwyczajnym tle diament błyszczy mocniej.

Nie odpowiedziałam, przypominałam sobie w myślach, że należy ignorować wszystko, co mówi Wit, kiedy jest wściekła. Mimo to poczułam rumieniec na policzkach, a nerwowy głosik w mojej głowie powtarzał *To nieprawda*.

– Sprzeciw – wtrącił Cannon, marszcząc brwi. – Problem zawsze polegał na tym, że to ty kochałaś Jima.

– On ma rację – mruknął Kipling. – To rzucało się w oczy, dziecko. Jak brodawka zdobiąca wielki paluch u nogi ratownika na miejskim basenie.

– O, błagam. – Whitley rzuciła mu mordercze spojrzenie. – To ty miałeś obsesję na jego punkcie. Przyznaj. Sądzisz, że nie widzieliśmy, jak go pożerasz wzrokiem, a twój południowy akcent ocieka przy nim syropem, jakbyś wierzył, że uwiedziesz go wersją Trumana Capote z trzeciorzędnego teatrzyku amatorskiego. A ty – zwróciła się do Cannona – ty się cieszyłeś,

kiedy umarł.

– Byłem zdruzgotany – odparł krótko.

– Skakałeś z radości.

Cannon spojrział na nią z zaciętą miną.

– Nienawidzisz Lindy? Cóż, fatalnie. Jesteś dokładnie taka sama jak ona. Brakuje tylko liftingów, spuchniętych kostek i armii facetów po pewnym czasie zwiewających jak przed burzą zapowiadającą huragan piątej kategorii. Ale nie martw się, aniele. Przyjdzie z czasem.

– Tylko że czasu nie ma – zauważył zaspanym głosem Kipling, unosząc palec wskazujący. – Już nie.

Whitley gapiła się na Cannona z rozdziawionymi ustami, cała roztrzęsiona.

– Cannon wcale tak nie myśli – szepnęłam, dotykając jej ramienia.

Odepchnęła moją rękę, chwyciła z podłogi butelkę. Cannon zdążył w ostatniej chwili zrobić unik i butelka roztrzaskała się o lustro za jego głową.

– Potwory! Wynocha z mojego domu!

Wybiegła z łazienki, spychając mnie łokciem z drogi. Parę sekund później pojawiła się na końcu korytarza, wymachując strzelbą, i wymierzyła w moją głowę. Rzuciłam się w dół po schodach. Pocisk trafił w sufit, wprawiając abazur w ruch. Kawałki tynku i listew posypały się na podłogę.

– Wynocha! Termity! Pijawki! Szczury!

Rozległy się kolejne strzały. Dopadłam drzwi frontowych i zderzyłam się z Marthą.

Miała na sobie zielone ponczo ociekające deszczem.

– Beatrice? Co się dzieje?

– Glizdy! Larwy! Te ohydne ryby żyjące na dnie oceanów z zębami jak nóż sprężynowy! WYNOCHA! WSZYSCY!

Nie odpowiedziałam. Wskoczyłam do pikapa i ruszyłam, przez rabaty, kałuże błota i połamane gałęzie, z trudem łapiąc oddech.

—

Musiałam się stąd wydostać, byle znaleźć się jak najdalej od nich. Pomyśleć.

Powtarzałam sobie, że wszystko, co mówili, wynikało z naszego położenia. Kiedy człowiek tkwi w takim miejscu, dzień po dniu, zaczyna

myśleć i czuć najmroczniejsze rzeczy, jakby próbował rzucić wyzwanie wszechświatowi, Bogu czy tam czemuś i udowodnić, że nie jest prawdziwe.

Na zwyczajnym tle diament błyszczy mocniej. Kochałeś Jima. Cieszyłeś się, kiedy umarł.

Nie chciałam o tym myśleć. Pojechałam do Wrony Kapitana, otworzyłam zapasowym kluczem, który tata chował za termometrem ściennym. Przyrządę grillowany ser, zjem trochę Rupieciarni i zasnę, a co dalej, zastanowię się jutro. Jutro, wczoraj, dzisiaj, czymkolwiek będzie ten dzień.

Ale w chwili, kiedy otworzyłam drzwi i przemknęłam pośród cieni jak tygrysie paski, zorientowałam się, że coś jest nie tak i to bardzo.

Krzesła, zwykle ustawione do góry nogami na stolikach, leżały porzucane dokoła. Szkło witryny z lodami popękało. Z zapachem tostów i mleczka do opalania mieszała się jakaś inna woń – jakby czegoś zepsutego. Pomknęłam do kuchni, zastanawiając się, czy Senny Sam nie zapomniał zabrać śmieci, ale nagle poczułam pod butem rozbite szkło. Pochyliłam się i zobaczyłam, że nadepnęłam na portret pradziadka Burna, który spadł ze swojego miejsca nad drzwiami i jakimś sposobem znalazł się koło kuchenki, twarzą do dołu, w połamanej ramie.

Było włamanie. To pierwsze, co mi przyszło do głowy.

A potem poczułam nadejście pętli, najczarniejszy ze snów zamykał się nade mną jak wieko trumny. Uświadomiłam sobie, że dzieje się coś jeszcze, coś dziwnego.

Usłyszałam ciche pukanie. Uniosłam wzrok i wrzasnęłam. W wychodzącym na uliczkę oknie przy zlewie widniała twarz.

Stróż.

Jego spojrzenie nie było ani przyjazne, ani wrogie, po prostu surowe. Dolną część twarzy przecinał cień. Po chwili dotarło do mnie, że Stróż przycina bluszcz i pędy wiciokrzewu, obrastające całą ścianę, których mama jakoś nigdy nie próbowała ujarzmić.

Wypadłam na zewnątrz, by zapytać, co tu robi, ale on już ruszył dalej.

– Hej! – krzyknęłam. – Czego chcesz?

Zignorował mnie, szedł dalej przez kałuże, z torbą pełną obciętych gałązek przerzuconą przez ramię. Skręcił za węgiel.

– Zostaw mnie w spokoju!

I nagle olśniło mnie, jaka jest jego rola.

Stróż miał nam przypominać.

Przypominać o głosowaniu.

ROZDZIAŁ 7

Po kłótni rozeszli się każde w swoją stronę. Ledwo wrócili do pętli, Kip, Martha, Cannon i Wit rozproszyli się jak nasiona dmuchawca. Odeszli bez słowa, nawet na siebie nie patrząc.

Nie zatrzymywałam ich. Nie miałam wyboru.

Czy to była depresja? Zapewne. Wściekłość z powodu losu, który nas spotkał? Też. A może chcieli po prostu sprawdzić, jak to jest wejść za znaki UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO i ZAKAZ WSTĘPU, za druty kolczaste otaczające platformę obserwacyjną na szczycie wieżowca i skoczyć.

Nie miało znaczenia, co się z nami stanie. Nic nam nie groziło. Jeśli Nieświat miał jakąś zaletę, to właśnie tę, że mogliśmy pozostać wiecznie młodzi, jak w piosence Alphaville. Mogliśmy żyć i umrzeć, i żyć od nowa, bez żadnych konsekwencji.

Kipling zaczął jeździć stopem.

Ledwo pojawił się na tylnym siedzeniu jaguara, natychmiast wysiadał, i ruszał w stronę drogi, zawsze z tą samą miną, tajemniczą mieszanką determinacji i nadziei, jakby czekał na coś konkretnego. Po wielu, wielu razach w końcu postanowiłam go śledzić. Dotarłszy do głównej drogi, tuż przed kamiennym mostem, zaczął iść do tyłu z wyciągniętym w bok kciukiem.

Zawsze zatrzymywał się szósty samochód. Brązowy pontiak z wyszczerbionym zderzakiem.

Tyle razy widziałam, jak do niego wsiada, że po prostu musiałam się dowiedzieć, co tam jest tak fascynującego, że nie można tego przegapić, nawet na jedną pętlę. Dlatego pewnego dnia do niego podeszłam.

– Dokąd się wybierasz? – zapytałam.

Odwrócił się, zrobił przestraszoną minę, która szybko zmieniła się w urażoną.

– Co?

– Kto siedzi w tym pontiacu?

Nie zatrzymał się.

– Nieważne.

- Dokąd jeździsz?
- Zostaw mnie, Bee.
- Po prostu powiedz.
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie twój zakichany interes.
- W takim razie jadę z tobą.
- Nie.

Był wściekły. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy mi przywalić, czy może przywiązać mnie do drzewa, żeby móc spokojnie odjechać.

- Powiedz i sobie pójdę.
- Skrzywił się, ścierając deszcz z twarzy.
- Ma na imię Shirley.
- I?

– I jeździmy razem do szpitala w Providence, gdzie przyjmuje chemię. Potem wracamy do jej ohydneho mieszkania tuż obok supermarketu i oglądamy *Noc żywych trupów*. Przyrządzam jej jambalayę z krewetkami, a kotu o imieniu Kanarek sałatkę z tuńczykiem. Dla niej jestem uciekinierem z Missisipi. Czasem mam na imię James. Czasem Jesus. Rozbiera się przede mną i prosi, żebym jej dotykał. Jest religijna. Sądzi, że jestem kimś w rodzaju zbawcy pochodzącym z innej planety, bo tyle o niej wiem. Gadamy całą noc. A teraz może poszukasz sobie własnego dziwnego doświadczenia, w którym też będziesz mogła zatopić się bez pamięci. Bo to należy do mnie.

W tym momencie zza zakrętu wynurzył się brązowy pontiak. Zwolnił na sekundę – za kierownicą siedziała przeciętnej urody szatynka, w białym T-shircie, z radia leciało *Close to Me* The Cure – i zaraz przyspieszył, czy to z powodu mojej obecności, czy z powodu sztucznego uśmiechu na twarzy Kipa, tak różnego od jego zwykłej wyluzowanej miny godnej kocura wylegującego się na werandzie.

- Kip pobiegł za samochodem, machając rękami.
- Zaczekaj! Stój! Shirley!
- Samochód zniknął za zakrętem.
- Widzisz, co narobiłaś! – zawył.
- Przepraszam.

Pokręcił głową i ruszył dalej. Minął most. Próbował zatrzymać kolejne samochody, czerwonego pikapa, potem vana, ale bez rezultatu.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnął, przyspieszając do truchtu.

Zostawiłam. Rozumiałam go. Cieszył się na spotkanie z Shirley, bo jakimś sposobem dzięki niej zapominał, że przebywa w Nieświecie. Może tylko na minutę. Ale była to minuta bezcenna w całym morzu wielu bezwartościowych.

Dowiedziawszy się, dokąd jeździ Kip, zaczęłam śledzić pozostałych.

Nie miałam wyjścia. Jeśli istniała nadzieja, że kiedyś jednak wydostanę się stąd żywa, musiałam się upewnić, że ich nie stracę, że nie wpadną w króliczą norę we własnej głowie, z której nigdy nie zdołają wrócić.

Poza tym potrzebowałam misji. Nie chciałam ponownie oglądać *Dziewczyny Piętaszek*. Nie chciałam znowu patrzeć, jak mama samym spojrzeniem mówi tacie, że nie jest zachwycona miejscami, które wybrał, bo są za blisko ekranu. Dwie sekundy później brodaty bezdomny upuszczał na podłogę puszkę piwa, mrużąc: *O kurwa*, starsza pani siedząca za nim szła zgłosić skargę do obsługi, a tłusty gość napychał sobie usta popcornem (upuszczając kilka ziaren na kolana). Symfonia normalności powtarzała się bez najdrobniejszych zmian. Znałam każde słowo, dowcipną uwagę, chrząknięcie, prychnięcie, kaszlnięcie, każdy szelest – jak inspicjent milion razy oglądający to samo przedstawienie zza kulis.

Poza tym widok moich rodziców, którzy wydawali się razem tacy szczęśliwi, sprawiał, że czułam się jeszcze bardziej samotna.

Najpierw postanowiłam śledzić Whitley i Cannona, którzy wracali do pętli trzy minuty wcześniej od reszty.

Kiedy wbiegałam do domu, ich już nie było. Nie zostawiali liścików. Widziałam tylko tylne światła samochodu znikające na końcu podjazdu. Ale ich auta stały przed domem. To musiało znaczyć, że odjeżdżają jakimś cudzym, i to razem, czyli niezależnie od tego, jakie rany zadali sobie podczas kłótni, już zdążyli się wyleczyć, niczym superbohaterowie obdarzeni magiczną skórą.

To mnie nie zdziwiło. Zawsze szybko się godzili.

Zajrzałam do garażu E.S.S. Burta i dostrzegłam mokre ślady opon na podłodze. Przeszłam do gabinetu, przewertowałam karty gwarancyjne i dotarłam do informacji, że brakujący pojazd to Rolls-Royce Silver Spur

w kolorze kasztanowym, rocznik 1982.

Przez kilka kolejnych pętli próbowałam ich dogonić.

Wydawało się to niewykonalne. Nie jechali na autostradę, nie wybierali żadnej z dróg biegnących wzdłuż wybrzeża, gdzie więc znikali i jakim cudem tak szybko i skutecznie? Po niezliczonych próbach skręciłam w wąską nieoznaczoną piaszczystą drogę i nagle wyrosła przede mną tablica z eleganckim napisem w stylu wiktoriańskim.

PRZYSTAŃ U DAVY'EGO JONESA. Po przejechaniu półtora kilometra pokazała się kolejna tablica: TYLKO DLA CZŁONKÓW.

Zajechałam na parking. Było to coś w rodzaju ekskluzywnej mariny. Przy nabrzeżu tłoczyły się jachty, był też biały budynek klubowy i egzotyczny bar. Opaleni panowie w niebieskich koszulkach polo spacerowali wzdłuż nabrzeża, uzbrojeni w parasolki i iPady.

Tuż na wprost mnie parkował kasztanowy Rolls-Royce Silver Spur z 1982.

Po chwili dostrzegłam Whitley i Cannona.

Rozmawiali z grupą emerytów, trzema parami w wieku sześćdziesięciosiedemdziesięciu lat. Kobiety miały krótkie farbowane włosy i szczupłe ciała przypominające znaki interpunkcyjne, mężczyźni byli tłuści i łysi. Wszyscy się śmiali. A Wit i Cannon śmiali się tak bardzo, że aż wysiadłam z samochodu, nisko trzymając parasolkę, żeby mnie nie zauważyli, i gapiłam się z rozdziawionymi ustami, nie mogąc uwierzyć, jak skutecznie robią wrażenie całkowicie normalnych – dwoje ludzi z perspektywą na jutro.

Zdawali się na coś czekać.

Zapewne na zaproszenie na pokład superjachtu o nazwie *Schyłek Świetności*, cumującego tuż obok. I zaledwie minutę później kroczyli z udawanym zachwytem po stopniach z tekowego drewna. Minęli lądowisko dla helikopterów i zniknęli w środku.

Niepomiernie zdumiona, podeszłam bliżej. Załoga w uniformach szykowała się do wypłynięcia.

– Dokąd płyniecie?

– Na Bermudy.

Kilka minut później jacht odbił od nabrzeża. Tej nocy, tak jak już od dawna, Wit i Cannon nie wrócili do Wincroft na głosowanie. A przy kolejnej pętli znów ich nie było.

Co oni kombinowali? I dlaczego to pytanie napawało mnie takim przerażeniem?

Miałam trzydzieści trzy minuty.

Chwilę, w której budziłam się w jaguarze i chwilę wypłynięcia jachtu w morze dzieliło dokładnie czterdzieści siedem minut. Przy trzydziestej trzeciej było już za późno. Kręciło się za dużo ludzi z obsługi. Przyłapali mnie chyba z milion razy.

– Przepraszam, ale kim ty jesteś?

– Hej!

– Nie wolno ci tu być.

– Czy to *Tkacz Snów*?

– Czy to *Kleopatra III*?

– Szukam kapitana Martina. Jestem jego siostrzenicą.

Odchodziłam, dukając przeróżne usprawiedliwienia i ignorując podejrzliwe spojrzenia, wsiadałam do pikapa i patrzyłam, jak Wit i Cannon znowu wsiadają na pokład i wypływają w morze.

Wiedziałam, że mam szansę na powodzenie tylko, jeśli natychmiast, w tej sekundzie, kiedy się przebudzę, chwycę kluczyki do samochodu Cannona, mercedesa dwa razy szybszego od mojego pikapa, wskoczę za kierownicę, popędzę skrótem, piaszczystą drogą dojazdową, z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, pośród mokradeł i piaszczystych pustkowisk, by dotrzeć do Przystani Davy’ego Jonesa jak najszybciej po nich.

Parkowałam za drzewem, podbiegałam do niewielkiej łodzi motorowej stojącej obok *Schyłku Światłości*, udając, że zaraz wsiadam, czekałam, aż nastoletni załogant spojrzy w ekran komórki, co znaczyło, że od tej chwili mam dwadzieścia sekund, żeby wbiec po stopniach i wpaść do środka przez pierwsze drzwi z brzegu. Za nimi znajdował się ozdobny pokój z szafą grającą i flipperami. Potem miałam piętnaście sekund, żeby pokonać trzy piętra, dotrzeć do części z kabinami prywatnymi i zniknąć w sypialni na końcu korytarza.

Z okna było widać marinę. Kiedy uchyliłam okno, mogłam podsłuchać oburzającą scenę z Whitley i Cannonem w rolach głównych. Ściemniali na całego, odstawiając świeżo poślubioną parę z Columbus w Ohio, która właśnie dowiedziała się, że ich wynajęty jacht ma poważną usterkę, co całkowicie zrujnowało im miesiąc miodowy. Tak się szczęśliwie złożyło, że

ich głośne lamenty usłyszał właściciel *Schylku Świetności*, niejaki Ted Daisy z Cincinnati i zaprosił biednych nowożeńców na pokład.

– Może spędzicie ten tydzień z nami? Starczy miejsca dla wszystkich.

– To bardzo miło z pana strony – odpowiadał Cannon – ale nie możemy.

– Bzdura. Oczywiście, jest jeden minus: spędzicie miesiąc miodowy w towarzystwie bandy starych przyków. Obiecujemy jednak trzymać się od was z daleka. Dostaniecie kucharza, animatora czasu wolnego i mnóstwo zabawek do waszej dyspozycji.

– Co ty na to, słoneczko? – pytał Cannon.

Wit poskubała ząbkami paznokieć.

– Sama nie wiem, misiaczku.

Zadziwiła mnie łatwość, z jaką odgrywali swoje role, zupełnie jak para wytrawnych tancerzy z Broadwayu. Ile pętli zajęło im ułożenie idealnego scenariusza, który skutecznie doprowadzał do zaproszenia na pokład jachtu? Dziesięć? Dziesięć tysięcy?

– Płyniecie z nami. Nalegam. Ted Daisy. A to moja żona, Patty.

– Artwell Calvin Trzeci – odpowiadał Cannon.

– Anastasia Calvin. – Whitley kręciła głową i dodawała: – Naprawdę nie wiem, co zrobiłam w poprzednim życiu, by zasłużyć na taką wspaniałość. Chyba się rozpłaczę.

Czego spodziewałam się po tym rejsie? Relaksującej wakacyjnej wyprawy? Pięknego marzenia, w którym Whitley i Cannon próbowali zapomnieć o Nieświecie?

Ten rejs z pewnością nie przypominał żadnej z tych rzeczy. O, nie.

Powinam była się domyślić. Ich związek, kiedy chodzili ze sobą w Darrow, zawsze był burzliwy. Uprawiali seks w szafach i salach szkolnych, na dachach, w lesie, na galerii w kaplicy i nigdy, ani razu, ich nie przyłapano. Chodzili po korytarzach spleceni ramionami jak dwa boa dusiciele, nauczyciele i uczniowie obserwowali ich nerwowo, ale nikt się nie skarżył. W końcu byli w pierwszej piątce, jeśli chodzi o wyniki w nauce. Whitley mówiła o ich miłości jak o niemożliwym do zaspokojenia pragnieniu. Ja widziałam to uczucie raczej jako śmiertelny pocisk pędzący prosto do celu. Nie wiedziałam tylko, czy celem tym jest któreś z nich czy może ktoś trzeci. Klócili się, godzili, nienawidzili i nie mogli żyć bez siebie nawet przez sekundę.

Nazywali siebie Sid i Nancy. Kradli dla zabawy. Każda rzecz w kampusie,

niezależnie od rozmiarów, mogła paść ich łupem, jak na przykład karty z egzaminami z fizyki pani Ferguson, wart dwanaście tysięcy dolarów pejzaż marynistyczny z galerii sztuki, tartanowa kamizelka rektora Traska w rozmiarze XXL, którą zawsze wdziewał na zakończenie roku, a nawet koparka Johna Deere'a z placu budowy. Brali sobie, co im się tylko podobało, wywołując trwające przez tydzień zamieszanie. Pojawiały się ogłoszenia i groźby usunięcia ze szkoły, a kilku niewinnych uczniów wzywano do gabinetu dziekana w celu złożenia zeznań – aż wreszcie, równie cicho i niepostrzeżenie jak zniknął, łup wracał na swoje miejsce. Ich zamiłowanie do kradzieży nie wynikało ze zwyczajnych motywów jak chęć odreagowania czy pragnienie zwrócenia na siebie uwagi. Nie, chodziło o czystą przyjemność płynącą z oszukiwania innych ludzi – bycia zawsze o krok przed wszystkimi – no i ciągłą potrzebę prześcignięcia tej drugiej osoby.

Panowała powszechna opinia, że jeśli zostaną razem, będą kiedyś legendą. Ja skrycie uważałam, że ich więź jest zbyt bliska, że są właściwie jak bliźnięta. Cannon nie miał wprawdzie temperamentu Whitley, ale miał jej intensywną emocjonalność i talent do manipulacji: tu rzucić słowo, tam sugestię, jak gram uranu, który wystarczy do spowodowania wybuchu jądrowego. Rozbijali pary, doprowadzali nauczycieli do łez. Kiedy wreszcie w ostatniej klasie zerwali, ich rozstanie przypominało złowieszczo cichą broń biologiczną, która rozwiązała się w powietrzu praktycznie bez śladu, wbrew wszelkim naukowym wyjaśnieniom.

– Wiadomo, że w tym wieku miłość ma krótką datę ważności – zawyrokowała Whitley, wzruszając ramionami.

Stało się dla mnie jasne, że Whitley i Canon wsiadali na pokład *Schyłku Świetności* z jednego jedyne powodu: postanowili zrobić z jachtu swój prywatny, pokręcony plac zabaw, na którym będą szaleć jak dwie małe wypuszczone z klatki.

To był ich pokój bez klamek. Dźwiękoszczelne pomieszczenie, w którym mogli drzeć się co sił w płucach.

Pierwszego wieczoru Whitley, kompletnie pijana, obrzygała stół zastawiony do kolacji półmiskami z homarem i befsztykiem z polędwicy.

– Ups – skomentowała, ocierając usta.

Drugiego wieczoru tańczyła prowokacyjnie z Tedem Daisy. Kiedy jego żona, Patty, zobaczyła, co się dzieje, zawołała pijanym głosem: *Ted! Ted?*,

jakby ich trwające pięćdziesiąt lat małżeństwo właśnie zmieniło się w rozmowę telefoniczną z zakłóceniami na linii.

Innym razem Cannon i Whitley rozebrali się do bielizny, wleźli na reling, wrzeszcząc *Carpe noctem!*, chwycili się za ręce i skoczyli do morza, piętnaście metrów w dół. Zawył alarm. Kobiety krzyczały. Silniki wyłączono. Członkowie załogi wybiegli na pokład, przerzucając się rozkazami, dwóch skoczyło do wody z kamizelkami ratunkowymi.

– Wyciągnijcie ich! – krzyknął Ted, z rozpaczą w oczach przechylając się przez reling. Wyglądał, jakby miał zawał. – Nie mam zamiaru iść do więzienia przez tę dwójkę świrów!

– Wszystko stracimy – zawodziła Patty.

– Trzeba było ich związać, jak tylko się zorientowaliśmy, że mają nie po kolei w głowie. Powinniśmy byli wezwać straż.

– To twoja wina! – wrzasnęła Patty. Sztywne blond włosy sterczały jej dokoła głowy jak chipsy. – Zaprosiłeś ich, bo chciałeś zaimponować młodej dupie. Myślałeś, że masz u niej szansę. Cha! Mam nadzieję, że jesteś zadowolony!

Histeria. Panika. Wściekłość. Rozpacz. Lęk. Alarm.

To wszystko działo się na pokładzie *Schyłku Świetności*, w dniu, który powtarzał się bez końca.

Obserwowałam te sytuacje z pomieszczeń na zapleczu, pustych sypialń, rozdzielni elektrycznej. Wkładałam strój członkini załogi i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zawsze czekałam na odpowiedni moment, żeby wyjść z ukrycia, przemówić Cannonowi i Wit do rozsądku, ściągnąć ich znad krawędzi. Ale taki moment nie nadchodził. Za dobrze ich znałam. Kiedy wpadli w taką fazę, byli nie do zatrzymania.

Zostawałam więc w swoich kryjówkach, obserwując koszarne scenki przez szparę w drzwiach, przerażona, chora, czasem we łzach, zastanawiając się, kiedy to wreszcie się skończy.

W końcu któregoś wieczoru Cannon rozbił karafkę Tedowi Daisy na głowie. Ted pchnął go na gablotę pełną kryształowych pucharów. Zaczęli się siłować, przewracali stoliki kawowe i stół jadalniany. Nagle Cannon znalazł się na nim, usiadł mu na piersiach i zaczął dusić.

Uznałam, że tego już za wiele. Wybiegłam z szafy, uklękłam obok Cannona i zaczęłam odrywać jego ręce. Ted krztusił się i chlipał.

– Przestań! – krzyknęłam z płaczem.

Cannon puścił dopiero po minucie. Rozpoczęłam reanimację, uciskając pierś Teda i licząc, tak jak uczył mnie tata. Sprawdziłam puls. Żył, ale ledwo.

– Musicie przestać – szepnęłam.

Cannon patrzył na mnie jak na daleką krewną, której imienia nie może sobie przypomnieć.

– Pogarszacie sprawę. Bo my pamiętamy. Ci ludzie nie. Ale wy pamiętacie. Destrukcja pożre was od środka.

– Och, zamknij się, Bee – odparła Wit.

Wstała z sofy, na której wcześniej zalegała niemal nieprzytomna.

– Co ty w ogóle tu robisz? Śledzisz nas? Kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego? Już nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Zniszczyłaś naszą przyjaźń, kiedy zniknęłaś po śmierci Jima. Myślisz, że możesz zlewać ludzi, a potem wrócić jak gdyby nigdy nic?

Ruszyła w moją stronę, wbijając we mnie zaczerwienione, groźne oczy. Odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki, przepchnęłam się przez grupę gości, których zbudził hałas i teraz stali tam w swoich szlafrokach z białego frotté, przyglądając się całej scenie z rozdziawionymi ustami, zaszokowani. Pobiełam na górny pokład i spędziłam resztę pętli w jednej z łodzi ratunkowych, szlochając i licząc na to, że nikt mnie tu nie znajdzie.

Więcej na *Schylek Świetności* nie wróciłam.

Cannon i Wit oczywiście wybrali się tam zaraz przy kolejnej pętli. Wit zostawiła dla mnie wiadomość dramatycznie nabazgraną czerwoną szminką na kuchennym blacie:

TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA.

Nie musiała mi grozić. I tak nie mogłabym tam wrócić.

Czy za którymś razem znudzą się wreszcie jachtem i wrócą do Wincroft? Czy któreś z nich wreszcie zdecyduje, że chce żyć, uciec z Nieświata, oddać głos? A może znajdą sobie inną rozrywkę, zapewne również cudzym kosztem? Nieświat ofiarował nieskończone możliwości zabawy, było więc całkiem możliwe, chociaż przerażające, że więcej ich nie zobaczę.

Nawet nie mogłam o tym myśleć. Jeszcze nie.

Zamiast tego postanowiłam zająć się Marthą.

Zabawne, ale prawie o niej zapomniałam. I przypuszczałam, że właśnie tego sobie życzyła.

ROZDZIAŁ 8

Martha już nie chodziła na spacerunki wokół Wincroft. Teraz szybko wpadała do domu, chwyciła płaszcz przeciwdeszczowy i odjeżdżała, by więcej się nie pokazać.

– Dokąd jeździsz? – zapytałam.

Obróciła się na pięcie, zaskoczona. Nie zauważyła mnie siedzącej na ganku w fotelu bujanym. Otrząsnąwszy się, wyjęła kluczyki i otworzyła parasolkę.

– Do takiego śmiesznego bufetu przy kościele baptystów w Newport – odparła ze wzruszeniem ramion. Twarz jej poczerwieniała. – Zrobiłam sobie z niego swoją prywatną biosferę. Wybieram faceta i sprawdzam, czy uda mi się go skłonić, żeby pod koniec wieczoru wyznał mi miłość. Albo podchodzę do jakiejś kobiety i namawiam ją, żeby zostawiła męża. Próbuję udowodnić teorię na temat ludzkiej natury: że każdy człowiek jest zdolny do wszystkiego, w każdej chwili, o ile zaistnieją pewne określone warunki.

Kłamała. Wyraźnie widziałam.

– Mogę pojechać z tobą?

– Wolałabym być sama.

– A kiedy chodziłaś z lornetką na spacerunki? Co właściwie robiłaś?

– Obserwowałam ptaki.

To również było kłamstwem. Chyba doskonale zdawała sobie sprawę, że jej nie wierzę, ale patrzyła na mnie bez mrugnięcia okiem.

– Nie martwisz się? – zapytałam, starając się ignorować wściekłość czającą się gdzieś w głębi brzucha. – Nie jesteś wkurzona? Przerażona? Straciliśmy ich, całą trójkę.

Uśmiechnęła się blado.

– Proponuję, byś pogodziła się z losem, Bee.

A potem odwróciła się na pięcie i pobiegła do samochodu.

—

Podczas kolejnej pętli skierowałam się prosto do swojego pikapa. Kiedy

Martha była jeszcze w domu, schowałam się na podjeździe, a kiedy mnie minęła, pojechałam za nią.

Niestety, chyba nabrała czujności za sprawą naszej rozmowy, bo jak tylko znalazłyśmy się na autostradzie – chociaż dzieliły nas trzy samochody – skręciła w pierwszy zjazd, potem długo krążyła między opuszczonymi budynkami w parku biznesowym i wreszcie podjechała pod centrum handlowe Birchwood Plaza. Przez kilka godzin buszowała po sklepach z ubraniami i jadła calzone w części restauracyjnej.

Wiedziała, że ją obserwuję. Ale zdawała się w ogóle tym nie przejmować. Podczas kolejnej pętli powtórzyła całą operację w innym centrum handlowym. Potem w jeszcze innym.

Byłam przekonana, że Martha normalnie nie spędza czasu w centrach handlowych. Chciała mnie zmylić. Pewnie liczyła na to, że w końcu się znudzę.

No to się znudziłam. Przestałam za nią jeździć. Przez kilka kolejnych pętli – a może kilka tysięcy? – zastanawiałam się, jak śledzić ją tak, by mnie nie zauważyła.

I tak rozpoczęła się moja świetlana kariera złodziejki samochodów.

—

Złodziejki spanikowanej i skruszonej.

Setki razy łapali mnie na gorącym uczynku.

– Kim jesteś, do cholery, i co robisz w moim garażu?

– Dzień dobry. Przepraszam.

Na szczęście – zapewne dlatego, że emanowałam przejmującym smutkiem, niewątpliwie wynikającym z życia w Nieświecie – wszyscy puszczali mnie wolno.

Wreszcie znalazłam samochód, który mogłam ukraść niepostrzeżenie – zardzewiały biały van z napisem MCKENDRICK DEZYNSEKCJA DERATYZACJA.

Należał do siedmioosobowej rodziny McKendricków żyjącej w skromnym wiejskim domu niedaleko Wincroft. Cała siódemka zawsze była w domu, więc zdobycie kluczyków przypominało niezwykle trudny numer cyrkowy.

Udało się dopiero po bardzo wielu próbach.

Punkt pierwszy: ukryć się w krzakach rododendronów pod kuchennym

oknem i czekać, aż Bud McKendrick pójdzie do salonu po camele lighty. Punkt drugi: schować się w spiżarni i nie potknąć się o wielkie wory z żarciem dla kota ani gigantyczne plastikowe wiadra pełne gotowego makaronu z serem. Punkt trzeci: zaczekać, aż Pete McKendrick weźmie z kuchni KitKata i zejdzie na dół oglądać *Jimmy'ego Neutrona*, Bud zaś pójdzie na górę się zdrzemnąć, a Gerry i Paul, bliźniacy, wyjdą przed dom grać w deszczu w piłkę. Punkt czwarty: przemknąć do salonu, płosząc przy tym Tupaca, kocura, który podskoczy na wysokość dwóch metrów i zacznie wspinać się po zasłonie. Punkt piąty: buchnąć kluczyki ze stołu i schować się za sofą, zanim Laurel McKendrick przyjdzie wyjąć czterdzieści dolarów z portfela męża. *Idę do sklepu!* Punkt szósty: wrócić biegiem do kuchni i nie spotkać czteroletniej Kendall McKendrick.

– Kim jesteś? – pytała, robiąc wielkie oczy.

Kendall nie dało się uniknąć. Choćbym nie wiem co robiła, zawsze mnie przyłapała.

To był najwrażliwszy moment całej operacji: znaleźć odpowiedni zestaw słów, które sprawią, że Kendall nie zacznie wyć jak alarm przeciwpożarowy. Próbowałam wszystkiego. Nic nie działało.

– Jestem aniołem.

– Pracuję dla wróżki zębuszki.

– Jestem czarodziejskim elfem i muszę pożyczyć samochód twojego taty.

Ile razy przemykałam po domu McKendricków jak giętka akrobatka, tylko po to, by w końcu rozbić się o ziemię, bo Kendall zaczynała drzeć się na całe gardło, przywołując całą armię McKendricków.

– Tato! Tato!

McKendrickowie wypadali przed dom, prezentując różne wersje tej samej miny groźnego buldoga, a ja brałam nogi za pas.

– Stać! Złodziej! – darli się.

– Tato, nie pozwól jej uciec!

Stary poczciwy McKendrick ani razu nie zadzwonił na policję. Na ojcu piątki dzieci nastoletnia włamywaczka zapewne robiła niewielkie wrażenie. Przez chwilę patrzył za mną, marszcząc brwi, nieco zblazowany, i zawsze puszczał mnie wolno.

W końcu nadeszła taka pętla, kiedy powiedziałam Kendall prawdę.

– Nazywam się Beatrice Hartley. Tkwię między życiem i śmiercią, w miejscu o nazwie Nieświat. Próbuję się stąd wydostać i, żeby nie

przedłużać, powiem tyle: idź oglądać bajki z braćmi i ani słowa. I to już.

W milczeniu kiwnęła głową i pomaszerowała na dół.

Nieco oszołomiona, chwyciłam z krzesła czapkę z daszkiem Buda i jego okulary słoneczne, otworzyłam drzwi do garażu i popędziłam do samochodu. Włożyłam kombinezon Buda, czapkę i okulary i wskoczyłam na fotel kierowcy. Zapalając silnik, zastanawiałam się, jakim cudem zdołam przejechać obok grających w piłkę bliźniaków, ale w tym momencie Paul niechcący kopnął piłkę na podwórko sąsiadów. Pokonałam drogę dojazdową, skręciłam w prawo i kilka domów dalej wjechałam w kolejny podjazd. Serce waliło mi jak młotem.

Minutę później minęła mnie honda accord Marthy. Ruszyłam za nią.

Celem jej wypraw okazał się Uniwersytet Browna w Providence. Poszłam za nią na trzecie piętro budynku z czerwonej cegły na Thayer Street, pod drzwi narożnego gabinetu.

Mosiężna tabliczka na drzwiach głosiła: PROF. ARNOLD BELORODA.

Martha zapukała. Męski głos powiedział *proszę* i weszła. Usłyszałam jeszcze, jak mówi *dzień dobry*. Przepchałam się przez zatłoczony korytarz pod same drzwi. Wyteżyłam słuch, ale nie byłam w stanie rozpoznać słów.

Wrzuciłam nazwisko w google. Arnold Winwood Beloroda. Nagradzany psychiatra i emerytowany profesor specjalizujący się w teorii dynamiki grupy. Prowadził cały szereg zajęć. „Podejmowanie etycznych decyzji: dobry, zły, brzydki”. „Psychologia manipulacji i przyzwolenia”. „Fantazmat wolnej woli”. Seminarium noszące nazwę „Laboratorium eksperymentów w dziedzinie perswazji społecznej”. Opublikował trzynaście książek naukowych, a za jedną z nich, napisaną w latach dziewięćdziesiątych, *Bohaterowie i złoczyńcy*, zdobył całe mnóstwo nagród. Według *Wall Street Journal* traktowała ona o „dynamice pan-niewolnik w obozach koncentracyjnych” oraz innych sytuacjach, w których „większa populacja pozwala się kontrolować mniejszej liczebnie elitarnej grupie”.

Przejrzałam pobieżnie artykuły Belorody w *Harvard Review*, *Economist* i *Scientific American*. Co w nim było takiego frapującego? Co tak znaczącego, że Martha zadawała sobie tyle trudu, by go przede mną ukrywać?

Nagle mnie olśniło. Jakby czyjeś łapy ścisnęły mnie za gardło.

Podczas gdy my traciliśmy czas, walcząc z zaistniałą rzeczywistością, Martha wykorzystywała stan beczasowości na zdobywanie wiedzy.

Beloroda uczył ją, jak manipulować grupą. Żebyśmy wybrali Marthę. Szukała sposobu, który zapewni jej zwycięstwo.

Śledziłam ją przy każdej pętli. Za każdym razem jechała na Wydział Kognitywistyki, Lingwistyki i Psychologii na Uniwersytecie Browna. Za każdym razem spotykała się z Belorodą. Zaszywali się w jego gabinecie na trzy, cztery godziny. Pewnie znalazła na niego sposób, przynętę w postaci ambitnych pytań o dynamikę grupy czy szczegółów wygrzebanych z jego własnych artykułów – magiczny klucz otwierający drzwi do porozumienia, spotkania podobnych umysłowości. Kiedy wreszcie wychodzili, Beloroda – drobny mężczyzna z zadartym nosem i niezwykle starannie wypielegnowaną atramentowej barwy brodą przypominającą test Rorschacha – rozpromienionym wzrokiem patrzył na Marthę (która teraz dźwigała cały stos podręczników oraz notatnik gęsto pokryty pismem), wyraźnie zachwycony pojawieniem się tak ciekawej i ujmującej studentki.

Wychodzili przed budynek pod jednym parasolem, pogrążeni w rozmowie. Przystawali na chodniku i gadali jeszcze przez dwadzieścia minut. Raz podkradłam się bliżej i schowałam w niszy, gdzie studenci palili, chroniąc się przed deszczem.

– Bezsprzecznie ma pani rację – powiedział Beloroda – ale w tym miejscu mógłbym przywołać filozofię M. Scotta Pecka. W każdej grupie zachodzą cztery stadia rozwoju. Pseudowspólnota. Chaos. Pustka. Autentyczna wspólnota.

– Mógłby pan powiedzieć coś więcej na temat eksperymentu Milgrama?

– Ach. Ślepe posłuszeństwo autorytetom – zachichotał Beloroda. – Bardzo bym chciał, ale obawiam się, że muszę się pospieszyć, wybieramy się z żoną na przyjęcie. Może dokończymy tę rozmowę jutro, po moim wykładzie na temat spoistości grupy?

Otworzył samochód i wsiadł.

– To była prawdziwa przyjemność panią poznać, panno Peters. Do jutra?

I odjechał. Martha odprowadziła go wzrokiem. Przyjazny uśmiech zniknął z jej twarzy. Naciągnęła kaptur, wsiadła do samochodu i również odjechała. Kilka kolejnych godzin spędziła w boksie przy oknie greckiej tawerny, czytała podręczniki i notowała. Kiedy tawerna została zamknięta, Martha przeniosła się do swojej hondy i tam kontynuowała studia przy górnej lampce.

Im dłużej obserwowałam ją z ciemnego parku po drugiej stronie ulicy, tym

większy czułam strach, dławiący niepokój, jakby Nieświat zamykał się wokół mnie na zawsze.

Martha była genialna. Martha zrozumiała. Wyprzedzała nas o lata świetlne. Natychmiast pogodziła się z koszmarną rzeczywistością Nieświata i zamiast z nią walczyć, wykorzystywała czas na szukanie sposobu, w jaki mogłaby nad nią zapanować.

Chciałam żyć. Chciałam, by to mnie wybrali. Ale teraz, patrząc na blade światło we wnętrzu jej samochodu i walcząc ze łzami, czułam, że jest za późno, że już przegrałam.

Nagle w parkowej alejce dostrzegłam ciemną postać pchającą taczki pełne czarnego kompostu.

Do tej pory powinnam była przywyknąć do obecności Stróża. Ignorować, że niezależnie od tego, gdzie jestem, jak daleko od Wincroft, i kiedy najmniej się tego spodziewam, on pojawia się jak przerażająca myśl, wszechobecny sygnał alarmowy Nieświata, jego memento, bijący dzwon.

Głosowanie. Głosowanie. Głosowanie.

Temperatura spadła. Deszcz przechodził w śnieg.

Pobiegłam do vana, wskoczyłam do środka i odjechałam, w takim tempie, że o mało nie walnęłam w latarnię. Stróż przystanął i odprowadził mnie wzrokiem, opierając łopatę na ramieniu.

Uchwyciłam zarys jego twarzy pośród wirujących płatków śniegu. Lodowaty uśmiech.

Nie miałam pojęcia, co zamierza Martha. Podejrzewałam jednak, że jest to plan tak przemyślany i mistrzowski, że nikt z nas się nie zorientuje.

I nie pomyliłam się.

ROZDZIAŁ 9

Jak spędziłam kolejne pętle?

Ile trwały? Miesiące? Lata?

Zostałam sama. Wincroft było moim zamkiem, moją małą planetą. Panowała na niej nieskończona samotność. Owszem, był tam Gandalf, ale kiedy chciałam go pogłaskać, cofał się i warczał, jakby wiedział, że nie jestem do końca prawdziwa. Wędrowałam po korytarzach i zatęchłych pokojach, rozmawiałam z wypchanymi jeleniami i niedźwiedziami grizzly. Przeczytałam wszystkie książki z biblioteki E.S.S. Burta, leżąc wygodnie na kozetkach, kanapach i dywanach, na stołach, parapetach i wielkich fortepianach. Obejrzałam wszystkie programy na wszystkich kanałach. Jadłam czekoladę. Grałam w scrabble i w szachy z samą sobą, śpiewałam. Rysowałam wszystko, co przyszło mi do głowy – oczy, twarze, krajobrazy, cienie. Ułożyłam ścieżkę dźwiękową wraz ze słowami piosenek do czterogodzinnego filmu o końcu świata pod tytułem *Ostatnie dni Neda Gromby’ego*, wypisałam szalone rymy o życiu i śmierci, wojnie i pokoju na tapetach, podłogach i sufitach. Wincroft było moim przejściem podziemnym, które pokrywałam kolejnymi warstwami graffiti. Zaciskałam powieki, by zmusić ciszę do odwrotu, wertowałam wspomnienia z dawnego życia, jakbym mogła znaleźć w nich klucz pasujący do drzwi, którymi się stąd wydostanę.

Odwiedzałam starszych ludzi. To oni stali się moimi ulubieńcami, ponieważ tkwili zamknięci w swoich własnych Nieświatach, nieprzeniknionych pomieszczeniach powtórzenia i samotności. Dzwoniłam do drzwi i mówiłam, że sprzedaję kalendarze bożonarodzeniowe dla mojego kościoła. Jadłam ciasta owocowe, głaskałam ich stare psy o cuchnącym oddechu, które po chwili czmychały, przygarbione. Piłam dziwne herbatki i oglądałam telewizję, wąchałam zwarzony zapach starego domu, którego oni już nie czuli. A przede wszystkim słuchałam opowieści. Rozplątywałam skomplikowane anegdoty i zawile opowieści o zmarłych mężach, słabnącym zdrowiu, dzieciństwie pełnym tafty i mleka po dziesięć centów.

Doszłam do wniosku, że jeśli zostanę w Nieświecie, sama, aż do końca

czasu, będę jak podróżnik z dawnej epoki przemierzający drogi, o stwardniałych dłoniach i sercu, uginający się pod ciężarem wszystkich opowieści i sekretów całego świata.

Przynajmniej tyle skorzystam, że stanę się bardzo mądra.

I kiedy tak siedziałam, słuchając historii o zerwanych zaręczynach, śmierci dziecka czy kocie, zawsze nieuniknienie dostrzegałam oznaki rozkładu. Pojawiały się znieczeka i sprawiały, że aż podskakiwałam. Nagle wszystkie szyby we wszystkich oknach zaczynały cicho pękać. Rodzinna fotografia spadała z hukiem ze ściany, ukazując ciemniejszy prostokąt tapety, która od czterdziestu lat nie oglądała światła dziennego.

– Co się znowu dzieje, u licha...

W przypadku pani Kahn zaczęło się od cichego rytmicznego dźwięku.

– Przeklęty szop pracz znów wlaźł mi do domu – wymamrotała, zawiązując szlafrok. Po chwili z dołu dobiegły mnie jej krzyki. Pobiełam do niej. W osłupieniu patrzyła, jak tworzące bezcenną kolekcję szklane kule – prezenty od utraconego adoratora o imieniu Paul – wybuchają niczym granaty pośród bryzgów wody i sztucznego śniegu, strzelając dokoła plastikowymi Mikołajami, wieżami Eiffla i bazylikami świętego Piotra.

Pani Kahn zakryła twarz.

– Nadszedł dzień sądu ostatecznego!

Oczywiście już wcześniej dostrzegałam oznaki zniszczenia, po raz pierwszy w naszym domu, kiedy rozmawiałam z mamą, potem tamtej nocy we Wronie. Nie wiedziałam, co jest przyczyną tych zjawisk ani co oznaczają, ale za każdym razem, kiedy oddalałam się od Wincroft, świat wokół mnie zaczynał się rozpadać.

Za każdym razem czułam przerażenie. Uciekałam, mrużąc pod nosem, że muszę już iść, ale wrócę jutro, zostawiając panią Kahn, pana Appletona, panią Janowitz, panią Bellossi zdezorientowanych, pochylonych nad plamą zgnilizny czy pleśni, nad pęknięciami rozchodzącymi się wzdłuż ram okiennych jak coraz dłuższe szkieletowate palce. Biegłam z powrotem do Wincroft, by szukać Stróża w ogrodach otaczających dom. Chciałam doprowadzić do konfrontacji, zażądać, by wyjaśnił, co się dzieje.

A jednak – zadziwiające – wtedy kiedy akurat chciałam, żeby się pokazał, on trzymał się z daleka.

Zniszczenie postępowało. Co znaczyło? Czy Nieświat w końcu połknie sam siebie jak czarna dziura? Czy kończył nam się czas przeznaczony na

głosowanie? Czy to wszystko działo się z powodu Jima?

Odpowiedź była jak porażenie prądem.

Jim. To na pewno miało z nim związek.

—

Któregoś dnia Wit została.

Znalazłam ją na górze. Zagrzebana pod lawiną kołder i spuchnięta od łez oglądała na laptopie *Śmiertelne zauroczenie*. Wbiłam w nią osłupiałe spojrzenie. Czułam się jak rozbitek na widok drugiego nieszczęśnika, którego morze właśnie wyrzuciło żywego na moją wyspę.

Groźnie łypnęła.

– Zostaw mnie, Bee.

Bałam się ją spłoszyć, więc posłuchałam. Zrobiłam jej herbatę, postawiłam kubek na stoliku nocnym i sobie poszłam.

Podczas następnej pętli znów tam była, ku mojej wielkiej uldze. Oglądała *Klub winowajców*. Następnym razem *Goonies*. Zawsze przynosiłam jej herbatę. Któregoś razu odrzuciła kołdrę i popatrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem.

– Chcesz pooglądać *Wolny dzień pana Ferrisa Buellera*?

Kilka pętli później wrócił Cannon. Okazało się, że robienie demolki bez współpracownicy nie jest takie znowu zabawne. Był równie wyczerpany jak Whitley. Zaszył się w bibliotece ze swoim laptopem w trybie DOS i wypisywał jakieś tajemnicze hakerskie polecenia, patrząc w ekran, na którym ukazywały się zaszyfrowane informacje. Wydrukowałam zagmatwany artykuł doktoranta ze Stanfordu na temat bezpieczeństwa w Internecie i zostawiłam obok jego komputera. Następnym razem esej o Stevenie Spielbergu i klonowaniu mózgu, autorstwa młodego naukowca z Harvardu, potem post z bloga genialnego szesnastolatka studiującego w Cambridge na temat przyszłości robotyki.

– Jak ty znajdujesz te artykuły? – zapytał któregoś razu, zanim zdążyłam wyjść. – Są dość niszowe.

Mam tyle wolnego czasu, że przeczytałam cały Internet. Dwa razy.

– Tak jakoś się na nie natknęłam.

Uśmiechnął się.

– Są naprawdę super. Dzięki, Bee.

Wkrótce Kip przestał jeździć stopem. W chwili, kiedy pojawił się w Wincroft, nie wytrzymałam, zarzuciłam mu ramiona na szyję i mocno wyściskałam.

– Siostrze Bee, złamiesz mi kark. Nie jestem Elvisem, który powstał z martwych, dziecko.

Odsunął się, nic więcej nie powiedział i poszedł na górę. Ale widziałam po słabym uśmiechu, że też ucieszył się na mój widok. Tego wieczoru przyrządziłam dla niego gumbo z krewetkami według przepisu z jego ulubionej małej knajpki w Moss Bluff. Postawiłam miskę na stole w jego sypialni, gdzie się zaszły i oglądał *Kolekcjomanię* na TLC.

– Jak zdobyłaś tajemny przepis cioteczki Mo? – wykrzyknął z niedowierzaniem.

Miałam wystarczająco dużo czasu, by ją przekonać, że jestem jej zaginioną siostrzenicą.

– Eee, tak jakoś mi się ugotowało – odparłam ze wzruszeniem ramion.

I oto wróciły, trzy dzikie bestie, które próbowałam obłaskawić, żeby pozostały w zoo i już nie chciały wyrywać się do dziczy.

W końcu któregoś wieczoru, gdy siedzieliśmy we czwórkę w bibliotece, dostrzegłam, że Kip zerka z zaciekawieniem na zegar stojący na kominku i domyśliłam się, że na coś czeka. Widocznie Martha napomknęła coś o spotkaniu całą grupą, bo kiedy kilka minut po północy weszła bez słowa, dźwigając swoją ciężką czarną torbę, i usiadła na sofie, Kip nie wyglądał na ani trochę zaskoczonego.

– Już czas – oznajmiła.

Whitley i Cannon gapili się na nią w totalnym szoku.

– Dziękuję, ciebie też miło widzieć.

Martha posłała mu oficjalny uśmiech i klasnęła w dłonie jak sędzia.

– Wróciliśmy do punktu wyjścia – zaczęła. – Jakby ściany Nieświata były śliskie i pochylone, tak że zawsze zjeżdżamy po nich do początku. Przypuszczam, że wam również ukazywał się Stróż, i to w najmniej oczekiwanych momentach?

Kiwnęłam głową. Pozostali też.

– Stróż jest naszym opiekunem. Dba o nas, podtrzymuje przy życiu, pilnuje, by nie zabrakło nam pożywienia, lecz jednocześnie trzyma nas w szachu. Jest zdolny do wszystkiego, pełni funkcję zarazem przewodnika i tyrana, dozorca i oprawcy. Czasem zostawia nas w spokoju, czasem

podsuwa rady. Ale zawsze, niezmiennie nas prześladowuje, przypomina o tej jednej rzeczy, o której chcemy zapomnieć. Zrobi wszystko, by nakierować nas na określony cel. Reprezentuje potężny zamysł, którego my nie możemy zobaczyć.

Wszyscy słuchali bez słowa, zdumieni i wstrząśnięci. Martha siedziała wyprostowana, patrząc na nas pewnie i spokojnie. Już nie była tą milkliwą nerdzicą, rzucającą nieśmieszne komentarze w najdziwniejszych momentach, dziewczyną, która wolała zanurzyć się w świecie undergroundowej powieści fantasy niż żyć w świecie prawdziwym. To była nowa Martha, Martha, która pobierała nauki u Belorody. Emanowała pewnością siebie. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza ze swoją przemową, ale z pewnością dokładnie ją wcześniej obmyśliła, każde słowo dobrała starannie jak kamienie szlachetne do naszyjnika i każde dokładnie wypolerowała.

– Nieświat jest prawdziwy – powiedziała. – Aby go zrozumieć i podbić, najpierw musimy zrozumieć i podbić siebie wzajemnie. Sporo się nad tym zastanawiałam. Musimy odsunąć na bok pytanie, kto z nas powinien przeżyć. Nie jesteśmy na nie gotowi. Jeszcze nie. Najpierw musimy rozwikłać inną zagadkę. Zagadkę, która prześladowuje każdego z nas na inny sposób.

– O czym ty mówisz? – spytał Cannon, marszcząc brwi.

– O Jimie.

Jego imię było jak lśniący miecz, który przeciął powietrze i ciężko wylądował u naszych stóp.

– To było samobójstwo – szepnęła Whitley.

Martha spojrzała na nią kamiennym wzrokiem.

– Tak naprawdę w to nie wierzysz.

Wit chyba poczuła się zbyt nieswojo, żeby odpowiedzieć.

– Uważnie badam Nieświat – podjęła Martha. – To miejsce, pośród wielu innych cech, ma też taką, że czyni nas najskuteczniejszymi detektywami na świecie. Możemy bez końca wracać na miejsce zbrodni. Przesłuchiwać świadków. Dopracowywać pytania, manipulować, zastraszać, szantażować. Nie ma zasad, nie grożą nam kary. Możemy wreszcie odkryć, co stało się z Jimem.

Ciemne oczy Marthy zwróciły się przy tych słowach prosto na mnie. Poczulałam ciarki.

– Ale sprawy nie udało się rozwiązać – zauważył Cannon.

– No właśnie – zawtórował mu Kipling. – Gliny nie zaszły zbyt daleko.

– Policja działała pod naciskiem rady szkoły, która chciała jak najprędzej uciszyć sprawę. Zależało im, żeby wszyscy uwierzyli w samobójstwo, a wtedy oni mogli zacząć zmywać krew ze ściany. Tego życzyli sobie również nasi rodzice. Chcieli zamieść skandal pod dywan, zrobić ze śmierci Jima kolejną tragiczną historię skazanego na tragiczny koniec genialnego chłopaka. Legenda Jima Masona miała stać się kolejną opowieścią o duchach.

– A więc zostaniemy Sherlockami – powiedziała Whitley.

Kipling uniósł brew.

– Zawsze miałem upodobanie do tkanin w jodełkę i nieustępliwych śledczych.

– Wchodzę w to – oznajmił Cannon.

– Ja też – szepnęła Whitley.

– Beatrice? – zapytała Martha. Wszyscy na mnie patrzyli. Serce waliło mi jak młotem, ale dzielnie zniosłam ich spojrzenia.

To wreszcie się działo, po tak długim czasie. Za chwilę mieliśmy wypuścić lwa z klatki. Wyciągnąć Titanica z dna morza. Odnaleźć ciało człowieka, którego zamurowano w tych ścianach w noc, kiedy poszliśmy szukać beczki amontillado, jak w opowiadaniu Edgara Alana Poe.

Mieliśmy odkryć, co stało się z Jimem.

Moim Jimem.

Rozpoczęła się gra w kotka i myszkę.

CZĘŚĆ 2

ROZDZIAŁ 10

Dziwne okoliczności śmierci Jima Masona zawsze wydawały mi się nierzeczywiste, chociaż doświadczyłam ich bardzo wyraźnie i bezpośrednio.

Gdy teraz wracałam pamięcią do tamtych wydarzeń, siedząc w bibliotece z czwórką niegdyś najlepszych przyjaciół, gdy próbowałam przywołać w pamięci wszystkie szczegóły, czułam się tak, jakbym szukała we wspomnieniach zasad wymyślonej zabawy z dzieciństwa.

W ostatniej klasie, w semestrze letnim, tuż przed końcowymi egzaminami, mój chłopak, Jim, zaginął.

Dwa dni później wyłowiono jego ciało z jeziora w kamieniołomie Vulcan.

Był moją pierwszą miłością, chociaż te słowa nie potrafią oddać tego, ile dla mnie znaczył. Był Księżycem. Głosem w mojej głowie. Krwią. Chociaż każdy powie, że nastoletnia miłość nigdy nie trwa długo, że jest znacznie bardziej krucha niż może się wydawać, przysięgam, że to, co nas łączyło, było inne.

Był piękny, niezmierną urodą bohatera osiemnastowiecznej powieści cwałującego przez wrzosowiska na swoim rumaku: metr dziewięćdziesiąt, złotobrązowe oczy, potargane czarne włosy, krzywy uśmiech. Ale to nie wszystko. Był pełen życia. Jeśli porównać energię życiową do rzeczno-prądu, to prąd Jima mógłby oderwać palce. Jim parł przez zwyczajny poniedziałek, jakby we wtorek miał ogłosić przełomową wiadomość na temat tajemnicy istnienia. Był błaznem, mistrzem Chwyliwej Melodii, Dwuznaczników i Szokujących Romantycznych Gestów, na przykład po tygodniu znajomości dał mi antyczną spinkę od Cartiera w kształcie trzmiela. Napisał dla mnie piosenkę pod tytułem *Szyja królowej*. Najgorsze było w nim to, że ta jego intensywność wszystkich przyciągała. Był jak lampa na werandzie. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, krążyli wokół niego, jakby pomylili jego łaskawe spojrzenie z zanurzeniem w cudownym źródle w Lourdes. Nie miałam do nich pretensji. Sprawiał, że czuli się ważni i mniej samotni.

Nazywał mnie Amiszką, konspiratorką, Hedy Lamarr¹. Powiedział, że mam w sobie coś retro, czego nie potrafił uchwycić i określić, jakby były mi

przeznaczone inne, dawno zapomniane i bardziej niewinne czasy.

– Jesteś rudawką ciemną – oznajmił.

– Że co?

– Wymarłym gatunkiem nietoperza. Zaobserwowano tylko jeden egzemplarz. Widziano cię pewnego dnia w 1874, na Percy Island u wybrzeży Queensland w Australii. Innych przedstawicieli gatunku nie znaleziono. Ale proszę, oto jesteś, bezpiecznie ukryta w staromodnej i niezbyt imponującej szkole z internatem pośród głuszy Rhode Island. I tylko ja wiem o twoim istnieniu.

Był analityczny, niespokojny, nadwrażliwy, nie potrafił odpuścić. W wakacje przed ostatnią klasą wypłynął z przyjacielem z dzieciństwa łodzią wyciągową. Obaj byli pijani. Wpakowali się na ławicę i zderzyli z łodzią rybacką. Rybakowi i kumplowi nic się nie stało, na szczęście, ale Jim doznał pęknięcia czaszki i przez dwa dni leżał nieprzytomny. Owocem tego wypadku było sześć piosenek, cztery wiersze i utwór rapowy pod tytułem *Rozwałka*. Przysięgał, że nie będzie pił. Raz w miesiącu pisał list do rybaka, jakby chciał regularnie się spowiadać.

Taki właśnie był Jim. Buzował. Przelewał się przez brzegi. W końcu utonął.

– Musisz traktować swoje życie jak nową Amerykę – powiadał, opierając sobie gitarę na kolanach i przebiegając stwardniałymi opuszkami po strunach. – Przed tobą nieodkryty nowy ląd. Każdego dnia. Co zamierzasz z nim zrobić?

Teraz Whitley, Cannon, Kipling i Martha obserwowali mnie z niepokojem. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Nigdy nie poruszaliśmy tematu jego śmierci. Zapewne w związku z momentem, w jakim to się wydarzyło. Kiedy policja ujawniła wszystkie fakty, a władze szkoły wydały oświadczenie, rok szkolny dobiegł końca. Byłam w stanie szoku, prawie nic nie mówiłam i nie mogłam wstać z łóżka. Nie protestowałam, kiedy rodzice zabrali mnie ze zradzieckiego królestwa Darrow do bezpiecznego schronienia w Watch Hill. Musiało minąć wiele, wiele dni, żebym przestała płakać i wiele miesięcy, bym poczuła się w miarę dobrze.

– Kiedy smutek jest zbyt wielki, ciało się wyłącza – powiedział tata.

– Od czego zaczniemy? – zapytałam.

– Doskonałe pytanie – stwierdziła Martha. Spojrzała na mnie. Jej ciemne oczy lśniły za szklami okularów. – Jak sądzisz, co spotkało Jima? Zawsze chciałam cię zapytać.

A więc padło to pytanie, pytanie, które zadawałam sobie każdego dnia. Zmieniło mnie w dziwadło, wybryk natury, człowieka, który chodzi sobie po świecie z kulką w głowie, pozornie normalny, w środku – makabryczny cud.

Nie mogłam się doczekać, kiedy przedstawię swoje teorie, kiedy powiem o wszystkim, co wiedziałam, a oni nie wiedzieli, że wiem. Z tego powodu przyjechałam do Wincroft. Ale teraz, w tym oszałamiającym stanie istnienia między życiem a śmiercią, dzielenie się tymi informacjami nie byłoby zbyt mądre. O ile chciałam przeżyć. Bezpośrednie pytanie Marthy wywołało u mnie ciarki na plecach.

– Nie wiem – odparłam.

– To był wypadek – powiedział Kipling. – Na pewno, nie? Jim był w kamieniołomie. Może chciał się nawalić. Jasne, po wypadku z łodzią przyrzekał, że nie będzie pił, ale może miał doła. Stresował się z powodu musicalu. Nie wierzył, że mu się uda. Może się pośliznął. Drużyna pływacka trzymała tam piwo w puszkach. Może szedł sobie przez trawę, która w wietrzną noc potrafi zmienić się w prawdziwą ślizgawkę i, bo ja wiem, podszedł za blisko krawędzi i spadł?

– Czy Jim Mason kiedykolwiek się potykał? – zauważył Cannon.

Kipling wzruszył ramionami, odchylił głowę i spojrzał w sufit.

– Prawo anomalii – powiedział cicho. – Tak Mama Greer nazywa przypadki, kiedy realizuje się scenariusz najgorszy z możliwych, taki absurdalny koszmar na sterydach. Powtarza, że wszystkie niewyjaśnione zagadki w historii, jak śmierć Marilyn, zamach na JFK, historię Czarnej Dalii, Zaginioną Kolonię Roanoke należy przypisać prawu anomalii. – Pokiwał głową, jakby próbował przekonać samego siebie i leniwie pomachał ręką. – Czysty traf. Przypadek jeden na milion. Zły moment, złe miejsce i spora doza pecha. Obłąkany supeł przeznaczenia, zakręcona tajemnica, której nie rozwiąże żaden detektyw, bo wydaje się zbyt absurdalna. – Spojrzał na mnie z powagą. – Jimowi przydarzyło się właśnie prawo anomalii. Mogę się założyć.

– Aha – powiedziała Whitley, wzruszając ramionami. – Nikt z nas nie wiedział, że Jim wybierał się tamtego wieczoru do kamieniołomu.

Pokiwaliśmy głowami, zerkając na siebie niepewnie.

Podejrzywałam, że przynajmniej jedno z nas kłamie. Ja kłamałam na pewno.

W końcu tej nocy, kiedy zginął Jim, żadne z nich nie było tam, gdzie twierdziło.

Wiem, ponieważ szukałam ich wszystkich po kolei.

I nie znalazłam.

—

Kamieniołom Vulcana, zwany przez uczniów Darrow po prostu Wulkanem leżał jakieś półtora kilometra od centrum kampusu.

Stanowił najtrwalszą legendę Darrow. Dzięki kusząco niewielkiej odległości od szkoły – siedemdziesięcioakrowa działka graniczyła z lasami na południowo-wschodnich krańcach terenu należącego do szkoły – kamieniołom malował się jako zakazana ziemia niczyja, o której wszyscy szeptali i marzyli obsesyjnie, daleki świat, do którego wyprawiano się w przeróżnych celach, jak głupie żarty, gorące randki, otrzęsiny i inne młodzieńcze rytuały przejścia.

Krążące na temat tego miejsca opowieści – jak je znaleźć, co przydarzyło się uczniom, którzy odważyli się tam zapuścić (większość już skończyła szkołę, legend nie dało się więc zweryfikować) – powtarzały się regularnie i stanowiły fundament szkolnej tradycji. Kamieniołom był ściśle wpleciony w tkankę Darrow, w takim samym stopniu jak oficjalny hymn *O Panie, otwórz me serce*, motto *Prawda, Współczucie, Inicjatywa*, a nawet biblioteka Marksmana, gotycka forteca z szarego niszczonego kamienia, patrząca z każdej szkolnej broszury jak groźny ojczym.

Po pierwszej wojnie światowej firma Vulcan Sandberg wydobywała w tym miejscu granit. W latach pięćdziesiątych zbankrutowali. Krater stopniowo wypełnił się wodą, utworzyło się jezioro o głębokości sześćdziesięciu metrów. Teren zarósł trawą do szyi. Budka brygadzysty, drewniane pudełko przypominające salon z epoki podbijania Dzikiego Zachodu umieszczone na wysokości piętnastu metrów nad ziemią, do którego prowadziła wąska drabina, zaczęła przechylać się na północ. No i był sam kamieniołom, dziura w ziemi rozmiarów niewielkiego miasteczka, groźna i złowieszcza. Nie pozwalał o sobie zapomnieć ani odwrócić spojrzenia. Zdawał się opowiadać

jakaś przerażającą prawdę o świecie, którą dorośli woleliby przed nami ukryć.

Drużyna piłkarska z naszej szkoły tradycyjnie przychodziła tu co roku, by świętować Gołą Noc – bieg nowych zawodników na golasa do jeziora i z powrotem. Drużyna pływacka przed zawodami stanowymi skakała do jeziora na szczęście. Pary przychodziły tracić cnotę, śmiałkowie rozmyślać. Chodziły słuchy, że firma Vulcan Sandberg była w rzeczywistości rządową przykrywką, a kamieniołom służył za lądowisko dla kosmitów.

Dla szkolnej administracji kamieniołom był jak zbliżający się proces sądowy, jak zaczarowany las, który najchętniej by wycięli, by położyć kres mrocznym baśniom, napływającym z jego wnętrza niczym toksyczne opary. Zawsze któryś członek rady protestował, zbierał podpisy, by uznać miejsce za zagrażające bezpieczeństwu, lobbował wśród kongresmenów, żeby przekształcić je w centrum kultury, ośrodek YMCA czy osiedle mieszkalne. Na razie kamieniołom domagał się nowego ogrodzenia i całodobowych patroli policji. Ale władze miasta Warwick – częściowo z niechęci do zarozumiałych obcych, którzy próbowali im dyktować, co mają robić, a częściowo z nieudolności – nie spieszyły się za bardzo z wykonywaniem jakichkolwiek ruchów i do końca mojego pobytu w Darrow otaczająca teren kamieniołomu siatka, przerdzewiała, podziurawiona, obwieszona tablicami z zakazem wstępu tak wyblakłymi, że ledwo dało się je odczytać, wyglądała raczej jak nieprzekonująca sugestia ogrodzenia.

Jim po śmierci służył radzie szkoły jako afisz. Niedawno doszły mnie słuchy, że są plany przekształcenia kamieniołomu w zbiornik wody pitnej, i że otoczono go nowiuteńkim supernowoczesnym ogrodzeniem.

Które, rzecz jasna, nie stanowiło żadnej przeszkody dla uczniów Darrow.

Gdyby władze wiedziały, ilu uczniów wymyka się po nocy do przeróżnych miejsc – kamieniołomu, cudzych pokoi, siłowni w piwnicy, kotłowni – toby nie uwierzyły. Istniało sekretne forum – AlbanzHax.biz – na którym byli i obecni uczniowie wymieniali się poradami, jak wydostać się z każdego możliwego budynku w internacie i potem wrócić, tak żeby nie zostać złapanym.

Ciemne ciuchy. Wyjść przez ganek. Przemknąć pod oknem pana Robertsona, który pewnie śpi z numerem „Poetów i Pisarzy” na piersi.

Nasza szóstka wymykała się do kamieniołomu notorycznie. Już wcześniej nabraliśmy sporej wprawy w dziedzinie nielegalnych działań na terenie

kampusu: odwiedzaliśmy się wzajemnie w pokojach po dozwolonej godzinie, wspinaliśmy się po daszkach i podestach, by nie spotkać nikogo po drodze, dzieliliśmy się papierosem w ciemnościach, a potem zwiewaliśmy z powrotem do łóżek. W drugiej klasie Cannon znalazł w opuszczonej sali gimnastycznej naszkicowaną z grubsza na kafelkach mapę i wskazówki jak dojść do kamieniołomu. O północy wymykaliśmy się z pokojów i spotykaliśmy przy wejściu na Ścieżkę Filozofów. Z trudem tłumiąc śmiech, biegliśmy płataniną piaszczystych drózek prowadzących do Wulkanu.

To były najlepsze noce w moim życiu.

Nie umiałam określić, na czym to właściwie polegało – wiedziałam tylko, że kiedy na starość powrócę w myślach do tych czasów, na pewno będę miała w pamięci właśnie nasze wyprawy do kamieniołomu, chwile, gdy całą szóstką siedzieliśmy na przerażająco wąskim parapecie budki brygadzysty, zapatrzeni na jasnyniebieskie jezioro setki metrów poniżej.

Tam narodziła się nasza przyjaźń. Tam zacieśniliśmy więzy. W jakimś sensie to miejsce, surowe, obce tło ze skał, wody i nieba, oraz fakt, że robiliśmy coś zakazanego i niebezpiecznego, prześwietlało nas na wylot, ujawniało niewypowiedziane na głos pytania. Czuliśmy, jak życie nas spala, nasze blizny były równie rzeczywiste jak wiatr siekający nam twarze. Wiedzieliśmy, że wkrótce wszystko się zmieni, że nasza młodość istnieje teraz i właściwie za chwilę się skończy, że miłość jest krucha, a śmierć prawdziwa.

—

– A Biały Królik? – rzuciła Martha. – Coś mi tu zawsze nie pasowało. To było zbyt proste. Nagle okazało się, że to Jim, akurat kiedy znaleziono go martwego? – Pokręciła głową. – Nie mogę w to uwierzyć. Znałam go.

– Sądzisz, że władze szkoły zatuszowały fakty? – zapytała Whitley. – Uknuły intrygę, a z Jima zrobiły kozła ofiarnego?

– Nie wiem.

– Masz rację – powiedziałam do Marthy. – Jim na pewno nie był Białym Królikiem.

– Skąd wiesz? – spytał Cannon.

Po prostu wiem.

Biały Królik.

Tak nazywano dilerę dragów, który działał wśród uczniów Darrow, niewidzialny i inwazyjny jak wirus.

Stanowił prawdziwą legendę. Nikt nigdy go nie widział – a w każdym razie nikt się do tego nie przyznawał. Biały Królik dostarczał zamówienia w kreatywnym stylu, podrzucał towar w różnych miejscach na terenie szkoły: a to za ramą obrazu *Krajobraz numer 14* w galerii sztuki, a to pod rozerwanym obiciem fotela 104 w rzędzie E w sali koncertowej.

Kiedy byłam w ostatniej klasie, tajemniczy Biały Królik zyskał status postaci kultowej i jak tylko działo się coś dziwnego, zaraz wszyscy przypisywali to jemu. Nawet nauczyciele znali to imię. Bez wątpienia organizowali zebrania z jego powodu, zastanawiali się, czy jest prawdziwy czy może to owoc młodzieżowych fantazji na temat nieuchwytnego przestępcy.

Największy skandal dotyczył dziewczyny z pierwszej klasy, niejakiej Veroniki Beers. Wzięła jakieś piguły, totalnie odleciała podczas zimowego balu, spadła ze schodów i trafiła do szpitala. Przyznała, że narkotyki sprzedał jej Biały Królik. Sprawdzone numer, ale trop doprowadził jedynie do już nieużywanego telefonu na kartę.

Czy Biały Królik to była jedna osoba, czy może grupa? Uczeń, a może ktoś spoza szkoły?

Kiedy policjanci znaleźli Jima, nie żył od dwóch dni. Przyczyną śmierci było uduszenie w wyniku utonięcia, ale prócz tego stwierdzono objawy wstrząśnienia mózgu oraz złamania nóg i kręgosłupa, według koronera spowodowane uderzeniem w powierzchnię wody.

Policjanci przeszukali pokój Jima w budynku Packer Hall i znaleźli ukryte wewnątrz gitary towar: trawę, Adderall, Ritalin i kokainę. Doszli do wniosku, że to właśnie Jim był sławetnym dilerem, a przyczyną śmierci jest zapewne samobójstwo, chociaż nie wykluczali porachunków przestępczych.

Ta informacja rozeszła się jak pożar.

Najpierw zniknięcie i śmierć Jima Masona, teraz kolejne szokujące odkrycie. Dwa idealnie wymierzone ciosy, jeden zaraz za drugim, które odebrały nam dech jak końcówka slashera o nastolatkach.

No jasne, że to Jim był Białym Królikiem – szeptali wszyscy. – To

oczywiste.

Tego, kogo najbardziej podziwiamy, znamy najslabiej.

Jim był w końcu gwiazdą szkoły, szalonym rockmanem, obiektem damskich westchnień i geniuszem poezji, który potrafił spontanicznie rapować, układać wiersze na poczekaniu i nosił tweedowe czapki z daszkiem w taki sposób, że wyglądały superfajnie i luzacko (już każda z tych rzeczy z osobna stanowiła mały cud) – chłopakiem, którego wszyscy kochali, z którym chcieli przebywać, a jednocześnie życzyli mu śmierci.

Miał w sobie to coś. Był jak pole energetyczne.

Jak ogromne rozświetlone okno bez zasłon. Spacerując w nocy, nie mogłeś się powstrzymać, po prostu musiałeś przystanąć i zajrzeć do środka.

Nigdy nie wierzyłam, że był Białym Królikiem.

Wykluczone. Ktoś go zrobił, byłam o tym przekonana. Od wypadku z łodzią nie tknął alkoholu ani narkotyków. I na pewno by ich nie sprzedawał. Był typem, który ratował ptaki ze złamanym skrzydłem i spieszył na pomoc wyrzutkom siedzącym samotnie podczas długiej przerwy. Poza tym nawet nie potrzebował pieniędzy. Jego tata, Edgar Mason, stworzył buty sportowe van Gogh i bluzę z kapturem Poe, stał za międzynarodową firmą Głodujący Artysta, produkującą modne ciuchy, którą stworzył w wieku dziewiętnastu lat na tylnym siedzeniu swojego jeepa. Forbes wyceniał majątek rodziny Jima na pięć miliardów.

Przez miniony rok podważałam własne przekonanie o niewinności Jima. Obsesyjnie testowałam swoją teorię, przeprowadzałam kolejne testy, próbując dojść prawdy. Analizowałam w myślach te wszystkie przypadki, kiedy mówił, że nie może spotkać się ze mną podczas szkolnego wieczorku, bo dostał weny i chce zostać w pokoju i pisać. Zastanawiam się, czy okłamywał mnie za każdym razem, kiedy twierdził, że pracuje nad *Człowiekiem znikąd*, musicaliem o Johnie Lennonie.

Moje serce upierało się, że nie. Na pewno nie. Okłamywał mnie w innych sprawach.

Ale nie w tej.

—

– Wiem, od czego zacząć – oznajmiłam.

Pozostali, pogrążeni w refleksyjnym milczeniu, teraz wyczekująco unieśli

wzrok.

– Od Vidy Joshua.

– Kici? – wykrzyknął Kipling ze zdumieniem.

– Ona coś wie na temat śmierci Jima. Jestem pewna.

– Na jakiej podstawie? – spytała ostro Whitley.

– Pamiętacie, jak Jim zachowywał się przez ostatni tydzień przed śmiercią?

Kipling uniósł brew.

– Tak jakbym pamiętał upalne lato z przerwami w dostawie wody, zatkaną kanalizacją i zepsutą klimą.

– Nie był sobą – podjęłam. – Miał wahania nastroju. Chodził wiecznie podminowany.

– Z powodu musicalu – zauważyła Whitley.

– O mój Boże, musical Jima – powiedział Kipling, krzywiąc się. – Ten musical pożerał go żywcem.

– Jim na pewno się stresował z tego powodu – przyznałam. – Ale chodziło o coś jeszcze. Coś działo się w jego życiu. A ja coś odkryłam.

Patrzyli na mnie w skupieniu, czekając na ciąg dalszy.

– Jestem niemal pewna, że spotykał się z Vidą Joshua.

Patrzyli na mnie bez słowa, zaszokowani.

– W dniu, w którym zaginął, zaczynał się Festiwal Wiosenny, pamiętacie?

Pokiwali głowami.

Festiwal Wiosenny – dwa wieczory wypełnione skeczami, mowami i piosenkami – odbywał się zawsze pod koniec roku szkolnego, przed egzaminami.

Około piątej Jim przysłał mi wiadomość. Napisał, że ma gorączkę i dreszcze i wybiera się do gabinetu pielęgniarki. Byłam w szoku. W końcu tego wieczoru miało nastąpić pierwsze publiczne wykonanie składanki piosenek z musicalu *Człowiek znikąd*. To był fundament tego festiwalu. Zdziwiłam się, że Jim porzuca własne dzieło na dzień przed debiutem. Nawet jeśli zżerały go nerwy, nigdy nie ustępował. Zasiedziałam się w bibliotece i na festiwal poszłam dopiero po ósmej. Pognałam drogą za budynkiem stołówki, skrótem, którym czasem chodziliśmy z Jimem. I wtedy go zobaczyłam. Siedział przy rampie wyładunkowej. I na pewno nie był chory. Wyglądał całkowicie normalnie. Siedział jak gdyby nigdy nic, w czarnym T-shircie i dżinsach, jakby na kogoś czekał. Sam. Schowałam się za drzewem

i napisałam:

Byłeś u pielęgniarki?

Trzydzieści dziewięć stopni – odpisał, dodając emoji przedstawiające chorobę. Widziałam, jak to robi. Z pełną nonszalancją.

Przyjdę – napisałam.

Nie, nie przychodź. Idę spać.

Nie mogłam uwierzyć. Już zamierzałam doprowadzić do konfrontacji, natychmiast, ale w tym momencie nadjechał samochód. Powoli. Bez świateł. Jakby ktoś się ukrywał. Jim, rozglądając się czujnie, zeskoczył z rampy i wsiadł. Za kierownicą siedziała Vida Joshua.

– Widziałas ją? – zapytał Cannon.

Przytaknęłam.

– To był zdezelowany czerwony nissan pana Joshuy. Ten, który zawsze parkował za szkołą muzyczną, z kluczykami w stacyjce i kartką NA SPRZEDAŻ za tylną szybą. A ci z administracji powtarzali, że ma go zabrać.

– Biedny pan Joshua – powiedziała Whitley. – Gdyby jego głowa nie była przymocowana do reszty ciała, pewnie by ją zgubił.

– Rozmawiałaś o tym z Jimem, dziecko? – zapytał Kipling.

Znów przytaknęłam.

– Następnego dnia. Do niczego się nie przyznał. Ale był wściekły.

– Na ciebie? – spytała Martha, sceptycznie mrużąc oczy.

Kiwnęłam głową.

Daj mi spokój, Beatrice. Przestań mnie szpiegować. Jesteś moim ojcem czy jak?

Reakcja Jima przeraziła mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie: ręce mu się trzęsły, w oczach miał łzy, gniew krążył mu w żyłach jak trucizna, wykrzywiając i zniekształcając twarz nie do poznania. Od wielu tygodni chodził podminowany, ale myślałam, że to z powodu presji – spieszył się z musicalem na Festiwal Wiosenny, a jednocześnie nagrywał demo z pomocą pana Joshuy. *Chcę, żeby wyszło doskonale, Bee. Chcę być wielki.* Wykręcało go z nerwów, strachu, wątpliwości i desperacji. *Nuty straciły cały aksamit* – jęczał. To, co niedawno brzmiało jak zapadający w pamięć temat przewodni, nagle uznał za beznadzieję. Słowa utworów okazały się banalne. Nieważne, ile razy powtarzałam, że są dobre, nic nie potrafiło go przekonać. Nasz związek stał się zagrożony. Atmosfera między nami była napięta, komunikacja ograniczała się do krótkich, nieudanych

rozmów o zwrotkach i synkopowanym rytmie, i szukaniu odpowiednich rymów do słowa *twórca*.

Trójca? Zabójca? – proponowałam.

Odpuść – warczał Jim.

Tego popołudnia dałam mu szansę, by wyjaśnił, co właściwie widziałam, by podał niewinny powód, dla którego wsiadł do nissana Vidy i wytłumaczył, dlaczego mnie okłamał.

Ale z niej nie skorzystał.

Chcesz zerwać ze mną z takiego powodu? – wydarł się. – *Doskonale. Mam powyżej uszu twojego braku pewności siebie, twojego infantylizmu i wkurzającej ślepoty na zło tkwiące w ludziach. Czasem ono daje o sobie znać, wiesz? Czasem nawet tuż pod twoim nosem.*

Po tych słowach obróciłam się na pięcie i pobiegłam, oślepiona łzami. Kiedy przystanąłam i obejrzałam się, ze zdziwieniem stwierdziłam, że wbrew moim przypuszczeniom Jim nie próbuje mnie dogonić. Szedł dalej grzbietem wzniesienia, z ponurą, udręczoną miną, by wkrótce znaleźć się poza zasięgiem mojego wzroku.

Jakby naprawdę ze mną zerwał.

Wtedy rozmawiałam z Jimem po raz ostatni.

Dwa dni później już nie żył.

– Jeszcze tego samego dnia, kiedy rektor Trask wydał oświadczenie, że Jima znaleziono martwego – podjęłam – wiadomość pokazała się we wszystkich gazetach. Tego samego dnia VIDA zniknęła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Cannon.

– Wyjechała z miasta, pamiętasz? Oficjalnie o tym poinformowali.

– Rzeczywiście – powiedziała Whitley z namysłem, marszcząc nos. – Na zakończeniu roku szkolnego. A potem doszły nas słuchy, że panna Joshua podjęła pracę w zespole badającym komórki macierzyste na Uniwersytecie Chicago.

Kipling pokiwał głową.

– Jakby usłyszeć, że w Departamencie Stanu zatrudnili szympana.

– Myślisz, że uciekła z miejsca zbrodni? – spytała mnie Martha.

– Co najmniej dziwny zbieg okoliczności – odparłam. – Jakby czegoś się bała. W każdym razie widziałam na fejsie, że teraz pracuje jako asystentka kucharza we włoskiej restauracji U Angelo. Wróciła do domu. Zawsze chciałam zdobyć się na odwagę i z nią porozmawiać. A teraz wreszcie to

zrobię. – Odetchnęłam głęboko. – Kto idzie ze mną?

Jedno po drugim, wszyscy podnieśli ręce. Na ich twarzach malował się niepokój.

ROZDZIAŁ 11

Vida Loretta Joshua była od nas siedem lat starsza.

Była jedynym dzieckiem pana Joshuy. Skończyła Darrow i wyjechała do college'u w Północnej Karolinie, ale przeżyła załamanie psychiczne – bliższe szczegóły nieznane – przerwała studia i wróciła do domu.

Kiedy odwiedzało się państwa Joshua w ich skromnym domku na terenie kampusu, można było odnieść wrażenie, że jest to para zwykłych ludzi trzymających w domu leoparda. A to dlatego, że (1) Vida Joshua była oszałamiająco piękna, miała czarne włosy, szeroko rozstawione niebieskie oczy, policzki godne kosmitki i niesamowicie symetryczne i intrygujące rysy, a kiedy wreszcie na Ciebie spojrzała (zawsze bardzo długo odwołując się do chwili), czułeś się, jakby przyglądał ci się leniwie dziki kocur stojący na szczycie góry, którego obserwujesz przez lornetkę, a (2) państwo Joshua chyba bali się własnej córki. Zwracali się do niej łagodnym tonem. Chodzili na paluszkach (żadnych gwałtownych ruchów), kiedy wylegiwała się, rozwalona na sofie w salonie, z brudnymi włosami, w workowatych spodniach dresowych, zjadając chipsy z jarmużu i oglądając reality show o żonach z Atlanty. Chyba byli zbyt przerażeni, by dokonać próby wypuszczenia jej do dziczy (college'u) czy oddania do rezerwatu (na terapię). Woleli po prostu zostawić ją w spokoju, znudzoną i w depresji, czy jakie tam objawy przejawiała.

Nikt bowiem nie wiedział na pewno, jaka jest Vida.

Kiedy byliśmy w drugiej klasie, pan Joshua pociągnął za sznurki i załatwił jej pracę w Darrow. Vida zaczęła pojawiać się w sekretariacie, ziewając, bez przekonania snuła się między kserokopiarką a komputerem, po jakimś czasie przeniosła się do części hiszpańskiej, jeszcze później została asystentką trenera drużyny hokejowej, a kiedy i to nie wypaliło (najwyraźniej większość ludzi nie czuła się zbyt komfortowo, mając za koleżankę z pracy dzikiego kota), wysłano ją na odległą placówkę w galerii sztuki. Przeważnie zostawiała swe stanowisko bez dozoru. Z reguły można było znaleźć ją na tyłach budynku, przy śmietnikach, gawędząc z którymś z uczniów, zawsze płci męskiej. Chodziły plotki, że za szkolnych czasów uchodziła za bardzo

rozrywkową, że uprawiała seks z całą drużyną zapaśniczą, że w college'u zakochała się w wykładowcy i nękała jego żonę, co skończyło się zakazem zbliżania i sławetnym tajemniczym załamaniem nerwowym.

Tyle o niej wiedziałam, kiedy zobaczyłam ją z Jimem. Kiedy patrzyłam, jak razem opuszczają teren kampusu, stwierdziłam, że pieszczotliwe określenie, którego używał pan Joshua – Kicia – wydaje się niezwykle trafne, tyle że istota, która jeszcze niedawno przypominała słodką puchatą kuleczkę, nagle zmieniła się w niebezpiecznego drapieżcę, żyjącego na diecie złożonej z końskich trupów i zdolnego mordować bez ostrzeżenia.

Nawet nie wiedziałam, że Jim się z nią przyjaźni. Nigdy o niej nie wspominał. Zawsze obserwowała go ze swojego miejsca na sofie, z obojętnością zaledwie odrobinę mniejszą niż mnie i całą resztę. Ale kiedy znaleziono go martwego, nagle wyparowała ze swojego stanowiska w galerii sztuki. Zostały tylko obrotowe ergonomiczne krzesło, kubek pełen długopisów, wydruki z arkuszami wycen i aplikacjami artystów wymieszane z pakietem powitalnym z siłowni i menu tajskich restauracji z jedzeniem na wynos – jak pytania, które nie dawały mi spokoju w dniach tuż po śmierci Jima.

Przyłapałam się na tym, że kwestionuję każdy nasz wspólny moment, jak sknera, który zamyka się w pokoju i ogląda stosy pieniędzy poupychanych pod materacem, przelicza je po raz enty, sprawdza, czy nic nie ubyło, czy nikt niczego nie zdefraudował. Przez ten rok bacznie obserwowałam, co u Vidy. Oglądałam na Instagramie zdjęcia z wycieczek po Wisconsin, w towarzystwie kumpeli imieniem Jenni, która nosiła bermudy, śledziłam hałaśliwe przenosiny do nowego mieszkania w Wicker Park (*Ktoś zna dobrą firmę przeprowadzkową w rejonie Chicago???*) oraz cichy powrót do domu niecałe trzy miesiące później; rozpoczęcie kursu projektowania mody; zainteresowanie refleksologią i heavy-metalową kapelą o nazwie Eisenhower. Wpatrywałam się w te wszystkie artefakty, szukałam wskazówek dotyczących związku z Jimem. I czasem znajdowałam. Umieściła fragment piosenki, którą napisał – *Carpe* – pod własnego autorstwa zamazaną fotografią żaby: *Czasami sięgaliśmy nieba. Nie było w tym kłamstwa, nie było ściemy*. W rocznicę śmierci napisała na Facebooku tekst, który stał się żywym pomnikiem. *Tęsknimy, Mason*.

W najmroczniejszych chwilach rozważałam, czy nie wysłać jej serii anonimowych wiadomości, w rodzaju *Wiem, co zrobiłaś rok temu*, by

sprawdzić, czy w ten sposób ją wykurzę, skłonię, by zdradziła, co wie, jaką rolę odegrała w tym wszystkim.

Ale tego nie zrobiłam.

Nigdy bym nie uwierzyła, że Jim zdradził mnie z Vidą. Ale z drugiej strony, nigdy nie spaliśmy ze sobą. Bywało blisko, ale w ostatniej chwili zawsze mówiłam „nie”. Jim przewracał się na plecy, splatał ramiona pod głową i wbijał wzrok w sufit.

– Czego ty się boisz? – pytał z autentycznym zaciekawieniem.

Zbrywałam go różnymi wersjami „Nie jestem jeszcze gotowa” i nigdy nie zdobyłam się na odwagę, by powiedzieć prawdę: że boję się utracić ten ostatni skrawek pewnego ładu pod stopami. Kochałam Jima, ale nasz związek przypominał czasem całkowite zamroczenie. Zapadałam się w nim, by wynurzyć się wiele dni, tygodni później, rozejrzeć ze zdumieniem dokoła, całkowicie zdezorientowana, zastanawiając się, gdzie jestem i która godzina.

– Chcesz poczekać do ślubu? Świetnie – drażnił się.

Nic dziwnego, że ze mną nie zerwał – pomyślałam później. – *Niczego nie tracił.*

Miał Kicię.

—

Żadne z nas ani razu nie odwiedziło Darrow, nawet już w Nieświecie.

Powrót wyglądał jak zwykle: jakbyśmy podróżowali w czasie, udali się w zapomnianą przeszłość pełną gogli do jazdy samochodem, telefonów z tarczą i ludzi w tweedowych ubraniach, posługujących się słowami typu „klawy” i „morowy”. Darrow zawsze było celowo staromodne, szkoła z dumą pielęgnowała tę cechę, jakby nie była szkołą, tylko rezerwatem dla zagrożonego gatunku ptaka. W salach stały te same drewniane biurka co pięćdziesiąt lat wstecz, w kaplicy te same ławki. Większość nauczycieli wyglądała niczym chodzące dagerotypy – sztywni jak kołki, z minami sugerującymi wielkie depresje.

Patrzyłam przez okno, starając się nie zwracać uwagi na nerwowy ucisk w brzuchu. Przez cały ubiegły rok zastanawiałam się, co powiem Vidzie, jeśli kiedykolwiek będę miała szansę doprowadzić do konfrontacji, ale teraz każdy scenariusz, który rozważałam, wydawał się żałosny i słaby. *Co robiłaś z Jimem tamtego wieczoru? Dlaczego po jego śmierci nagle zniknęłaś?*

Kochałaś go? Czy on cię kochał?

Już widziałam białą drewnianą tablicę kołyszącą się w ulewnym deszczu.

LICEUM DARROW-HARKER. Obok stał jeleń z brązu. Kiedy przejeżdżaliśmy, mignęły oczy i poroże, w czerwonym blasku tylnych świateł ukazał się napis ROK ZAŁOŻENIA 1887, a potem obie tablice i jelenia połknęła ciemność.

– Nie martw się, Bee – szepnęła Whitley, opierając głowę na moim ramieniu. – Wszystkim się zajmę.

– Dziecko, za każdym razem jak tak mówisz, ktoś traci oko – rzucił Kipling z tylnego siedzenia.

Whitley sztywno się uśmiechnęła.

– Nie ręczę za bezpieczeństwo osób, które zadarły z którymś z moich najlepszych przyjaciół. Ktoś skrzywdził Bee? Musi liczyć się z tym, że sięgnął na siebie gniew mściwych mocy.

– Wiesz, Zeusie, na twoim miejscu bym się zamknął – mruknął Cannon, zwalniając.

Przed nami wyrosła budka strażnika.

– Co teraz? – zapytała Martha.

– To co zwykle. Jesteśmy absolwentami. Trochę jakby martwymi. Utknęliśmy w kosmicznych katakumbach.

– Brzmi trochę słabo – szepnęła Whitley i ścisnęła moją rękę, chichocząc.

Cannon zatrzymał samochód przed bramą i opuścił szybę. Patrzyliśmy w napiętym milczeniu, jak Moses – sławetny strażnik z Darrow – niespiesznie zasuwa zamek kurtki, poprawia kołnierzyk koszuli, otwiera parasol i wreszcie wychodzi. Wiecznie naburmuszony, zgięty jak pytajnik, podobno pojawił się w Darrow w roku otwarcia szkoły. Był betonowym chrześcijaninem, wtykał Boga do praktycznie każdej rozmowy i leczył się z alkoholizmu. W każdą środę o północy potajemnie opuszczał stanowisko pracy i udawał się na spotkanie Anonimowych Alkoholików w sali gimnastycznej w budynku St. Peter's, co oznaczało pojawienie się dwugodzinnego okienka, w czasie którego można było bezczelnie przemaszerować tuż pod budką strażnika i bezkarnie opuścić teren kampusu – o ile zdążyło się wrócić przed Mosesem.

– Dobry wieczór! – zawołał oficjalnym tonem, przekrzykując szum deszczu. – Czym mogę służyć?

– Nie poznaje nas pan? – zapytał Cannon.

Moses przyjrzał nam się uważnie, jego krzaczaste brwi z zaskoczeniem uniosły się i zbiegły pośrodku.

– Hm, a jakże. Cannon Beecham. Kipling St. John. Whitley. Beatrice. I mała Martha. Co wy tu robicie w taką pogodę, w środku nocy?

– Byliśmy w okolicy, chcieliśmy się rozejrzeć – odpowiedział Cannon. – Długo nie zabawimy. Tylko chwilę.

Moses skrzywił się, wyraźnie skonsternowany, spojrzął na zegarek i znów na Cannona.

– Chwilę – zaznaczył, wymierzając w niego palec wskazujący. – I żadnych numerów, jasne?

Cannon kiwnął głową, podniósł szybę, pomachał i ruszyliśmy dalej.

– Żadnych numerów, które byś jutro pamiętał, stary przyjacielu – mruknął Cannon.

—

– A niech mnie. To dopiero niespodzianka.

Pan Joshua nic się nie zmienił. Nadal był szczupły, miał błyszczące niebieskie oczy, zaróżowione policzki i trzymał się prosto jak struna. I wciąż przejawiał zamiłowanie do wełnianych kamizelek.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Wejdźcie. Schowajcie się przed burzą.

Emanował autentycznym ciepłem. Poczułam lekkie wyrzuty sumienia. Weszliśmy do środka, ociekając deszczem.

– Przyszliśmy spotkać się z Vidą – powiedziała Whitley z uśmiechem. – Czy nasza droga Kicia jest w domu?

Widzieliśmy na podjeździe jej samochód, czerwonego nissana, poza tym w wielu oknach paliły się światła, byliśmy więc raczej pewni odpowiedzi.

Pan Joshua zamrugał, wyraźnie zaskoczony.

– Vida? Oczywiście. My... yyy... właśnie jemy kolację. Wejdźcie. No wejdźcie, zapraszam.

Przeszliśmy przez cichy salon do jadalni, gdzie siedziały Vida i pani Joshua. Pani Joshua w żółtym fartuchu właśnie nakładała na talerze kolby kukurydzy, a Vida, leniwie rozwalona na krześle u szczytu stołu, przeglądała coś na telefonie.

Powrót do domu chyba odcisnął na niej piętno, bo Vida już nie wydawała

się tak onieśmielająca jak ją zapamiętałam. Nie była już taka szczupła i miała cieńsze, skołtunione włosy. W milczeniu okrążyliśmy w piątkę jej krzesło, ale nie wywarło to na niej wrażenia. Spojrzała obojętnie, po czym wróciła do przeglądania telefonu. Przywykła do wizyt uczniów ojca o każdej porze dnia i nocy, na lekcje gitary i przesłuchania.

– Peggy? Kiciu? To są przyjaciele Jima Masona. Chyba pamiętacie Jima, był moim uczniem? Ten... eee... cudowne dziecko? Jeden z najzdolniejszych autorów tekstów, jakich kiedykolwiek spotkałem. – Pan Joshua z łagodnym uśmiechem uniósł palec do góry. – Na pewno daleko by zaszedł. Jego musical o Lennonie to jeden z najwspanialszych... Prawdziwy kalejdoskop słów i dźwięków... – Na chwilę chyba odleciał, wyrzucał z siebie kolejne słowa z nieskrywanym smutkiem. Twarz mu poczerwieniała. – Cóż. Co was sprowadza w nasze strony?

Nigdy nie zastanawiałam się, jak pan Joshua przyjął śmierć Jima – aż do teraz, kiedy zobaczyłam go w skromnym otoczeniu jego domu utrzymanego w paskudnych brązach, przy wtórze ogłuszającego deszczu bębniącego o dach, pośród woni kulek na mole i gitar akustycznych wiszących na ścianach i sugerujących niezagrana piosenkę. W końcu to był pan Joshua, największy mistrz Jima, który przygotowywał go na przesłuchania poza miastem i na Broadwayu. To pan Joshua brał od Jima niezliczone demo nagrane w Logic Pro i przepisywał je na nuty. To pan Joshua zachęcał go, by pisał mądrzejsze teksty, tworzył bardziej wyraziste postacie, więcej różnorodności dla ucha, który analizował z nim pomysłowe frazowania i buntownicze słowa Stephena Sondheim, Lin-Manuela Mirandy i Tennessee Williamsa. To dzięki niemu demo piosenek do *Człowieka znikąd* przesłuchał jeden z największych producentów z Nowego Jorku. Producent był zachwycony, mieli spotkać się na lunchu w Nowym Jorku, ale Jim już tego nie doczekał.

Zastanawiałam się, czy pan Joshua był w nim zakochany. A może chodziło o coś innego? Może pragnął być blisko wschodzącej gwiazdy – może Jim był dla niego jak bilet na autobus z miasta, Jim, jego partner, ulubiony uczeń, talon na obiad – i wszystkie te nadzieje i perspektywy rozpadły się w pył, bo Jim zginął.

– Vida niewątpliwie pamięta Jima – stwierdziła Whitley z szerokim uśmiechem. Przechyliła głowę w bok i uniosła brew. – Kiciu, moja droga? To chyba odpowiedni moment, by poprosić rodziców o opuszczenie pokoju,

chyba że nie masz nic przeciwko temu, by poznali różne szczegóły z twojego życia prywatnego. – Klapnęła na krzesło, założyła nogę na podłokietnik i poczęstowała się strączkiem fasolki szparagowej. – Chcemy wiedzieć wszystko – ciągnęła, skubiąc końcówkę strączka. – Kto to zaczął? Kto zakończył? Dokąd razem pojechaliście po kryjomu? I dlaczego zniknęłaś z miasta w tej samej nanosekundzie, kiedy znaleziono Jima martwego?

Vida gapiała się na nią z otwartymi ustami i niedowierzaniem w oczach.

– Tylko błagam, nie próbuj obrażać naszej inteligencji i wszystkiemu zaprzeczać, dziecko – powiedział Kipling, machając dłonią. – Przede wszystkim, Beatrice nie kłamie. Jest najmilszą i najuczciwszą osobą, jaką było dane ci poznać. Na drugie imię ma Dobra Czarownica z Północy. Poza tym brakuje nam cierpliwości. Od dłuższego czasu przeżywamy wciąż na nowo ten sam dzień, noszący nazwę pętli, w związku z czym jesteśmy dosyć spięci.

– Właściwie nie do wytrzymania – dodał Cannon.

– Przepraszam? – wtrąciła pani Joshua. – Co tu się dzieje, do licha? Paul? Paul!

Pan Joshua nie mógł się poruszyć ani wydusić słowa, przypominał strzyżyka nerwowo krążącego wokół ławki w parku, przy której właśnie spadło trochę okruchów.

– Chyba powariowaliście – odparła Vida schrypniętym głosem. – Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Whitley z uśmiechem chwyciła pełen jedzenia półmisek i wyrzuciła go w powietrze jak frisbee. Poszybował na drugi kraniec pokoju – dokoła poleciały kawałki kurczaka, kukurydza i ryż – i rozbił się na szybie.

Wszystkich zatkało. Nikt nie był w stanie się poruszyć. W końcu pani Joshua dopadła mniejszego stolika, chwyciła telefon i wybrała numer alarmowy.

– Chciałabym zgłosić wtargnięcie.

– Powiedz, żeby się rozłączyła – rozkazał Cannon Vidzie.

– Proszę przysłać policję. Natychmiast. Piątka dzieciaków, znaczy nastolatków, weszła bezprawnie do naszego domu...

– Powiedz, żeby się rozłączyła, chyba że lubisz pomarańczowe kombinezony – ostrzegła Whitley.

Vida drgnęła.

– I zbiorowe łazienki – dorzucił Cannon, swobodnie kłapiąc na krzesło.

– Sterroryzowali nas. To byli uczniowie mojego męża. Proszę kogoś przysłać.

– Mamo, rozłącz się – powiedziała Vida.

– Szczerze nie cierpię, kiedy dziewczyny nie udzielają wsparcia innym dziewczynom – oznajmiła Whitley. – I kiedy częstują się cudzym chłopakiem jak kawałkiem sera nadzianego na wykałaczkę podczas prezentacji w supermarkecie. To niewybaczalne. I niemodne.

– Szkoła Darrow...

– Odwołaj mamę-pitbulla – rozkazał Cannon.

– Mamo – rzuciła ostro Vida.

Pani Joshua nie słuchała.

– Entrance Drive, numer pięć cztery pięć. Pospieszcie się.

Vida skoczyła na równe nogi, podbiegła do matki, odepchnęła ją, wyrwała jej telefon i cisnęła na drugi koniec pokoju. Trafił w niewielki obrazek przedstawiający lisa grającego na skrzypcach, obrazek spadł ze ściany i pokazał się ciemniejszy prostokąt tapety upstrzony czarnym grzybem.

Wszyscy zamilkli.

Vida patrzyła na nas z rozdziawionymi ustami i dzikim spojrzeniem, próbując odzyskać oddech.

– Co tym razem zrobiłaś? – zapytał pan Joshua.

—

– Nie wiem, ile razy mam to powtarzać – ryknęła Vida. – Byliśmy tylko znajomymi. To wszystko. Poprosił mnie, żebym go gdzieś podwiozła. Schował się pod kocem na tylnym siedzeniu, kiedy mijaliśmy budkę Mosera. To wszystko, jasne? Nie mam pojęcia, o co tyle hałasu. Jesteście naprawdę zdrowo walnięci.

– Nie wierzymy ci – stwierdził Cannon.

– To już wasz problem.

– Dokąd zawiozłaś Jima? – zapytała Martha.

– Już mówiłam.

– Powiedz jeszcze raz – odparła Whitley.

– Nie wiem. To było jakieś centrum handlowe.

– W Newport?

– Aha.

– Pamiętasz, gdzie to było? Albo jak się nazywało? – spytała Martha.

– Nie.

– A co możesz nam powiedzieć? – zapytał Cannon.

Vida wzruszyła ramionami.

– To była jakaś zapuszczona część miasta. Sklepy z rzeczami po dolarze. Sklep zoologiczny. Parking, na którym facet w kostiumie kurczaka rozdawał balony w kształcie serca.

– Po co Jim tam pojechał? – spytała Martha.

– Może chciał zjeść smażonego kurczaka i kupić sobie iguanę? Nie mam, kurwa, pojęcia.

– Ale chyba musiałaś coś podejrzewać – zauważyła Wit.

Vida znowu wzruszyła ramionami, zirytowana.

– Myślałam że może chce kupić zioło. Po parkingu łazili dilerzy.

– Która była godzina?

– Ósma? Dziewiąta? – Vida westchnęła. – Zaproponowałam, że zaczekam i odwiozę go do kampusu, ale on powiedział, że da sobie radę. I to już wszystko, jasne? Nie rozumiem, o co robicie awanturę. Nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią. No naprawdę, błagam.

Vida, naburmuszona i pełna pogardy, od dwudziestu minut powtarzała tę samą historię: tamtego wieczoru Jim poprosił ją tylko o podwiezienie. Nic więcej. Nic poza tym. Nic razem nie robili. Łączyła ich przypadkowa znajomość. Vida ani razu nie zawahała się w zeznaniach. I chociaż byłam skłonna jej uwierzyć, to i tak odczuwałam te słowa jak cios nożem prosto w serce, bo nawet jeśli nie łączyło ich nic romantycznego, ta historia znaczyła, że Jim wybrał Vidę zamiast mnie, to jej postanowił zaufać, w cokolwiek się wplątał, cokolwiek go dręczyło, wolał to załatwić za moimi plecami. A jeśli okłamał mnie w tej sprawie, to mimo woli zastanawiałam się, w jakiej jeszcze.

– Uważam za mało prawdopodobne, że poprosił cię o podwózkę, jeśli nie łączyło was nic więcej niż zwykła znajomość – zawyrokowała Whitley.

Vida groźnie na nią łypnęła.

– Jak już mówiłam: rozmawialiśmy. Czasami. Odwiedzał mnie w galerii sztuki, dawał mi czasem różne rady. Był geniuszem. Rozumiał te sprawy. Rozmawiałam z nim na temat swoich problemów, a on w ciągu dziesięciu minut udzielił mi lepszej rady niż doktor Milton Yeskowitz z kocią bródką i zbyt długimi paznokciami przy kciukach podczas trwających sześć lat sesji,

wzięty razem z całą półką poradników z lat siedemdziesiątych pod tytułem *Pokochaj samego siebie*.

Przy ostatnim zdaniu rzuciła jadowite spojrzenie ojcu, który odpowiedział spojrzeniem zdezorientowanym. Wraz z żoną słuchał córki z taką miną, jakby posługiwała się dziwnym dialektem, z którego rozumieli może co trzecie słowo.

– Jim ciągle mi przypominał, że moje życie jest żywe, a ja muszę je określić. Dlatego postanowiłam przenieść się do Chicago. Powiedziałam mu, że mam możliwość dostać się na staż w laboratorium, a on stwierdził, że powinnam pojechać. Skorzystał z szansy. Chociaż się bałam. Jim mówił, że jeśli człowiek widzi przerwę w ścieżce, którą kroczy i zaczyna panikować, musi skoczyć i wierzyć, że bezpiecznie wyląduje po drugiej stronie. Zainspirował mnie. A ja mu pomogłam, jak już mówiłam. Bardzo stresował się *musicałem*. Chciał wypaść jak najlepiej. Żeby jego dzieło okazało się czymś na równi z *Oklahomą!* i *Rent*. Miał wielkie aspiracje. Pragnął zapisać się w historii. I na pewno by to osiągnął. Pokazał mi swój notes, w którym zapisał po prostu niesamowite teksty. Był geniuszem. – Pokręciła głową. – To straszne, co go spotkało. Ale takie jest życie, nie? Wszyscy wspaniali ludzie młodo umierają.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni? – spytałam.

– Czy wy w ogóle mnie słuchacie? Mówiłam przecież. Kiedy podrzuciłam go pod to centrum handlowe.

– Nie rozmawiałaś z nim w noc jego śmierci? Nie umówił się z tobą w kamieniołomie?

Skrzywiła się.

– O czym ty mówisz? Od wieków nie byłam w kamieniołomie. – Prychnęła, znów kręcąc głową. – Ale jak tylko usłyszałam, że nie żyje, i że był niby największym dilerem w szkole i tak dalej? Poszłam prosto na policję i powiedziałam, że chyba im odbiło. – Wywróciła oczami. – Dragi, które znaleźli w jego pokoju? Na pewno nie należały do niego.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

– Bo mi powiedział, do kogo.

– Słucham? – spytała ostro Martha i spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Że co?

– A tak. – Vida kiwnęła głową. – Parę tygodni przed śmiercią. O niczym innym nie gadał. Odkrył, że ktoś z grona jego przyjaciół od lat sprzedaje

uczniom ciężkie narkotyki.

– Powiedział kto? – spytał Kipling.

– Nie musiał. Kiedy mi o tym mówił, ta osoba zadzwoniła. „O wilku mowa”, powiedział. Zobaczyłam nazwisko czy ksywkę na wyświetlaczu. – Vida zmarszczyła nos. – Dziwne. Tylko jedno słowo.

– Jakie? – spytał Cannon.

– Krzykacz.

W mojej głowie zaczął wrzeszczeć chór głosów: *Nie. Nie. To niemożliwe.*

Nikt się nie poruszył.

Whitley wbijała wzrok w dywan, jej twarz była pozbawiona wyrazu.

– Podałam to imię policji – dodała Vida. – Powtórzyłam im wszystko. Powiedziałam, że ta osoba miała coś wspólnego ze śmiercią Jima. Byłam o tym przekonana. Jeśli ten ktoś wiedział, że sekret wkrótce wyjdzie na jaw, na pewno postanowił pozbyć się Jima. Zamknąć mu usta, rozumiecie? – Jej oczy rozszerzyły się jak spodki. – Ale policja miała to gdzieś. Może zjedli za dużo pączków i nie mogli podnieść dupska z wygodnego krzesła, i wziąć się do roboty, bo nie słyszałam, żeby cokolwiek zrobili w tej sprawie. Już nikt nic nie robi. Tylko Jim starał się dla innych. A teraz go nie ma.

Umilkła. Zapadła niezręczna cisza.

Whitley zerwała się na równe nogi i wybiegła.

ROZDZIAŁ 12

Pognaliśmy za nią.

Zatrzymałam się na progu, chociaż wszyscy wyskoczyli prosto w ulewny deszcz, i obejrzałam się jeszcze raz. Państwo Joshua i Vida spoglądali na siebie ponuro, jak trzech więźniów, którzy trafili do jednej celi, zanim postawiono im zarzuty. Potem odwróciłam się i pobiegłam.

Whitley właśnie zniknęła na końcu Entrance Drive.

– Whitley! – krzyknął Kip.

– Hej! – zawtórował mu Cannon. – Dokąd idziesz?

Zignorowała ich, skręciła i zniknęła za wzniesieniem. Pobiegłam dalej. Wszyscy znajdowali się już daleko w dole, Whitley była małą ciemną figurką, która właśnie mijała korty tenisowe i boisko do piłki nożnej. Martha, Cannon i Kip gonili ją wytrwale.

– Zaczekaj! – wrzasnęła Martha.

– Porozmawiajmy!

– Whitley Lansing! Stój!

Pędziłam za nimi najszybciej jak tylko potrafiłam, gdzieś za moimi plecami odezwały się syreny policyjnych wozów. Whitley? Whitley Białym Królikiem? Jak to możliwe?

Lało jak z cebra. Strugi deszczu jak pociski sypały się z nieba na moją głowę i ramiona. Prawie nic nie widziałam. Gałęzie drzew trzeszczały i kołysały się na wietrze, huczały grzmoty. Ślizgając się i potykając, biegłam w dół wzniesienia. Moje buty tonęły w warstwie gęstego błota przypominającego smołę. Widziałam Wit i pozostałych, byli już przy damskich internatach: budynki Stale Hall, Stonington Manor i Gothic wyrastały na tle nieba ciemne i monumentalne, pod żółtymi lampami ciągnęły się zniekształcone cienie, długie i szponiaste. Pobiegłam przez ogród za Morley House i o mało nie wpadłam na Marthę, leżącą twarzą w błocie. Musiała się przewrócić.

– Wszystko w porządku?! – krzyknęłam.

– Biegnij – wysapała, machając ręką.

Popędziłam dalej. Dotarłam pod pływalnię, wielki budynek ze szkła

i łupku, i zobaczyłam, że ktoś rozbił cegłą jedne ze szklanych drzwi. Otworzyłam je i weszłam. Z ciemności dochodziły nieskładne okrzyki i tupot kroków. Minęłam ciemny hol, pełen gablot z pucharami i wstęgami, i czarno-białych fotografii drużyny pływackiej. Pobiegłam korytarzem, ubłocone buty ślizgały się na linoleum, dopadłam podwójnych drzwi, za którymi znajdował się basen rozmiarem dorównujący tym olimpijskim.

Kipling i Cannon już tam byli. Wypatrywali z brzegu ciemnej sylwetki Whitley, która odpływała coraz dalej, w kierunku najgłębszego krańca.

Po minucie wynurzyła się, ciężko dysząc.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał Cannon. – Chcemy tylko porozmawiać.

– I tak przed nami nie uciekniesz, dziecko – dorzucił Kipling.

Rzuciła im mordercze spojrzenie i znów się zanurzyła.

– Chce dopaść wyjścia – stwierdził Cannon, biegnąc w moją stronę. Rzeczywiście, Whitley wspięła się po drabince, pchnęła mnie tak mocno, że poleciałam na krzesło, otworzyła drzwi – i stanęła twarzą w twarz z Martha, od stóp do głów wymazaną błotem i dzierżącą w dłoniach puchar pływacki. Wit w panice próbowała precyzyjnie się bokiem, ale Martha zamierzyła się i walnęła ją w bok głowy. Z okrzykiem bólu Whitley osunęła się na podłogę.

– Oto Biały Królik – wysapała Martha.

Zatrzasnęła drzwi i zablokowała je, wkładając puchar między uchwyty.

– A więc to ty! – wrzasnął Cannon, wbijając wzrok w Whitley. – Przez cały ten czas. Jak mogłaś milczeć? Jak mogłaś mnie oszukiwać, dzień po dniu... Nie do wiary.

– Chciałam to zrobić tylko kilka razy – wymamrotała. Usiadła i pomasaowała głowę. – Ludzie zaczęli podawać sobie mój numer, narodził się mit Białego Królika. I już nie dało się przestać.

– Jak mogłaś? – wyszeptałam.

Whitley łypnęła na mnie groźnie.

– Tak, Bee, wszyscy wiemy, że ty za nic na świecie byś czegoś takiego nie zrobiła. Że jesteś dobra i masz kompas moralny ustawiony na stan świętości. My, zwykli śmiertelnicy, nie mamy tyle szczęścia. – Prychnęła, ponuro wbijając wzrok w podłogę.

Milczeliśmy. Na naszych twarzach drżały refleksy błękitnej wody w basenie.

Nie mogłam uwierzyć. Okłamywała nas przez tyle lat. Nigdy jej nie podejrzewałam. Cannon też nie, sądząc po minie.

Ale była w tym jakaś perwersyjna logika, zważywszy, że matka Whitley, Linda, sprawowała władzę nad farmaceutycznym imperium. Whitley często z podziwem opowiadała o jej przedsiębiorczości i talencie biznesowym – jak uzbrojona w futro z norek, niepełne wykształcenie i zdrowy rozsądek wiejskiej dziewczyny z Missouri teraz rządzi w salach posiedzeń i na spotkaniach akcjonariuszy, pokazuje maczystowski bankierom, gdzie ich miejsce za pomocą rzucanych w idealnie wybranym momencie, złośliwych i niezbyt wybrednych uwag. *Gdyby głupota mogła latać, byłbyś Airbusem.* Ale prawda była taka – i kiedyś chciało mi się płakać, kiedy o tym myślałam, ale pilnowałam się, żeby nigdy nie mówić o tym Wit – że Linda nie kochała swojej córki, nie w taki sposób, jak Wit pragnęła. Już od wczesnego dzieciństwa Whitley krążyła między nianiami i opiekunkami, letnimi obozami, szkołami z internatem i przeróżnymi kursami, jak zgubiona walizka. W pewnym sensie ją rozumiałam. Stała się Białym Królikiem, by udowodnić sobie, a może również matce, że jest coś warta.

Pamiętałam uwagę Vidy, że zdemaskowanie Białego Królika zapewne odegrało jakąś rolę w historii Jima. *Powiedziałam, że ta osoba miała coś wspólnego ze śmiercią Jima. Byłam o tym przekonana. Jeśli ten ktoś wiedział, że sekret wkrótce wyjdzie na jaw, na pewno postanowił pozbyć się Jima.* Te słowa nie dawały mi spokoju, migotały niepodważalnym blaskiem prawdy, chociaż nie chciałam tego przyznać.

– Jak Jim się o tobie dowiedział? – zapytałam.

Wit spojrzała na mnie ponuro.

– Przyłapał mnie.

– Kiedy?

– Na tydzień przed egzaminami końcowymi. Zawsze wymykałam się o trzeciej nad ranem, żeby podrzucić towar. Jim akurat wracał z kamieniołomu, zobaczył mnie, jak wchodziłam do obserwatorium. Poszedł za mną. Strasznie się wkurzył. Zrobił z tego wielkie halo. No bo przecież i tak kończyliśmy szkołę. Biały Królik też się kończył. Jim wrzeszczał coś o odpowiedzialności obywatelskiej. O uczciwości. Naciskał, żebym zgłosiła się do władz szkoły.

– A ty postanowiłaś go zrobić – stwierdziła Martha. – Włożyłaś dragi do jego gitary, żeby poszedł na dno zamiast ciebie.

– Nie. – Whitley kategorycznie pokręciła głową. – Nie planowałam tego. Zawsze trzymałam towar za starą szopą na skraju Drury Field. Kojarzycie to

miejsce? Wszyscy mówią, że jest nawiedzone. No więc nie jest. To po prostu ohydna rudera pełna starych sportowych plakatów. Któregoś dnia zobaczyłam tam inspektora budowlanego. Dowiedziałam się, że mają zburzyć szopę i zbudować tam szklarnię. Wieczorem wyszłam wcześniej ze stołówki i poszłam po towar. Zamierzałam schować go w swoim pokoju, tylko że tego wieczoru malowali ściany w korytarzu. Wszędzie kręcili się robotnicy. Spanikowałam. Wypchana torba? Gdyby mnie zatrzymali... – Wzdrygnęła się. – Wśliznęłam się do budynku, w którym Jim miał pokój. Wiedziałam, że trzyma klucz pod wycieraczką. Schowałam towar w gitarze. Zamierzałam wrócić następnego dnia i go zabrać. To chyba jasne. Ale wtedy wydali oświadczenie, że Jim zaginął. Kiedy wreszcie mogłam tam wrócić, gliny zdążyły przeszukać pokój i znaleźć wszystko.

Martha wbiła w nią spojrzenie.

– O zaginięciu Jima poinformowano nas w czwartek rano. Policja znalazła ciało w piątek w nocy. Kiedy dokładnie schowałaś narkotyki w jego gitarze?

Whitley uniosła wzrok z niepewną miną.

– Może w środę?

– Przestań kłamać – odparła Martha.

– Nie kłamię.

– Twoja historyjka mogłaby przejść, gdyby nie jeden drobny szczegół.

– Jaki?

– Gitara Jima była u mnie.

Wszyscy spojrzeliśmy na Marthę.

– Pożyczył mi ją, żebym mogła ćwiczyć piosenkę na Festiwal Wiosenny. Miałam ją w swoim pokoju przez dwa tygodnie. Oświadczenie, że Jim zaginął, wydano w czwartek rano. Gitarę odniosłam w czwartek wieczorem. To może oznaczać tylko jedno. Kiedy chowałaś narkotyki w jego pokoju, wiedziałaś, że Jim zaginął. – Martha spojrzała na Wit z nieprzejednaną miną.
– Dostrzegłaś w tym swoją szansę, dzięki niemu mogłaś szybko posprzątać swój bałagan. Wrobiłaś go.

Whitley rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Czy tej nocy, kiedy zginął – zapytałam łamiącym się głosem – byłaś z nim w kamieniołomie?

– Nie. – Whitley pokręciła głową. – Przysięgam. Przysięgam, Bee. Kochałam go tak samo jak wszyscy. – I zaczęła płakać. – No dobra. Wrobiłam go. Skitrałam towar w jego pokoju. Bałam się. Myślałam, że

zdążył pójść do władz i powiedzieć, że to ja jestem Białym Królikiem. Zrobiłam to, żeby ocalić własną skórę. To było okropne. Ale nie miałam nic wspólnego z jego śmiercią, przysięgam na Boga. – Spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczami. – Musisz mi uwierzyć.

Nagle ktoś zabębnił do drzwi.

– Cannon Beecham? Jesteście tam?

To był Moses.

– Błagam – zaskomlała Whit. – Nie wiedziałam nic na temat śmierci Jima. I nadal nie wiem, przysięgam na...

– Otwórzcie. Jest ze mną policja.

– Tu policja! Jesteście winni bezprawnego wkroczenia na teren prywatny.

Drzwi się zatrzęsły, ale nie otworzyły.

– Wynośmy się stąd – powiedziała Martha.

Tamci nadal walili w drzwi, a my przemknęliśmy na drugi koniec pływalni. Whitley podniosła się z trudem i pobiegła za nami. Ale dalej były trybuny. Szatnie damskie i męskie.

Nie mieliśmy którejś się wydostać.

Już miałam zaproponować, żebyśmy się poddali i spędzili resztę pętli na komisariacie, ale Cannon złapał krzesło ratownika, obrócił się i cisnął nim w szklaną ścianę. Szkło tylko popękało.

– Otwierać!

Cannon podniósł krzesło i rzucił nim jeszcze raz. Widziałam policjantów za drzwiami. Mieli w rękach mocne latarki. Cannon znów walnął krzesłem i nagle szklana ściana się rozpadła. Rzuciliśmy się do ucieczki, wrzeszcząc co sił w płucach, wypadliśmy prosto w noc, wyminęliśmy policjantów, oślepieni latarkami.

– Policja! Stać!

– Do boju, wojownicy! – pokrzykiwał Kipling.

– Walcie się!

Kip wrzeszczał, Whitley wtórowała mu. Cannon śpiewał. Biegłam na oślep, dławiąc się dziwnym śmiechem, wzywając ciemność, by mnie pochłoneła. Zobaczyłam, że jeden z policjantów wyciąga broń. Spodziewałam się, że zaraz strzeli, z czystego strachu, sądząc, że to początek apokalipsy zombie. Kierowałam się ku najgęstszej ciemności, zmuszałam nogi, by poruszały się coraz szybciej i szybciej. Płuca kurczyły się z bólu, deszcz siekł mnie po twarzy. Obejrzałam się, zobaczyłam migające czerwone

i niebieskie światła i sylwetki kłębiące się w budynku pływalni.

Za mną nikt nie biegł. Zostałam sama.

Zwolniłam do truchtu, potem do marszu. Deszcz kłuł mnie w twarz. Zorientowałam się, że dotarłam na skraj lasu. Weszłam na ścieżkę turystyczną. Mój umysł szybko się uspokoił. Byłam świadoma jedynie własnych kroków i błota, które pokrywało ziemię wszędzie dokoła, lepkie i czarne jak smoła.

Jim.

Było tak ciemno, że niemal czułam jego obecność tuż obok.

Chciałam krzyczeć, zażądać prawdy. *Po co te wszystkie tajemnice?* Zawsze sądziłam, że Jim jest wyjątkowym obrazem, który wyszedł spod ręki mistrza. Okazało się jednak, że istnieje mnóstwo wersji, mniejsze akwarele i niedbałe szkice ołówkiem, tandetne odbitki sprzedawane po dziewięćdziesiąt dziewięć centów w sklepiku z pamiątkami na lotnisku. Owszem, wszystkim tym wersjom brakowało piękna i szczegółu mojego malowidła, lecz tak czy inaczej przedstawiały to samo, odbierając obrazowi jego wyjątkowość i niepowtarzalność. Vida miała swoją wersję. Pan Joshua swoją. I Whitley. Nawet Martha – coś niepokojącego było w sposobie, w jaki oznajmiła: Gitara Jima była u mnie. Jej uczucia do Jima zdawały się unosić ku powierzchni, mocne i dziwne, niemal wymykające się spod kontroli, by już po chwili znów opaść na głębinę.

Deszcz przybrał na sile, grzmiało raz po raz.

Szłam dalej. Od czasu do czasu, przysięgam, w ciemnościach pokazywał się Stróż, w ogrodniczym płaszczu przeciwdeszczowym przemykał między drzewami, ale kiedy się zatrzymywałam, z bijącym sercem, wlepiając wzrok w ciemność, by się upewnić, jego już tam nie było.

Wkrótce poczułam obezwładniającą siłę Nieświata, która ciągnęła mnie ku sobie, przejmowała nade mną władzę, w stopach pojawiło się dobrze znane mrowienie, powoli wędrowało w górę łydek.

Ścieżka zaprowadziła mnie na polanę zasłaną ogromnymi zwalonymi drzewami. Hulał po niej mocny wiatr. Mrużąc oczy, kilka metrów dalej dostrzegłam wielki dąb, który chwiał się przez chwilę i nagle padł z ogłuszającym hukiem, aż echo poszło po lesie.

Zamarłam.

Znowu rozległ się trzask, tym razem gdzieś obok. Odwróciłam się. Kolejny dąb opadał ku ziemi. Chciałam usunąć się z drogi, ale nagle

stwierdziłam, że moje stopy tkwią w błocie przypominającym cement. Jakoś zdołałam je wyrwać i rzuciłam się na oślep przed siebie. Drzewo zważyło się dosłownie kilka centymetrów ode mnie. Gałęzie zatrzęsły się i uderzyły mnie w głowę jak bicze.

Co się dzieje?

Uniosłam głowę, chciałam ruszyć dalej, zrobiłam kolejny krok, ale padłam twarzą w błoto.

Ogarniała mnie ciemność Nieświata. Dobiegła końca kolejna pętla licząca jedenaście godzin i dwie minuty. Zdołałam przetoczyć się na plecy, z trudem chwytając oddech, zwróciłam twarz ku niebu, ku strugom deszczu. Czułam się, jakby grzebano mnie żywcem pod ciężarem tysięcy roztopionych monet, moje ciało zanurzało się w błocie coraz głębiej i głębiej. Wiedziałam, że wkrótce poczuję, jak moje ciało rozpada się i rozpuszcza.

Kilka metrów dalej złamało się kolejne drzewo.

Ostatnia myśl. Panika. Paniczny strach, że umrę, nim znajdę rozwiązanie zagadki. Wyznania Vidy i Whitley niczego nie wniosły. Czy kiedykolwiek dowiem się, co spotkało Jima? Jak mogę wygrać głosowanie i wrócić do życia?

W tym momencie zobaczyłam, że stoi nade mną ciemna postać o bezlitosnym wyrazie twarzy.

Stróż.

*Pośród nocy drzewo rośnie,
ciemność w konarach gęstnieje.
Kiedy wreszcie prawdę dojrzę?
Ta trucizna mieszka we mnie.*

A potem spadł na mnie wielki dąb. Krzyknęłam i wszystko zmieniło się w czerni.

ROZDZIAŁ 13

Obudziłam się, z trudem łapiąc powietrze, na tylnym siedzeniu jaguara. Obok siedzieli Martha i Kipling.

Serce nadal waliło mi jak szalone, świeżo w pamięci miałam walące się gigantyczne drzewo, gąbczaste błoto, nagłe pojawienie się Stróża, wiersz, który wyrecytował.

Było mi niedobrze, ale nie miałam czasu do stracenia. Martha i Kipling wygrzebali się z samochodu i pobiegli do domu. Ruszyłam za nimi. Podobnie jak ja, chyba martwili się, że nie zastaniemy tam Whitley, że uciekła, upokorzona wyjawieniem prawdy na temat Białego Królika, może również wystraszona, że obwiniamy ją o śmierć Jima.

Ale nie, siedziała w kuchni z Cannonem. Zorientowałam się po ich zachowaniu, że odbyli burzliwą rozmowę, może nawet się pokłócili.

Whitley miała zaczerwienioną i nadąsaną twarz, ale widać było na niej również cień ulgi.

– Whitley chce wam coś powiedzieć – oznajmił Cannon.

Uniosła wzrok, blado się uśmiechnęła.

– Przepraszam. Za to, jak postąpiłam wobec Jima. I wobec innych uczniów. Za to, że was okłamywałam. To było obrzydliwe. I głupie. Mogłam zmarnować sobie życie. Mało brakowało. Ale przysięgam, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Jima. Rozumiem, że w tej chwili mi nie wierzycie. Ale dowiemy się, co stało się tamtej nocy i zobaczycie, że jestem niewinna.

Kipling i Martha patrzyli na nią uważnie. Chyba uwierzyli, w każdym razie skinęli głowami. Też skinęłam.

Ale zważywszy, że tak długo nas oszukiwała, musiałam pamiętać, że Wit jest zdolna do kłamstwa. Nie podejrzewałam wprawdzie, by zrobiła krzywdę Jimowi, za to doskonale wiedziałam, na co ją stać w napadzie szału. A poza tym miała motyw. Jeśli sądziła, że Jim zdradzi jej sekret – że władze szkoły, a co gorsza Linda, dowiedzą się o tym, co wyprawiała – myśl, że zrobiłaby wszystko, by temu zapobiec, wcale nie wydawała się taka nieprawdopodobna.

Nagle uświadomiłam sobie, że wszyscy na mnie patrzą.

– No co? – warknęłam.

– Zastanawialiśmy się, co sądzisz na temat wyznania Vidy – powiedziała Martha.

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba jej wierzę.

– Ja też – stwierdził Kipling z krzywym uśmieszkiem. – Takie dziewczyny jak Vida nie potrafią zbyt dobrze kłamać. Ile razy nazwała Jima geniuszem? Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zasugerowała, że powstał z martwych, jak Jezus. – Spojrzał na mnie. – Wiesz, że go uwielbiałem. Ale to jego otaczanie się wielbicielami bywało dosyć męczące. Niech spoczywa w pokoju, ale miał ego przypominające stale głodnego niemowlaka.

– Nie robił tego celowo – zaprotestowałam. – Po prostu przyciągał ludzi.

– Nie robił tego celowo – powtórzył Kipling. – No jasne. To jak stanąć z żelaznym prętem w ręku na środku boiska podczas burzy i twierdzić potem: To nie moja wina, że uderzył we mnie piorun.

– Największy podziw budziły w Vidzie teksty Jima, które napisał do musicalu – zauważyła Martha.

– Zgadza się. Nagły przebłysk geniuszu. To rzeczywiście było coś. Pamiętacie, długo nie mógł nic z siebie wydusić, nie licząc paru marnych rymów, jakby pożyczonych prosto od MC Hammera? Ciągłe marudził, że się skończył, wypalił. Zadręczał nas tym swoim gadaniem. A potem, nie wiadomo jak i skąd, arcydzieło. – Kipling leniwie zamachał ręką w powietrzu. – Teksty jak sznury pereł. Jeden za drugim. Wszystkie o tym, jak ciężko być młodym i żywym.

– Te teksty były doskonałe – stwierdziła Whitley.

– Koncert na Festiwalu Wiosennym okazał się prawdziwym hitem – zauważył z namysłem Cannon, splatając palce. – Producent z Nowego Jorku, którego zaprosił pan Joshua, był zachwycony. Przyszłość Jima rysowała się w jasnych barwach. Stał u progu kariery, jego marzenia się spełniły. Co więc się stało?

– Życie – odparł sucho Kipling.

– Albo – powiedziała Martha – ta wycieczka z Vidą Joshuą jednak miała znaczenie. – Zagryzła paznokieć kciuka. – Ciekawe, czy dałoby się odnaleźć to centrum handlowe.

– Jedyne wskazówki to sklep zoologiczny i smażone kurczaki – zauważyła Wit.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiałaś z Jimem? – spytała mnie nagle Martha, podejrzliwie mrużąc oczy.

– We wtorek po południu. – Odchrząknęłam. – To był drugi dzień festiwalu. Zapytałam, dlaczego mnie okłamał, dlaczego powiedział, że jest chory.

– I nie rozmawiałaś z nim nazajutrz? W dniu jego śmierci?

Pokręciłam głową.

Nikt się nie odzywał, pewnie wszyscy myśleli o tym, że to musiała być dla mnie prawdziwa tragedia. Nasza ostatnia rozmowa – kłótnia o Vidę Joshuę.

A tak naprawdę w środę ukryłam się na ostatnim piętrze biblioteki, w dziale historii Ameryki Południowej, gdzie rzadko ktoś zaglądał. To miejsce śmierdziało stęchlizną i służyło głównie za wylegarnię dla moli niepokojąco wielkich rozmiarów. Cały dzień przesiedziałam przy jedynym oknie o brudnych szybach, w towarzystwie podręczników do historii Europy i literatury angielskiej, ze słuchawkami na uszach, w których leciała ścieżka dźwiękowa do *Legionu samobójców*, z trudem próbując się skupić na rewolucji francuskiej i *Komu bije dzwon*. Telefon wyłączyłam, bo nie miałam ochoty rozmawiać z Jimem. Pokazałam się światu tylko na chwilę, podczas czterominutowego spaceru między budynkiem biblioteki a moim pokojem w Creston Hall, około jedenastej wieczorem.

O północy włożyłam piżamę, wlażłam do łóżka i dopiero wtedy włączyłam telefon. Zalał mnie strumień wiadomości. Kilka od Kiplinga, Cannon i Wit, pozostałych dwadzieścia siedem od Jima. Zaczęły napływać o ósmej rano i charakteryzowały się różnorodnością formy, od samotnych znaków zapytania przez „daj spokój” i „czemu jesteś taka” po desperackie nagrania na pocztce głosowej, a także natężeniem emocji, od błagania przez rozpacz do wściekłości. W miarę jak je odczytywałam i odsłuchiwałam, wydawały mi się coraz bardziej szaleńcze i rozdzierające.

Zadzwoń.

Zadzwoń do mnie, Bee.

Musimy pogadać.

Jeśli w twoim sercu zostało choć odrobinę miłości, odezwij się.

Dlaczego to robisz?

Potrzebuję cię. Wiesz, że bez ciebie nie przetrwam.

Nie rób tego.

Idę do kamieniołomu. Przyjdź.

Ta była ostatnia. O 23:29.

Wykasowałam ją. Wykasowałam je wszystkie.

Kiedy znaleźli ciało Jima, spodziewałam się, że policja zapyta mnie o wiadomości od niego. Powiedziałabym, że przez całą noc nie wychodziłam z pokoju.

Ale nie zapytali. Nikt mnie nawet nie przesłuchał.

Kusiło mnie, by wyznać, że wiedziałam o wyprawie Jima do kamieniołomu. Ale co by było, gdyby nie uwierzyli, że całą noc spędziłam w internacie?

Zostałabym skazana na Nieświat bez odwołania. Nie miałabym szans wydostać się stąd żywa.

– A gdybyśmy poszli teraz na policję? – wyszeptał Cannon.

– Że co? – zdziwiła się Whitley.

– Gdybyśmy poszli na policję w Warwick porozmawiać o Jimie? Moglibyśmy zajrzeć do akt sprawy. Na pewno sprawdzili połączenia telefoniczne. Moglibyśmy zdobyć te informacje. Dowiedzielibyśmy się mnóstwo na temat ostatnich dni jego życia: dokąd chodził, z kim się spotykał.

– Policja nie znalazła niczego, co pozwoliłoby podejrzewać, że śmierć Jima nie była samobójstwem – zauważyła Martha.

– Chyba że władze szkoły kazały im zatuszować sprawę – podsunęła Whitley.

– Albo jego rodzina – dorzucił Kipling. – A jeśli Edgar Mason bał się, że pojawią się informacje obciążające jego ukochanego syna, jego oczko w głowie? Zrobiliby wszystko, żeby nie wyszły na jaw. Pamiętacie ten bunkier?

Nikt się nie odzywał.

W ostatniej klasie podczas ferii gwiazdkowych Jim zaprosił nas do swojego domu w Water Mill. Przeżyliśmy prawdziwy szok, widząc, jakie środki ostrożności stosuje rodzina Masonów, traktując je w dodatku jako coś najzwyczajniejszego na świecie.

Edgar Mason zawsze cierpiał na paranoję. Jim mówił o nim Hoover – nie do końca żartobliwa aluzja do J. Edgara Hoovera, fanatycznego wielbiciela podsłuchów telefonicznych i twórcy FBI. Edgar Mason przez lata zatrudniał prywatną firmę ochroniarską o nazwie Torchlight, co w praktyce znaczyło, że Jimowi i wszystkim pozostałym członkom rodziny przy każdym wyjściu

z domu towarzyszyło dwóch milczących i uzbrojonych byłych marines z sił specjalnych.

Podczas tej wizyty poznaliśmy kolejny poziom obsesji Edgara na punkcie bezpieczeństwa. Każdy z wielu rozszaniowanych po świecie domów wyposażono w kamery, z których obraz trafiał do umieszczonego w piwnicy pokoju monitoringu o nazwie Oko. Rodzinne serwery monitorował przez całą dobę specjalny zespół do spraw cyberbezpieczeństwa w Waszyngtonie.

No i był jeszcze bunkier.

– W razie napadu, ataku terrorystycznego i awarii systemu bezpieczeństwa – wyjaśnił Jim, wskazując na czarny budynek przypominający krokodyla przycupniętego na skraju posiadłości. – Są tam generatory prądu, niezależny dopływ wody i zabezpieczona linia telefoniczna, przez którą można w ciągu trzech sekund połączyć się z dyrektorem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Kiedy nastąpi koniec świata, umawiamy się w tym miejscu.

Ale nagle uśmiech spłynął mu z twarzy. Na pewno zdawał sobie sprawę, co właściwie oznacza sam fakt istnienia tego budynku. Nie chciał nic więcej powiedzieć. W końcu obsesja taty na punkcie bezpieczeństwa była związana głównie z jego osobą. Edgar Mason zawsze był bardzo ostrożny, ale to niewątpliwie wypadek Jima, który wydarzył się w wakacje przed ostatnią klasą, wyniósł jego manię na nowy poziom.

– Moim zdaniem powinniśmy tam pójść – powiedział Cannon. – Poproś. Sprawdź, co dokładnie wie policja.

– Bądź o czym próbuje zapomnieć – dorzuciła Whitley.

– Bee? – zapytała Martha.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

A ja spojrzałam na nich.

Jeśli zajrzyjemy do akt sprawy, zapewne wyjdą na światło dzienne wiadomości, które wysyłał do mnie tuż przed śmiercią. Będę musiała nieźle się tłumaczyć. Ale z drugiej strony: co jeszcze mogliśmy znaleźć w tych aktach?

Nie zastanawiałam się nad odpowiedzią.

ROZDZIAŁ 14

– W czym mogę pomóc? – zapytał policjant. Identyfikator zdradzał, że ma na nazwisko Polk.

– Chcielibyśmy rozmawiać z oficerem Calhounem – powiedziała słodko Whitley.

Calhoun prowadził sprawę Jima. Wydał kilka oświadczeń publicznych. Uznaliśmy, że najłatwiej będzie zacząć od niego: miał gęstą siwą brodę, oczka gryzonia, nieśmiało zerkał do kamery, podczas gdy na jego szyi zakwitała jaskrawa wysypka świadcząca o zdenerwowaniu. Czuło się, że marzy tylko o tym, by pozbyć się tak poważnej sprawy i wrócić do drobniejszych zbrodni, jak zniszczenie ławek w parku.

– Czego chcecie od Calhouna? – spytał inny policjant (o nazwisku McAddress).

– Porozmawiać z nim o sprawie, nad którą pracował – odparła Martha.

– Jakiej?

– Śmierci Jima Masona – powiedziałam.

– Sprawa jest zamknięta.

Po dziesięciu minutach wrogiego przesłuchiwania – najwyraźniej mieli się na baczności wobec obcych – w końcu wpuścili nas do gabinetu Calhouna. Siedział za biurkiem, na którym wznosiły się stosy papierów, jak wielka ropucha na mokradle.

Nie wiem, czego właściwie się spodziewałam – może czegoś na wzór sceny z filmu, w której stary posiwiwały śledczy, zapytany o nierozwiązaną sprawę, która Po Tyłu Latach wciąż nie daje mu spokoju, zaczyna mówić i mówi bez końca.

Oficer Calhoun był jednak jak betonowa ściana.

– Sprawa Masona została rozwiązana. Samobójstwo – wypluł z siebie.

– Właściwie dlaczego? – spytała Martha, ściągając brwi. – W przypadku samobójstwa zwykle występuje jakiś rytuał, specjalne przygotowania. List pożegnalny. Ofiara zostawia na brzegu okulary, buty i skarpetki. Czy w przypadku Jima też tak było?

Calhoun zaprezentował uśmiech bardziej przypominający grymas.

– Sprawa jest zamknięta.

—

Sprawa jest zamknięta.

Komisariat w Warwick mieścił się tuż przy autostradzie, w słodkim bananowożółtym bungalowu z białymi okiennicami. Tablica informacyjna głosiła Z KAWĄ ŻYCIE JEST LEPSZE.

Miejsce to nie kojarzyło się z rozwiązywaniem zagadek kryminalnych, raczej ze sprzedażą babeczek domowej roboty.

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nasze spotkania z policją z Warwick będą przerażające – że zmieniają się w prawdziwe pandemonium.

Inaczej nie dało się tego nazwać.

Próbowaliśmy różnych taktyk: ciepłej, nerwowej, seksownej (Wit w czerwonej wydekoltowanej sukience siedząca na brzegu biurka). Próbowaliśmy działać z zaskoczenia. Raz nawet bezczelnie wtargnęliśmy do domu Calhouna – jego żona poszła spać, on zaś siedział w salonie, popijał piwo, zajadał żelkowe robaki i oglądał *Better Call Saul*. Nieważne, co mówiliśmy, gdzie i jak, i o której godzinie, Calhoun nie chciał powiedzieć nic na temat sprawy Jima.

– Nie mogę wam pomóc.

– Zmykajcie stąd, sherlocki z bożej łaski.

– Jak śmiecie nachodzić mnie w domu!

– Wynoście się, chyba że chcecie do końca życia smażyć burgery w lokalnym McDonalddie, bo po tym, jak z wami skończę, będziecie w stanie co najwyżej obsługiwać frytkownicę. ZROZUMIANO?

Doszliśmy do wniosku, że lepiej zostawić Calhouna i przekupić Frederikę, kierowniczkę biura.

Zaczekaliśmy, aż wyjdzie z pracy w stroju treningowym. Przez chwilę patrzyliśmy, jak przemaka w ulewie, bo parasolka wywróciła się jej na drugą stronę. Kiedy zaczęła szukać kluczyków do samochodu, Cannon podbiegł do niej z parasolem i szerokim uśmiechem na twarzy.

Obserwowaliśmy z wnętrza mercedesa, jak składa propozycję nie do odrzucenia: dziesięć tysięcy w gotówce w zamian za akta Jima Masona. Frederica zarumieniła się, kiwnęła głową i zdecydowanym krokiem ruszyła z powrotem do budynku.

Cannon odwrócił się do nas, wyszczerzony, i triumfalnie uniósł kciuki. A potem ze środka wypadła Fredrica na czele całej armii policjantów. Ośmiu rzuciło się biegiem w stronę Cannona, który zaczął zwiewać.

– Na kolana! Policja!

Whitley z cichym okrzykiem wycofała samochód i w szalonym tempie ruszyła przez parking. Cannon wskoczył na tylne siedzenie. Przejechaliśmy po trawniku, ścięliśmy krawężnik i z piskiem opon na czerwonym świetle pokonaliśmy skrzyżowanie na wielopasmówce, ledwo unikając zderzenia z betoniarką.

– Jedź! – darł się Cannon. – Jedź!

Kilka kolejnych pętli spędziliśmy na strzelnicy w Roscoe. Uczyliśmy się strzelać i obmyślaliśmy nowy plan. Daliśmy właścicielowi Całodobowego Lombardu Ostatnia Szansa pięćdziesiąt dolarów za nazwisko faceta, który sprzedawał w swoim kamperze broń bez pozwolenia. Był to niejaki Duży Bobby. Kupiliśmy od Dużego Bobby’ego trzy pistolety półautomatyczne: dwa Rugery LC9 i Hecklera&Kocha HK45.

Atak na komisariat zaplanowaliśmy na jedenastą piętnaście, kiedy, jak sądziliśmy, wszyscy funkcjonariusze, prócz Polka i McAndressa, będą już w domach. Zamierzaliśmy wziąć ich z zaskoczenia i zamknąć w magazynie, po czym spokojnie wyruszyć na poszukiwanie akt Jima.

Za pierwszym razem oficer McAndress – prezentując serię ruchów dowodzących dogłębną znajomości sztuk walk – zaserwował Kipowi cios w szczękę, Wit pchnął łokciem pod żebra, po czym wykonał obrót i kopniakiem trafił Cannona w brzuch, zwalając go bez tchu na ziemię. Tymczasem oficer Polk przygwoździł mnie do podłogi, lewy but wbijając mi w plecy, a Marthę przypiął do krzesła.

– Policja w Warwick to nie jest policja – stwierdził Kipling z nieskrywanym podziwem podczas kolejnej pętli. – To jest armia szatana.

I wcale nie żartowałam.

Ile razy szturmowaliśmy komisariat, o północy, o pierwszej, drugiej, trzeciej nad ranem? Sto? A może dziesięć tysięcy?

Ile wypróbowaliśmy szyków, którymi posługują się brygady antyterrorystyczne? (Wiedzę zaczerpnęliśmy z podręcznika dla marines

znalezionego w Internecie, pod tytułem *Operacja rozpoznania terenu*).

Wejście w pojedynkę, wejście dwójką, w różnych wariantach, przez drzwi frontowe, przez tylne, przez zakratowane okna, drogi ewakuacyjne, rury kanalizacyjne, dachy przylegających budynków. Ściągnęliśmy z deepnetu pozycję pod tytułem *Przewodnik Przestępcy*, słabą kopię pisaną na maszynie, autorstwa niejakiego Anonymous Doe, przedstawiającą różne strategie unieszkodliwiania osób agresywnych, cierpiących na atak hysterii bądź przekonanych, że są Supermanem, podczas skoku, napadu z bronią czy kradzieży. Ilu przerażających masek próbowaliśmy (clowna, świni, chuliganów z *Mechanicznej pomarańczy*)? Ile kul wystrzeliliśmy w sufit? Ile razy wykrzykiwaliśmy ostrzeżenia i groźby?

Zdobycie akt jednej sprawy nie powinno być aż tak trudne.

Mijały kolejne pętle, a my zmieniliśmy się z bezładnej grupy nastolatków działających jak zaimprovizowana wersja *Mission: Impossible* w prawdziwy pięcioosobowy pluton. Potrafiliśmy poruszać się bezgłośnie, czytać sobie w myślach i odgadywać swoje ruchy za pomocą zaledwie jednego spojrzenia.

Ale za każdym razem wracaliśmy z kwitkiem.

Przyczyną naszych porażek wcale nie byli oficerowie Polk i McAndress, tylko zawodniczka z dziką kartą, oficer Victoria Channing, przypisana do sekcji bezpieczeństwa drogowego. Zawsze zniecała wyskakiwała z damskiej toalety, przejawiając iście psychopatyczną chęć mordy.

– Dobrze wam tak, wstrętne gnojki! – wrzeszczała.

Była przerażająca, nawet jeśli my byliśmy nieśmiertelni.

Cannon i Whitley nauczyli się unieszkodliwiać Polka i McAndressa, ale Channing zawsze im umykała. Potrafiła przenikać jak mgła przez tylną klatkę schodową, frontową klatkę schodową czy panel w suficie. Nagle pojawiała się, mierząc z glocka prosto w pierś Cannona.

Albo w brzuch Kipa.

Albo w głowę Whitley.

Kiedy strzeliła Marcie w skroń – od niechcienia, jakby przekręcała uchwyt przy automacie z gumami do żucia – zastygłam w bezruchu, bez słowa gapiłam się na Marthę i pozostałych przyjaciół, którzy leżeli na podłodze w kałużach krwi tryskającej z ich głów i szyj jak woda z węża ogrodowego.

– Ręce do góry albo dołączysz do nich w piekle! – wrzasnęła oficer Channing, mierząc do mnie.

—

– Śmierć jest jak pływanie w ciepłej kąpieli – stwierdziła Martha podczas kolejnej pętli.

Za każdym razem tylko ja zostawałam przy życiu. A to dlatego, że nie miałam natury wojowniczkii. Zwykle, kiedy powinnam działać, zamierałam. W końcu Cannon postanowił, że moim zadaniem będzie zlokalizowanie akt.

Znajdź papiery. Tylko to miałam zrobić.

Zamknięte sprawy zabójstw trzymano w piwnicy, niepokojącym zaniedbanym pomieszczeniu przypominającym akwarium: szumiące zielone jarzeniówki, woń stęchlizny, ryczące przewody kominowe. Rzędy metalowych regałów, rozciągające się, jak w koszmarnym śnie, we wszystkie strony, od podłogi do sufitu, napakowane tekturowymi pudełkami. Na każdym pudełku widniało nazwisko ofiary.

Appleton, Janice.

Avery, Jennifer.

Azella, Robert P.

Przy każdym szturmie, niezależnie od tego, co działo się na górze, ja pędziłam prosto do tylnej klatki schodowej i zbiegałam do piwnicy. Szarpnięciem otwierałam drewniane drzwi z napisem MAGAZYN i zagłębiałam się w labirynt regałów, z obłędem w oczach szukając litery M przy wtórze własnych kroków przeraźliwie skrzypiących na pomarańczowym linoleum. Channing dopadała mnie za każdym razem i resztę pętli spędzałam w celi, słuchając, jak opowiada kolegom bajeczkę, jak to musiała zabić wszystkich pozostałych w samoobronie.

I przy każdej pętli, podczas gdy moi przyjaciele stawiali czoła masakrze na górze, ja przeżywałam własne męki w tym pomieszczeniu z buczącymi zielonymi lampami, tortury, z którymi oficer Channing nie miała nic wspólnego.

Zaczęło się od tego, że niechcący zrzuciłam nogą pudło z najniższej półki.

Hendrews, Holly.

Pudełko otworzyło się, wypadł z niego plastikowy woreczek z napisem *Dowody rzeczowe*. W środku znajdował się zakrwawiony szalik w bałwanki i renifery, ale co mnie uderzyło – i włączyło dzwonek alarmowy – to widok czarnej pleśni wewnątrz woreczka.

A z pudła coś ciekło.

Kopnęłam je i pochyliłam się. W rogach zebrała się oleista maź, być może pochodząca z dziurawej torebki z dowodami. Uniosłam wzrok i ze zdumieniem zauważyłam, że zjawisko nie dotyczy tego jednego pudła. Ta sama czarna maź przesączała się przez dno jeszcze czterech czy pięciu innych pojemników.

No i regały.

Były ciężkie, metalowe. Ale czasem, kiedy przebiegałam między nimi, desperacko wypatrując pudła z napisem *Mason, Jim*, wystarczyło, że otarłam się o któryś ramieniem i oto leciał na podłogę, jakby zrobiono go z kartonu. Ładował z ogłuszającym hukiem, pociągając za sobą również te stojące obok i po chwili wszystkie wokół padały jak gigantyczne kostki domina, sypiąc setkami pudeł. Mogłam tylko usunąć się z drogi, przycisnąć plecy do ściany i modlić się, żeby żaden we mnie nie wałnął.

Kiedy było po wszystkim, próbowałam przemknąć pośród zgliszczy i odnaleźć pudło z nazwiskiem Jima, zanim złapie mnie oficer Channing, co zdarzało się za każdym razem niezmiennie i nieuchronnie.

Nigdy nie wspominałam reszcie o tych wydarzeniach. Za bardzo mnie przerażały.

– Jak ci idzie w piwnicy? – zapytał Cannon. – Jesteś bliska odszukania akt Jima? Ostatnim razem słyszałem dochodzący stamtąd straszny rumor.

– Trzeba sporo przejrzeć – odparłam. – Ale już niedługo.

W końcu odkryłam, że najlepsza metoda to przebiec między regałami najszybciej, jak tylko się da, nie zwracając uwagi na to, że wałą się na podłogę za moimi plecami, i dopaść do rzędu z literą M na samym końcu pomieszczenia. Właśnie opanowałam do perfekcji optymalną ścieżkę w labiryncie regałów, ale pobiegłam za daleko i musiałam się cofnąć. Uważając, by nie dotknąć regału, zawróciłam i zwolniłam, z trudem łapiąc oddech. Zwykle z góry dobiegał potworny rumor, uderzenia i krzyki. A tym razem było cicho.

Zbyt cicho.

Machinsky, Tina D.

Mahmoodi, Wafaa.

Dostrzegłam nazwisko Jima na górnej półce ostatniego regału. Nie wierząc własnym oczom, podbiegłam i wspięłam się na palcach, by zdjąć pudło i jednocześnie nie zwalić na siebie całego regału.

Mason, Jim Livingston.

– Mam cię, gnojówko – wysyczała kobieta. – Ręce do góry. Obróć się powoli.

Channing wyszła zza regału i ruszyła w moją stronę, mierząc mi prosto w głowę.

– Proszę nie strzelać.

Twarz miała czerwoną, usta wykrzywione. Nacisnęła spust.

Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło.

W moim mózgu rozbłysła gigantyczna zapalka. Upadłam na podłogę, przekręciłam się na plecy i wyrzuciłam przy tym ramiona w bok. Regał poleciał do tyłu.

– Co do...! – zdążyła wrzasnąć Channing.

Zamrugalam w jaskrawym świetle, zielone strużki światła migotały jak tajemniczy sygnał w alfabecie Morse'a. Ból rozlał się dokoła, a potem odpłynął.

Umieranie okazało się mniej katastrofalne, niż przypuszczałam. Nadal przebywałam w Nieświecie, ale moje ciało i umysł reagowały jak w normalnej rzeczywistości.

Nie było białego światła. Ani tunelu.

Ogarnęła mnie ciepła fala zdumienia, jakby w chwili, w której moje życie odrywało się od ziemi, w chwili przzerwania połączenia, kruchego niczym ogonek łączący liść z gałązką, wszystko, co uważałam za stałe i prawdziwe – mogłabym przysiąc, że prawdziwe – nagle okazało się czymś zupełnie innym.

W ostatniej sekundzie nie czułam żalu ani bólu. Czułam radość.

I to było najbardziej przerażające ze wszystkiego.

Teraz spotkam się z Jimem. Tylko o tym myślałam, kiedy gasło moje życie.

Jeśli umrę, zobaczę Jima.

—

– Dzisiaj nie chcę dostać kulki w łeb, nie jestem w nastroju – śpiewał radośnie Kipling, gdy wchodziliśmy do Wincroft na początku kolejnej pętli.

– Może skorzystamy z rady Mamy Greer zamieszczonej w dziele jej autorstwa pod tytułem *Jak dobrze przeżyć życie?*

– Jakiej rady? – spytał Cannon.

– Nie udało ci się zmasakrować przeciwnika? – Wzruszył ramionami. – Wypraw mu imprezę.

I tak tym razem zajechaliśmy przed budynek komisariatu nie jak zwykle uzbrojeni w pistolety, ale odziani w kostiumy clownów z miejscowej wypożyczalni.

– Czym mogę służyć? – spytała Frederica w recepcji.

– Jesteśmy z firmy Big Apple Balloon-a-Gram – powiedziałam z uśmiechem. – Gdzie mamy urządzić przyjęcie-niespodziankę?

– Jakie przyjęcie-niespodziankę?

– Niespodziankowe przyjęcie z okazji siedemdziesiątych urodzin komisarza Arta Calhouna.

Frederica była bardzo zdziwiona. Podobnie jak oficerowie Polk, McAndress, Cunningham, Leech, Ives i Mapleton, a także sam Art Calhoun, który wychynął z gabinetu z nieufnym grymasem na twarzy. Ale my nie traciliśmy czasu. Z bezprzewodowego głośnika już płynął utwór *Margaritaville*. Wit rozpakowała babeczki, kosze pełne gumowych robaków i upominki – ozdoby choinkowe w kształcie pistoletów. Cannon i Kip weszli na krzesła i powiesili krzykliwy baner z napisem *Sto lat*. Martha wrzuciła do lodówki butelki z piwem.

– Zaraz. Poczekajcie... – Calhoun zamilkł, zerkając na piwo.

– Co tu się dzieje? – zapytał oficer Polk.

Ostentacyjnie wbiłam wzrok w fakturę – a tak naprawdę rachunek z wypożyczalni kostiumów.

– Wynajęła nas Elizabeth Calhoun – poinformowałam, marszcząc brwi.

– Lizzy? – szepnął Calhoun, robiąc wielkie oczy.

Liz Calhoun była jego córką, mieszkała w San Diego. Od trzech lat nie kontaktowała się z ojcem, co znaczyło, że istnieje niewielkie ryzyko, że odbierze, jeśli tatuś zadzwoni z podziękowaniami za przyjęcie-niespodziankę – nawet jeśli tak naprawdę urodziny miał trzy tygodnie wcześniej.

To z kolei znaczyło, że będę miała czas, by odnaleźć akta Jima.

– Nie ma nic lepszego niż babeczki – stwierdziła oficer Channing, szczerząc się od ucha do ucha, i poczęstowała się jedną.

– A teraz, moi drodzy, zaczynamy zabawę! – wykrzyknął Kipling i ukłonił się, aż odpadł mu czerwony nos clowna i potoczył się pod biurko. – Stańmy blisko siebie i weźmy się za ręce. Nie wstydźcie się.

To było hasło dla mnie.

Rzuciłam się do tylnych schodów, zbiegłam na dół, szarpnęłam drewniane drzwi i skoczyłam między rzędy regałów.

Pognałam wzdłuż ściany, mijając szafy z dokumentami i kserokopiarkę, skręciłam w rząd z literą G, potem J, L, biegnąc zygzakiem i bardzo uważając, by nawet nie musnąć żadnego z regałów. Wielkie buty clowna klapały po podłodze, bufiaste spodnie utrudniały ruchy.

Rząd ósmy. W głębi z lewej strony. Na samej górze. MASON, JIM LIVINGSTON.

Już je widziałam. Serce waliło mi jak młotem. Musiałam podskoczyć trzy razy, zanim wreszcie udało mi się strącić pudło z półki – nie przewracając przy tym całego regału. Ostrożnie postawiłam je na podłodze.

– Znalazłaś?

Odwróciłam się gwałtownym ruchem. To była Martha.

Nigdy wcześniej nie przychodziła na dół. Wymowny, może nawet trochę zalękniony wyraz jej twarzy sugerował, że przyszła, ponieważ mi nie ufa, ponieważ nie chciała zostawić mnie samej z pudłem. A może miała nadzieję, że go nie znajdę?

Zerwałam taśmę i zdjęłam pokrywkę.

Patrzyłam do środka przez całą minutę, niezdolna wydusić słowa.

Nie. Nie. Nie. To niemożliwe.

– To jakiś żart? – wyszeptała Martha, również w szoku, zaglądając mi przez ramię. – Po tym wszystkim? Strzelali do nas milion razy!

Pokręciła głową i, wspierając jedną dłoń na biodrze, zdjęła inne pudło.

– Może ktoś wsadził akta w inne miejsce – wymamrotała.

Nie mogłam oderwać wzroku od pudła, nie mogłam oddychać.

Było puste.

Leżał w nim tylko kupon do baru: *Rabat 5\$ na wiaderko Kurczaków Smażonych z Miłością. Specjalny zestaw Ich Dwoje!*

Z góry dobiegły kolejne śpiewy i oklaski.

Martha w obłędzie strącała kolejne pudła na podłogę, zrywała pokrywki. Wszędzie były papiery, plastikowe woreczki z dowodami i czarny atrament.

Znowu atrament, przeciekający w rogach.

– Jak tu w ogóle można coś znaleźć? Jeden wielki bałagan. O, coś cieknie.

Martha roztarła atrament w palcach i zmarszczyła nos. Nagle pochwyciła mój wzrok. Znaczący wyraz jej twarzy sprawił, że ciarki przeszły mi po plecach.

Przez dziesięć minut przeglądałyśmy pudła. Martha powtarzała:

– Muszą tu gdzieś być.

Tylko pudło Jima było puste.

Martha o czymś wiedziała. To było jasne jak słońce. Ale o czym – nie miałam pojęcia.

ROZDZIAŁ 15

– Edgar Mason i Torchlight Security depczą nam po piętach – powiedział Cannon, kiedy już leżeliśmy rozparci na sofach w bibliotece w Wincroft. – Kto inny mógłby sprawić, że wszystkie papiery i dowody rozpląną się w powietrzu?

– Wszystko zniszczyli – zgodził się Kipling. – Dlatego Calhoun i pozostali gliniarze tak się zaperzali, kiedy pytaliśmy o sprawę. Przekupiono ich.

– Tylko dlaczego? – zastanawiałam się.

– Nie domyślasz się? – odparł Cannon. – W aktach było coś obciążającego Jima.

– Właśnie. – Whitley kiwnęła głową. – Nie chcieli, żeby to wyszło na jaw. Przysłali jakiegoś gościa z Torchlight, byłego żołnierza sił specjalnych marynarki, który ukradł zawartość pudła.

– Co znaczy, że Mason zna prawdę – stwierdził Kipling.

– I – ciągnął Cannon – skoro nikogo nie aresztowano, skoro siedzieli cicho, to znaczy, że cokolwiek odkryli, mogło to zaszkodzić rodzinie.

Wszyscy w milczeniu przetrawiali tę hipotezę. Pochwyciłam spojrzenie Marthy.

Sprawiła wrażenie sceptycznej, a może myślami błądziła gdzie indziej. Wciąż myślałam o jej niespodziewanym pojawieniu się w piwnicy i minie, jaką zrobiła na widok czarnej mazi. Zastanawiałam się, czy mnie podejrzewa, czy wie, że dostałam od Jima wiadomości z prośbą o spotkanie w kamieniołomie.

– Bee, z nas wszystkich ty spędziłaś z Masonami najwięcej czasu. Czy kiedykolwiek mówili, co ich zdaniem spotkało Jima?

Pokręciłam głową i wzruszyłam ramionami.

– Straciliśmy kontakt.

Przez ten rok bardzo często zastanawiałam się, jak Masonowie przyjęli jego śmierć. Ale nie dowiedziałam się. Nawet nie poszłam na pogrzeb. Rodzice, przejęci stanem mojego zdrowia psychicznego, poprosili, żebym nie szła. I chociaż kilkoro uczniów Darrow – w tym Whitley, Cannon i Kip – dostało specjalne zwolnienie ze szkoły, by pojechać w tym dniu do Nowego

Jorku, ja postanowiłam zostać. Wiedziałam, że moja nieobecność zostanie przywitana z ulgą. Rodzina Jima była nieskończenie mocniej związana ze swoją kolekcją sztuki nowoczesnej niż ze mną. Jego mama, Gloria – kobieta jak kieliszek do szampana, smukła, o lodowato jasnych włosach i niskim głosie – zawsze patrzyła na mnie w taki sposób, jakbym była oknem z widokiem na szyb wentylacyjny. Ojcu Jima trzeba było mnie przedstawiać trzy razy, nim w końcu zapamiętał, kim jestem. A i tak nazywał mnie Barbarą.

– Proponuję złożyć niespodziewaną wizytę państwu Masonom – rzuciła Whitley.

– Pewnie będziemy musieli zastosować tortury, żeby zmusić ich do mówienia – stwierdził Kipling. – Ale wchodzę w to.

– Jest pewien problem – zauważyłam.

– Jaki? – spytała Martha.

– Pętla.

– A konkretnie?

– Trwa tylko jedenaście godzin i dwie minuty. Zabraknie nam czasu.

– Jak to? – Kipling zmarszczył brwi. – Do East Hampton polecimy samolotem. Będziemy w Water Mill w ciągu niecałych dwóch godzin.

– Ale ich nie ma teraz w Water Mill. Masonowie każde lato spędzają na Amorgos, wyspie na Morzu Egejskim. Jedenaście godzin samolotem. Plus trzy łodzią i jeszcze podejście pod górę.

Mieli powątpiewające miny, wybrałam więc numer apartamentu Masonów na Fifth Avenue. Gospościa potwierdziła, że wyjechali.

– Czy są w Villa Anna Sofia na wyspie Amorgos? – zapytałam.

– Zgadza się. Chce pani zostawić wiadomość?

Jim nazywał rezydencję w Grecji milk shake’iem, bo jakby spłynęła po nadmorskim klifie. Ku wielkiemu niezadowoleniu moich rodziców spędziłam tam pięć dni letnich wakacji po drugiej klasie liceum. Te pięć dni przypominało spalony słońcem zamazany obraz wybielonych plaż, imprez pod gołym niebem, wypraw łodzią o zachodzie słońca, greckiej muzyki ludowej i pracy nad musicalem, której niezmordowanie oddawał się Jim, a cała wyspa i rezydencja o położeniu wywołującym zawroty głowy pozostały w mojej pamięci jako jedno z najpiękniejszych i najbardziej niesamowitych miejsc, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Może porozmawiamy z nimi na skype – zaproponował Kipling. – Cześć,

jesteśmy dawnymi znajomymi Jima, dzwoniemy z czyścica. Macie natychmiast powiedzieć nam wszystko na temat śmierci waszego syna.

– Dokładnie tak – stwierdziła ponuro Whitley.

– Nie do końca – zaprotestowała Martha.

Spojrzałam na nią. Ciarki przeszły mi po plecach.

– Czas, byście poznali prawdę.

– O czym ty mówisz? – zapytała Whitley.

Martha odchrząknęła.

– Nieświat jest bardziej skomplikowany, niż wam się wydaje. Nikt z was nie zauważył niczego dziwnego?

– Nie, skądże, idealna rutyna – odparł Kipling z uśmiechem.

– Jakie dziwne rzeczy masz na myśli? – spytałam.

– Niecodzienne zakłócenia. Magnetyzm. Niestabilność.

Nagle pomyślałam o pleśni, odłóżającej tapecie, wałących się drzewach, spadających regałach, czarnym atramencie przeciekającym przez pudła z dowodami.

Martha chyba wiedziała, co to jest, co znaczy. Pogrzebała w swojej torbie i wyjęła niewielki czarny notes.

Już go widziałam. Nosiła go ze sobą na początku Nieświata. Widziałam też, jak robiła notatki.

– Zaobserwowane o osiemnastej trzydzieści dziewięć – przeczytała. – Tajemnicza sowa o fioletowym upierzeniu siedząca na czubku klonu. Gatunek niezidentyfikowany. – Przewróciła kartkę. – Zasłyszane. Mieszanka utworów The Cure z lat osiemdziesiątych dobiegająca ze wszystkich samochodów i okolicznych domów.

Zamknęła notes i powiodła po nas spojrzeniem.

– Pamiętajcie, co powiedział Stróż: „Wyobraźcie sobie, że wasze umysły umieszczono w blenderze i włączono go na wysokie obroty. W rezultacie otrzymano smoothie, czyli ten moment”.

– Aha – skomentowała Whitley nerwowo.

– Mówił o fizyce Nieświata. Z wielką radością muszę wam powiedzieć, że częściowo opiera się ona na arcydziele autorstwa J. C. Gossamera Madwicka. I stało się tak z mojej winy.

– O czym ty mówisz? – spytał Cannon.

– Napisałam na temat tej powieści dwustustronicową rozprawę. Wytropiłam wszystkie rzadkie pozycje na jej temat. Zajrzałam na wszystkie,

prawie nikomu nieznane, blogi. Wypytywałam profesorów, ekspertów i naukowców. Odwiedziłam nawet córkę Madwicka na wyspie Bello Costa w archipelagu Florida Keys, a żeby dostać się do jej położonego na odludziu, niszczonego domu na plaży, musiałam przepłynąć łodzią wiosłową przez dziką zatoczkę kłębiącą się od aligatorów. Pokazała mi zeszyty z zapiskami Madwicka, których do tej pory nie widział nikt spoza rodziny, nawet ludzie z Harvardu, chociaż od lat zadręczali ją, by przekazała je do archiwum. Przeczytałam wszystkie jedenaście, tłumacząc z lurosłownictwa, języka, który stworzył Madwick.

Przerwała szalony strumień słów i zrobiła głęboki wdech.

Zrozumiałam, że mówi o *Zakręcie*, powieści fantasy, na której punkcie miała obsesję, i o której nie słyszał nikt prócz niej i garstki zwariowanych fanów w Internecie.

– Moja fascynacja *Zakrętem* zmieniała go w naszą rzeczywistość. Żyłam tą książką. Oddychałam. A teraz stała się częścią Nieświata.

– Ale co to oznacza, dziecko? – zapytał Kipling lekko drżącym głosem. – Czy wszyscy podryfujemy w przestrzeń kosmiczną? Staniemy się androidami?

Martha przechyliła głowę z szerokim uśmiechem, jej okulary błysnęły w świetle.

Zamarłam. Wiedziałam, że niezależnie od tego, co nam powie, nie mogę temu zaufać.

Wiedziałam też, że w tym świecie, zapętlonym i skazanym na powtórzenie, wszystko, co do tej pory wiedzieliśmy, wkrótce się zmieni.

ROZDZIAŁ 16

– Oznacza to na przykład tyle – odparła Martha z ekscytacją – że zamiast w Wincroft, możemy budzić się w dowolnym miejscu, w przeszłości, teraźniejszości bądź przyszłości.

– A niby w jaki sposób? – zapytał Cannon.

– Musimy wyjść przez otwarte okno.

Gapiliśmy się na nią ze zdumieniem.

Westchnęła.

– No dobra. Trochę za bardzo przyspieszyłam. – Znow zrobiła wdech i podjęła: – Lekcja pierwsza. J.C. Gossamer Madwick był pisarzem science fiction. Stworzył tylko jedną książkę, *Mroczny dom na zakręcie*, w skrócie znaną jako *Zakręt*. To wspinała przygodowa opowieść, nowy świat alternatywny, różniący się od wszystkiego, co kiedykolwiek czytaliście. Książki długo nie wydawano. Krążyła w kolejnych kopiach, pospinanych za pomocą dziurkacza i klamerek do worków na śmieci, przechodziła z rąk do rąk za sprawą anonimowych podróżników, backpackerów i zbuntowanej młodzieży w hostelach. Co trzeba zrobić po skończeniu lektury? Wpisać się na stronie z dedykacjami i zostawić kopię kolejnemu szczęściarzowi, na ławce w parku, łóżku w dormitorium, fotelu samolotowym czy w pociągu. Przez długi czas kopie można było znaleźć jedynie w antykwariatach i na eBayu, niektóre z setkami tysięcy podpisów. Te z nazwiskami sławnych czytelników, jak Marilyn Monroe, Leonard Bernstein czy Frank Sinatra chodziły po cztery, pięć kafli. Teraz książka zyskała oficjalny status kultowego klasyka i jest stale wznawiana, tak że trafiła nawet do bibliotek zupełnie przypadkowych osób, jak E.S.S. Burt.

Ku mojemu zaskoczeniu Martha podbiegła do regału i wyciągnęła z półki grube tomiszczce w srebrnej twardej oprawie. Podała mi je. Na okładce widniał kolaż z ptasich klatek, parowozów, kobiet i mężczyzn w cylindrach i maskach balowych, prosto z wiktoriańskiej Anglii.

Mroczny dom na zakręcie, J.C. Gossamer Madwick.

Legendarna kultowa saga o przyszłej przeszłości. Teraźniejszych tajemnicach. I wiecznej miłości na końcu świata.

Odwróciłam książkę i spojrzałam na fotografię autora.

Była czarno-biała i ziarnista. Madwick, w pomiętym garniturze, oględnie mówiąc, nie odznaczał się urodą: psia twarz, ekstrawaganckie uszy i skulona postawa sugerująca, że lepiej czuł się, wychodząc z pokoju pełnego ludzi niż do niego wchodząc.

Jeremiah Chester Gossamer Madwick (2 grudnia 1891-18 marca 1944) był amerykańskim powieściopisarzem z Key West na Florydzie. Jego jedyne, opublikowane pośmiertnie dzieło, Mroczny dom na zakręcie, w roku 1968 zdobyło nagrodę Gilmer-Hecht dla najlepszej książki fantasy. Przez trzydzieści siedem lat Madwick pracował jako kierowca autobusu, codziennie woził pasażerów na Stock Island i z powrotem, a po pracy, nocami, spisywał swe liczące tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt siedem stron arcydzieło w hotelowych notesach. Zmarł w wieku lat pięćdziesięciu trzech, jego ciało znaleziono przy wejściu do baru Hasty Retreat Saloon. W kieszeni miał harmonijkę ustną, puszkę z tytoniem i ostatni akapit powieści.

– Madwick zmarł w biedzie i nieznany – dodała Martha. – Teraz uważany jest za największego pisarza fantasy wszech czasów. Na Harvardzie prowadzą osobne zajęcia na temat jego twórczości: „Dziwacy, włóczykije, odszczepieńcy – pisarstwo Madwicka”. Istnieje nawet grupa jego zagorzałych wyznawców w środowisku fizyków, w związku z jego teorią czasu.

Urwała i prędko narysowała coś w swoim notesie. Okazało się, że to szkic pociągu.

– Co prowadzi nas do lekcji drugiej – oznajmiła. – Podróże w czasie. Madwick widział czas nie linearnie, jako strzałę, nawet nie jako tkaninę, jak Einstein. Wyobrażał go sobie na wzór lokomotywy. W jego książce, jeśli chce się odbyć podróż w czasie, trzeba wyjść przez okno pędzącego pociągu i wspiąć się na dach, jak bandyci w starych westernach, a następnie ruszyć albo w stronę lokomotywy, czyli przyszłości, albo do tyłu, w stronę przeszłości. Trzeba pamiętać, by nie poruszać się zbyt szybko, ponieważ może to wywołać zakłócenia. Dojdzie do kolizji, odczepią się wagony, pociąg wypadnie z szyn albo nagle przeskoczy na nieprawidłowy tor i popędzi w przeciwnym kierunku.

Martha, wzdygając się na myśl o tak koszmarnym scenariuszu, zrobiła głęboki wdech i zatknęła włosy za uszy.

– W wyniku takiej katastrofy podróżujący w czasie jest skończony. Nigdy

nie zdoła skierować pociągu na właściwy tor, a już na pewno nie w tak krótkim czasie, i na pewno nie zdąży wrócić do przedziału, w którym wcześniej siedział. Oczywiście teoretycznie może spędzić resztę życia w przeszłości bądź przyszłości, ale tamten przedział, teraźniejszość, jest miejscem, do którego przynależy. Zawsze. Jeśli przebywa właśnie w tym miejscu, podróż jest dla niego najłatwiejsza, wszystko działa jak trzeba, a miłość trwa. Życie w innym czasie będzie niestabilne, niebezpieczne i bardzo trudne. Można odwiedzać przeszłość i przyszłość, ale nie można w nich zostać, o ile nie chce się zrezygnować z szansy na szczęście.

– A co to wszystko ma wspólnego z Nieświatem? – zapytał niespokojnie Cannon.

– Chcemy przepytac rodziców Jima? Sądzę, że może nam się udać. Musimy tylko wybrać dzień w bliskiej przeszłości bądź przyszłości i tam dopaść ich w ciągu naszych jedenastu godzin i dwóch minut. A potem znaleźć otwarte okno w naszym przedziale i wyjść. A to otwarte okno... – tu poskubała paznokiec – ...gdzieś tu jest. Jeszcze nie wiem gdzie, ale stanowi zderzenie życia i śmierci. Czasem wiąże się z samobójstwem. W *Zakręcie* bohater odkrywa je przypadkiem w rozdziale pierwszym, właśnie kiedy próbuje się zabić. A, jak rozumiem, nikt z nas nigdy tego nie próbował.

Pokręciłam głową, a Whitley, Cannon i Kipling mi zawtórowali.

– A więc ta opcja odpada – stwierdziła ponuro Martha. – Musimy zlokalizować otwarte okno w inny sposób. Co z kolei prowadzi nas do lekcji trzeciej.

Odchrząknęła.

– Nieświat stworzyłam nie tylko ja, ale my wszyscy razem. Ja przyczyniłam się do jego kształtu głównie za sprawą *Mrocznego domu na zakręcie*. A wy? Jeśli każdy z was bacznie spojrzy na Nieświat, odnajdzie mnóstwo śladów, które w nim zostawił. Swoje najmroczniejsze sekrety. Najgorsze koszmary. Lęki i marzenia. Tę zenującą sprawę, o której nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć. To wszystko tu jest, schowane, trzeba tylko uważnie się przyjrzeć.

Poczułam nieprzyjemne ciarki na plecach.

W jej słowach czaiło się coś bardzo groźnego. Pozostali też mieli nieswoje miny. Whitley siedziała na sofie, całkowicie bez ruchu. Kipling był błądy jak ściana. Cannon gapił się na Marthę jak urzeczony.

Martha ze słabym uśmiechem zaczęła przerzucać kartki notesu.

– Kipling. – Odchrząknęła. – Chciałam cię o to zapytać. – Pokazała nam rysunek czerwonego owada. – Oto *cosmosoma myrodora*, występuje wyłącznie na obszarze Luizjany. A widziałam w Wincroft już trzy sztuki. Dwie wylazły ze strychu, jedna z kaloryfera. Nie mają prawa przeżyć tak daleko na północy. Rozpoznajesz je?

– Skąd...? – wyrzucił z siebie Kipling i zakasłał nerwowo. – Mama Greer chwyciła je do wielkiego słoja. Trzymała te słoje porozstawiane po całym domu. Nazywała te owady smoczydłami, twierdziła, że ich ukłucie jest śmiertelne i groziła, że jeśli nie będę grzeczny w kościele, wypuści je na mnie, jak będę spał.

Martha obojętnie kiwnęła głową. Nie wyglądała na zdziwioną. Przewróciła kartkę.

– Cannon. Chyba zauważyłeś modrzewie japońskie?

Wyprostował się, zaniepokojony.

– Że... co?

– Modrzewie japońskie i brzozy brodawkowate, rosną wszędzie dokoła. Jeśli przyjrzeć się bliżej, widać, że są martwe. Wysokie, patykowate pnie wystające z ziemi. Te gatunki nie rosną na Rhode Island. Rosną za to w Japonii, w regionach Chubū i Kantō. A jeśli podejdziesz do któregoś z tych drzew i zrobisz tuż przy pniu dołek głębokości około dziesięciu centymetrów, wypływa niebieska wapnista woda. – Martha rozpromieniła się. – Wiesz, do czego zmierzam?

Cannon gapił się na nią w milczeniu.

– Błękitne Jezioro? – podsunęła. – Klatka dla Ptaków Cannona? Błąd, który odkryłeś w systemie operacyjnym Apple OS X w drugiej klasie liceum? Przypadkowa kombinacja klawiszy niszczy twarde dyski, na ekranie pojawia się tapeta z Błękitnym Jeziolem. Zdjęcie przedstawia niemal surrealistyczny widok jaskrawo niebieskiego jeziora i sterczących z wody ośnieżonych martwych drzew.

Cannon nadal nie bardzo wiedział, o co chodzi.

– Aha. No i?

– To zdjęcie stało się częścią krajobrazu Nieświata. Jest wszędzie.

Cannon bez słowa podniósł się, podszedł do okna i wyjrzał.

– Teraz Whitley – podjęła Martha oficjalnym tonem. – To przez ciebie pogoda w Nieświecie jest tak zmienna i nieprzewidywalna.

– Przeze mnie? – zdziwiła się Wit.

– Wichury. Nieustający deszcz, grzmoty, błyskawice. To twój sławetny temperament.

Whitley rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Tej nocy, kiedy pojechaliśmy do Darrow – ciągnęła Martha – i kiedy goniła nas policja. Wiatr przewrócił wszystkie samochody na parkingu. A to z powodu twojego wyznania, że byłeś Białym Królikiem.

Whitley prychnęła, ale jej oczy z niepokojem zwróciły się w stronę okna.

– Te szczegóły dotyczą nas wszystkich – mówiła dalej Martha. – W miarę, jak będziemy docierać coraz bliżej prawdy, sedna, korzeni, wiedzy o tym, kim jesteśmy, ten świat będzie stawał się coraz bardziej niestabilny. Co przypomina mi o Beatrice.

Spojrzała na mnie z kamienną twarzą. Serce zaczęło mi walić jak młotem.

– Nie mam pojęcia.

Wszyscy, marszcząc brwi, popatrzyli na Marthę – a potem na mnie.

– Twój ślad też gdzieś tu jest. Tylko jeszcze go nie znalazłam.

Przełknęłam ślinę. Co ona właściwie usiłowała zrobić? Onieśmielić mnie? Wystraszyć? Jeśli tak, to się udało.

Westchnęła.

– Jedno wiem na pewno: jeśli chcemy zmienić pętlę, musimy trzymać się razem.

– Dlaczego? – zapytał Cannon.

– Nie wiemy, jak zareagujemy. Przeszłość więzi jak narkotyk. Przyszłość wstrząsa jak krzesło elektryczne. Przeżywanie na nowo pięknych chwil z przeszłości może okazać się równie niszczące jak odtwarzanie tych strasznych. Uzależniają. Zważywszy, że podróże w czasie w *Zakręcie* są takie niebezpieczne, a wewnątrz Nieświata istnieją elementy, których się nie spodziewamy, elementy, których dostarczył każdy z was, nie wiemy, co się wydarzy choćby przy próbie takiej podróży. – Pokręciła głową, jej głos drżał od emocji. Przypominała ewangelickiego kaznodzieję z telewizji, nauczającego oszołomioną wspólnotę o końcu świata. – Istnieje ryzyko, że skończy się kompletną katastrofą. Możemy niechcący trafić do różnych przedziałów, w różnych pociągach pędzących w różnych kierunkach. Co znaczy, że nigdy tu nie wrócimy. Do Wincroft. Aby zagłosować. I wtedy naprawdę utkniemy na zawsze w Nieświecie.

Popatrzyliśmy na siebie niespokojnie. Nikt się nie odzywał.

Zerknęłam na wielką księgę leżącą na moich kolanach. Nie mogłam

oddychać.

Jaki plan miała Martha? Czy rzeczywiście próbowała nam pomóc? A może informacje, które nam przed chwilą podała, stanowiły jedynie część precyzyjnych i przebiegłych ruchów na szachownicy, może były pomysłową pułapką, w którą wszyscy wpadniemy i na koniec zgodnie oddamy głos na Marthę?

Wiedziałam na pewno – lub raczej mocno podejrzewałam – że Martha doskonale wie, na czym polega mój wkład w kształt Nieświata. Widziałam to w jej wzroku, słyszałam w beznamietnym i nieprzekonującym tłumaczeniu: *Tylko jeszcze go nie znalazłam.*

Martha zawsze potrafiła dotrzeć do prawdy. Ale z jakiegoś powodu postanowiła tych informacji nie zdradzać.

Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ 17

Kilka kolejnych pętli spędziliśmy w bibliotece, na lekturze *Mrocznego domu na zakręcie*. Chcieliśmy zrozumieć wszystko, o czym wspominała Martha.

Ściągnęliśmy z sieci audiobook i przez wiele, wiele godzin słuchaliśmy tekstu, obejmującego całe tysiąc trzysta dwadzieścia dwie strony, zwinięci pod wełnianymi kocami, popijając herbatę, podczas gdy lektor – młody brytyjski aktor z Royal Shakespeare Company, obdarzony operowym barytonem i schizofreniczną umiejętnością idealnego wcielania się w przeróżne postacie, mężczyzn, kobiet, młodych, starych, biednych, arystokratów – opowiadał nam futurystyczną sagę o miłości i stracie. Była to historia urzekająca, jedna z najlepszych, jakie kiedykolwiek słyszałam, tajemnicza, emocjonująca opowieść rozgrywająca się w dalekiej przyszłości, pełna fascynujących i przerażających zwrotów akcji, których za nic nie dało się przewidzieć.

Główny bohater, Jonathan Elster, niewydarzony i roztargniony wykładowca na uniwersytecie dla nieprzystosowanych w Starej Ziemi, prowadzi kurs filozofii alternatywnej, *Wstęp do nieznanego*, traktujący między innymi o podstawach i zasadach rządzących podróżowaniem w czasie. Elster od lat kocha się skrycie w tajemniczej kobiecie o nazwisku Anastasia Bent, wykładowczyni z wydziału historii. Pewnego dnia Anastasia przypadkowo odkrywa przekłamanie w historii wszechświata i znika – pewien rybak zeznaje, że widział ją spacerującą po klifie, co sugerowałoby samobójstwo, ale ciała nie znaleziono. Jonathan odbywa serię niebezpiecznych podróży w czasie i przestrzeni, by ją odnaleźć.

Wszyscy słuchaliśmy w milczeniu, z powagą. Dramatyczne wydarzenia na komisariacie w Warwick zbliżyły nas do siebie, otworzyły do tej pory pozamykane pokoje w ogromnej posiadłości, którą niegdyś była nasza przyjaźń, zerwały prześcieradła przykrywające meble, włączyły światła. Teraz odnosiłam wrażenie, że za sprawą słów Marthy znów puciekaliśmy do osobnych pokoi, poznikaliśmy na krętych schodach, zaszyliśmy się za zamkniętymi drzwiami, a o obecności pozostałych czasem przypominało nam tylko skrzypienie podłogi gdzieś w oddali.

Nie wiem, czego się obawiali. Nie zwierali się ani mnie, ani, najwyraźniej, sobie nawzajem.

Mój strach dotyczył wyłącznie Marthy. Te bomby, które zrzuciła – J.C. Gossamer Madwick, kształt Nieświata złożony z elementów przynależnych każdemu z nas po trochu – kazały mi jeszcze baczniej niż dotąd obserwować każde jej spojrzenie, każdy komentarz. Ku swojemu przerażeniu stwierdziłam, że w którymś momencie, po tym, jak odkryłam, że pobiera nauki od profesora Belorody, zdołała po cichu przejąć kontrolę nad całą grupą. Przez lata odgrywała marginalną rolę. Była tą dziwną laską, na przyczepkę do Jima, która potrafiła cynicznie skomentować spot organizacji walczącej o prawa zwierząt (*Co za propagidka*) czy szczęśliwe zakończenie komedii romantycznej (*Kolejny horror z wysoką liczbą ofiar śmiertelnych*). Nieustannie mówiła takie rzeczy, że można było tylko wywrócić oczami i się roześmiać. A teraz – niewiarygodne, niesamowite – stała się osobą, do której wszyscy zwracali się po rady, wiedzę i odrobinę otuchy. Kilka razy próbowałam sugerować Kipowi, Whitley i Cannonowi, że jej nie ufam i nie wiem, w jakim kierunku nas popycha. Nie podzielili moich podejrzeń.

– Co masz na myśli? Sądzisz, że coś kombinuje? – zapytał Kipling, marszcząc brwi.

– Nie wiem. Tak coś przeczuwam.

– Ej, to nasza stara dobra Martha. Rain Man. Nie potrafi knuć. Jest na to zbyt szczerą i naiwną.

– Nie sądzę.

– Daj spokój.

– Mówię poważnie. Wie więcej, niż chce zdradzić.

– Jakie to ma właściwie znaczenie? – szepnął Kipling. – Co innego nam pozostaje, Bee? Nie wiem, jak ty, ale ja bardzo chcę, żeby coś się wydarzyło. Zmieniło. Cokolwiek. Nawet jeśli miałyby to oznaczać...

– Że?

Wzruszył ramionami z obojętną miną. Było jasne, co chciał powiedzieć.

Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że nigdy się stąd nie wydostaniemy.

—

Wieczory upływały nam na gorących dyskusjach o tym, jak zmienić pętlę i dostać się do Masonów.

W *Zakręcie* Jonathan Elster odkrywa podróżowanie w czasie przypadkiem, kiedy podąża śladami zaginionej Anastasii Bent, która według policji popełniła samobójstwo, skacząc z nadmorskiego klifu. Jonathan skacze z tego samego miejsca, w którym widziano ją po raz ostatni, spada trzydzieści metrów w dół na spotkanie pewnej śmierci, ale wcale nie rozbija się o skały, tylko ląduje w wodach Tamizy, w Londynie, w roku 2122.

– Otwarte okno w przedziale istnieje zawsze na granicy śmierci – wyjaśniła Martha – i dlatego tak niewielu w ogóle ma szansę je odnaleźć. Aby przez nie wyskoczyć, trzeba wiedzieć, że staje się twarzą w twarz ze śmiercią. Jak znajdziemy je tutaj, w Nieświecie? Wiem, że już o to pytałam, ale czy któreś z was kiedykolwiek próbowało popełnić samobójstwo?

Ponownie zaprzeczyliśmy.

Martha chyba poczuła się nieco zbita z tropu naszą jednomyślną odpowiedzią, bo w zadumie poskubała paznokcie i więcej się nie odezwała.

Kolejną bardzo ważną rzeczą, o której musieliśmy pamiętać, było to, że aby zjawić się jednocześnie we właściwym miejscu i czasie – w tym samym przedziale w przeszłości bądź przyszłości – musimy w momencie bliskim śmierci przez cały czas myśleć właśnie o tym ustalonym miejscu.

– Wybierzemy się do Villi Anna Sophia na Amorogos, któregoś dnia w przeszłości – oznajmiła Martha. – Wczoraj. Dwudziestego dziewiątego sierpnia. Tam zaczniemy.

– Dlaczego nie w przyszłości? – zapytał Cannon.

– Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro. Może wydarzyć się katastrofa naturalna, atak terrorystyczny, inwazja kosmitów. Przeszłość już się wydarzyła, wiemy, czego się spodziewać.

– Ale jeśli mamy wrócić do przeszłości – wtrąciłam – to czemu nie prosto do kamieniołomu, w noc śmierci Jima? Od razu wszystkiego byśmy się dowiedzieli.

– Słusznie – przyznał Cannon.

– Nie. – Martha pokręciła głową. – Mowy nie ma. Nie jesteśmy gotowi. W *Zakręcie* pociąg przy każdym skoku w czasie coraz bardziej się skraca. To znaczy, że nasze pętle będą krótsze. To wywoła poważne zachwiania. Może nie starczyć nam czasu, by jednomyślnie zagłosować. Musimy zacząć stopniowo i powoli.

Nie kupiłam tej argumentacji – Martha jakoś za szybko odrzuciła moją propozycję – ale reszta chyba nie miała wątpliwości. Postanowiłam więc, że

nie będę jej prowokować. Na razie.

Z naszej piątki tylko ja byłam na Amorgos. Tylko ja odwiedziłam Jima tamtego lata. Tak więc, by mogli żywo wyobrazić sobie czas i miejsce, pokazałam im na telefonie zdjęcia z wycieczki i opowiedziałam wszystko, co zapamiętałam. Pałaca jaskrawość światła i kolorów, jeepy bez dachu, którymi Masonowie rozbijali się po piaszczystych drogach niczym armia okupancka, Edgar Mason przeważnie zamknięty w swoim kosmicznym gabinecie, by czasem pojawić się zniecka jak Zeus zstępujący z Olimpu (gdyby Zeus miał opaleniznę w kolorze whiskey, włosy nastroszone jak kolce jeża i wstawał codziennie o czwartej, by ćwiczyć ashtangę, jednocześnie szepcząc coś do słuchawki), młodsze rodzeństwo Jima i ich znajomi galopujący schodami w dół i w górę jak stada antylop. Jim miał młodsze siostry bliźniaczki, Glorianę i Florence, oraz dwóch adoptowanych braci z Ugandy, Cala i Nilesa. Ku mojemu zdumieniu przyjechał z nimi nauczyciel suahili („attaché kulturalny”, jak powiedział Jim). Większość czasu spędziliśmy we dwójkę, czytaliśmy na głos biografie Johna Lennona, skakaliśmy do wody, zwiedzaliśmy wybrzeże w niebieskiej łodzi o nazwie *Ptaszek*. Nurkowaliśmy, jedliśmy grillowaną rybę skropioną sokiem z cytryny, który czasem pryskał mi do oczu i szczypał. Karmiliśmy bułkami z obiadu stada dzikich psów, które patrolowały nocne ulice jak gangi chuliganów, bawiliśmy się do bladego świtu na zakrapianych rodzinnych imprezach przy drewnianych stołach ustawionych pod granatowym niebem i sznurami żółtych papierowych lampionów.

Jim zaprosił mnie na całe lato, ale moi rodzice zgodzili się tylko na pięć dni. A przekonanie ich i tak wymagało umiejętności dyplomatycznych na poziomie departamentu stanu. Te pięć dni minęło w mgnieniu oka, a każdy z nich był jak obraz emanujący oślepiającym, sztucznym blaskiem, który wywoływał we mnie jednocześnie skrępowanie i zachwyt. Świat Jima był tak barwny, tak nieprawdopodobny. I ledwo do niego trafiłam, już musiałam go opuścić, znowu tkwić w sennym Watch Hill, pomagać rodzicom we Wronie, roztargniona i posępna. Zapominałam wyłączać blender przy robieniu shake’ów, podawałam kanapki z sałatką jajeczną zamiast zamówionych z indykiem i serem. Byłam opętana jak Wendy wspomnieniami o Nibylandii i Piotrusiu Panu. Do końca wakacji codziennie przeliczałam w głowie siedmiogodzinną różnicę czasu i wyobrażałam sobie, co w tym momencie robi Jim, a kiedy dzwonił, rzucałam się na telefon z rykiem lwa, któremu

ciśnięto do klatki świeże ścierwo.

Na prośbę Marthy opisałam najlepiej jak potrafiłam salon w domu Masonów: firanki jak ze snu, białe meble i oślepiający widok na Morze Egejskie, żeby mogli również poczuć się tak, jakby kiedyś tam byli, aby ten obraz pojawił się w ich głowach w chwili, kiedy znajdziemy się na granicy śmierci – czymkolwiek ona się okaże.

Kiedy akurat nie siedzieliśmy w piątkę w bibliotece zajęci rozpracowywaniem *Zakrętu*, chwyciłam parasolkę i wychodziłam na samotne spacerunki w ulewie.

Przez cały czas słyszałam w głowie głos Marthy, niepokojący szept: *Twój ślad też gdzieś tu jest.*

Pewnego razu, schodząc po wąskich schodach prowadzących na nabrzeże, zauważyłam, że drzewa kołyszą się nienaturalnie mocno. Ocean był wzburzony, na atramentowej wodzie pieniały się białe grzywy. Żaglówki cumujące dalej w zatoce gwałtownie bujały się i postukiwały o siebie burtami. Liny przy masztach poluzowały się i chlastały jak węże. Gdzieś dalej na otwartej wodzie hałasowała boja, smętnie i ponuro.

Nagle rozległ się ostry krzyk. Głos należał do kobiety.

Wiatr zawodził tak głośno, pomyślałam, że pewnie mi się wydawało.

Ale zaraz potem ktoś znowu krzyknął. Tym razem mężczyzna.

Kłócili się. Stwierdziłam, że głosy dobiegają gdzieś zza moich pleców. Zamknęłam parasolkę i oddaliłam się szybkim krokiem, żeby mnie nie widzieli, prędko schowałam się w wąskiej przestrzeni między nabrzeżem a drewnianymi stopniami.

Po chwili znów ich usłyszałam. Uświadomiłam sobie, że głosy wcale nie dochodzą z lądu, tylko z żaglówki cumującej w zatoce, niedaleko pomostu przy sąsiedniej posiadłości. Po pokładzie poruszały się ciemne postacie.

– *Andiamo* – zawołał ktoś.

Pamiętałam, że Whitley wspomniała o tej żaglówce – należała do E.S.S. Burta. Na dziobie paliło się małe złociste światło.

I nagle: kolejny krzyk.

Czekałam. Kilka minut później usłyszałam warczenie silnika. Do nabrzeża zbliżała się łódka. Wyjrzałam między stopniami. To była Whitley. Sama.

Podpłynęła, pospiesznie zawiązała cumę, wskoczyła na pomost i wbiegła po stopniach. Światło padło na jej twarz w chwili, kiedy znalazła się tuż nad moją głową. Wyglądała na wściekłą.

Czekałam. Ale ponieważ panowała cisza, ruszyłam w stronę domu. Zapukałam do drzwi biblioteki, otworzyłam. Whitley, przemoczona do nitki, siedziała obok Marthy na sofie. Na mój widok aż podskoczyły, robiąc spanikowane miny. Jak dwie nastolatki nakryte przez rodziców na popalaniu po kryjomu zioła.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Nic – odparła Whitley.

Martha posłała mi uśmiech.

– Możesz dać nam chwilę, Bee?

Spojrzałam na Whitley. Nigdy dotąd nie wybierała na powiernicę Marthy zamiast mnie. Nigdy. Czy nasza przyjaźń nie odżyła, po tak długim czasie spędzonym razem w Nieświecie? Czy nie zbliżyłyśmy się ponownie do siebie? Ona jednak w odpowiedzi tylko na mnie popatrzyła, milcząco i posepnie.

Wyszłam i zamknęłam drzwi. Miałam złe przeczucia.

Niemal natychmiast z biblioteki dobiegł głos Whitley, cichy i stłumiony, słów nie dało się rozpoznać.

Co tu się dzieje, do cholery?

Ruszyłam na górę. Zajrzałam do pokoi, ale nie znalazłam ani Cannona, ani Kiplinga, co mogło znaczyć, że oni również byli na tej żaglówce razem z Whitley. Czyżby odbywali potajemne spotkania za moimi plecami? Dlaczego? Co robili? Chwyciłam parasolkę, wybiegłam na zewnątrz i ruszyłam ponownie na nabrzeże.

Na pokładzie żaglówki nie było nikogo, nie słyhać też było żadnych głosów.

Obserwowałam nabrzeże jeszcze przez godzinę, ale ponieważ nic się nie wydarzyło, postanowiłam wrócić do Wincroft. Biegnąc ścieżką w stronę domu, zobaczyłam Stróża.

Gardło momentalnie mi się zacisnęło. Ostatnim razem widziałam go w lesie w Darrow. Na jakiś czas chyba zniknął. A teraz wrócił, ciemna postać w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, przygarbiona i przemoczona. Kopał coś, a całe jego ciało przy każdym ruchu spinało się z wysiłku.

Zesłam z kamiennej ścieżki, żeby się z nim nie spotkać i pobiegłam

między drzewami. Dotarłszy do domu, mimowolnie odwróciłam się, by jeszcze raz na niego spojrzeć.

Nie zauważył mnie. Wciąż zajęty był kopaniem. Teraz dostrzegłam, że są to cztery spore, błotniste doły. Cztery groby.

Ale nie to było najdziwniejsze.

Otóż na nosie miał czarne okulary niewidomego.

—

Nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, co robi Stróż, i co to oznacza, ponieważ podczas najbliższej pętli poznałam tajemnicę kłótni na pokładzie łodzi oraz prywatnej rozmowy Whitley z Martha.

– Kipling ma nam coś do powiedzenia – oznajmiła Martha, kiedy zebraliśmy się w bibliotece. – Whitley zwróciła na to moją uwagę podczas ostatniej pętli, sądzę, że mogłoby pomóc.

– Chyba żartujesz – powiedział gniewnie Cannon do Whitley.

– Musiałam – odparła.

Cannon, błądzący z wściekłości, rzucił jej mordercze spojrzenie.

– O, błagam. Przestań bawić się w policjanta. Chyba chcesz się stąd wydostać, co? Nie chcesz poznać prawdy na temat śmierci Jima?

– To nie była twoja tajemnica – wysyczał.

– Jeśli jest w stanie zmienić pętlę, to miałam prawo ją zdradzić.

– W porządku. – Martha położyła dłoń na ramieniu Cannona. – Możesz nam powiedzieć.

Nagle spostrzegłam, że Kipling płacze. Płacze tak naprawdę. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Jakby wyzymał z siebie łzy. Siedział na sofie, z głową w dłoniach, łzy kapały mu na kolana.

– Nazywam to Indiańskim Dywanikiem – wydusił z siebie, wbijając wzrok w podłogę. – To forma autoagresji. „Nieudana próba rozwiązania problemów interpersonalnych”, tak mówią na to psychiatrzy. Termin wymyśliła Mama Greer, z powodu zwariowanego chodnika, który podwędziła kiedyś w sklepie ze starociami. Robiliśmy to razem. Tworzenie więzów między matką a synem. Czasem nawet kilka razy w tygodniu. Na przykład w piątkowy wieczór uznawała, że w telewizji nie ma nic ciekawego i wywoziła mnie na jakąś wiejską drogę. Pierwszy raz, kiedy miałem pięć lat. Położyliśmy się na drodze obok siebie, trzymając się za ręce, i czekaliśmy, aż nadjedzie

samochód. „Przetocz się na pobocze, jak powiem *bingo*”, nakazała. „Zobaczmy, czy Bóg nas lubi. Czy chce, żebyśmy dalej żyli. Bo powiem *bingo* tylko jeśli Bóg mi *każe*. Takie są zasady gry”. – Kipling zadrżał. – Za pierwszym razem ze strachu się zsikałem. Przypomniało mi się, że od dawna nie odmawiałem modlitwy. Dobry Boże. Czy Bóg w ogóle wiedział o moim istnieniu? Czy mnie lubił? Chyba nie za bardzo, skoro dał mi taką twarz. Takie ciało. Ścisnąłem Mamę Greer za rękę. Była moim kołem ratunkowym. A potem nadjeżdżał samochód. Czuję go najpierw w drzeniu asfaltu pod swoim ciałem. Trwało wieki, zanim Mama Greer krzyknęła *bingo*. Ale zawsze w końcu to robiła. Zaciskałem powieki i przetaczałem się na bok. Koła mijały mnie dosłownie o centymetr. Otwierałem oczy, a Mama Greer tańczyła na poboczu, pokrzykując, zrywała z siebie ciuchy. „Widzisz? Bóg nas kocha. Jednak nas kocha”. Potem zawsze była w świetnym humorze. Czasem nawet przez cały tydzień, jeśli dopisało mi szczęście.

Zamilkł i potarł oczy. Nie mogłam wydusić słowa. Zawsze wiedziałam, że Mama Greer była niebezpieczna, ale tak przerażającej historii na temat jej wyczynów jeszcze nie słyszałam.

– Uzależniłem się – podjął Kipling. – Od tych emocji. Nie przestałem. Co kilka miesięcy, kiedy wszystko wymykało się spod kontroli, kiedy ogarniała mnie beznadzieja, wracałem do Indiańskiego Dywanika. Wymykałem się z kampusu. I od razu czułem się lepiej. W trzeciej klasie zrobiłem dywanik w wielkim stylu, tuż przed Gwiazdką, kiedy rektor Trask powiedział, że nie mogę wrócić na następny semestr. Wywalili mnie. Okazało się, że jestem uczniem, jak on to ujął? „który potrzebuje środowiska o mniej wygórowanych oczekiwaniach”. Jakby chciał powiedzieć, że lepiej byłoby mi w pierdłu. Po tej rozmowie wykonałem Indiański Dywanik, przez który o mało nie zmieniłem się w kanapkę z jajecznicą pod kołami ciężarówki. – Uniósł wzrok i pociągnął nosem.

Wpatrywałam się w niego bez słowa. Kipling zawsze należał do słabych uczniów. Wiedziałam, że pod koniec każdego roku były wątpliwości, czy przejdzie do następnej klasy, ale nie miałam pojęcia, że go wyrzucili. Wszystko zmieniło się w ostatniej klasie, nagle skupił się na nauce i poprawił wyniki. A końcowe egzaminy zdał z naprawdę niezłymi ocenami.

– To Cannon uratował mi skórę – powiedział Kip ze słabym uśmiechem. – Dostrzegł, co tak usilnie starałem się ukryć.

– Nie szło ci zbyt dobrze z tym ukrywaniem – stwierdził Cannon,

szczerząc się od ucha do ucha. – Kulależ i krzywiłeś się przy siadaniu.

Kipling spojrział na mnie.

– Pamiętasz, jak nie było mnie przez dwa miesiące z powodu „ważnych spraw rodzinnych”?

Przytaknęłam. Pamiętałam jak przez mgłę, że opowiedział mi jakąś przejmującą i skomplikowaną historię o kłopotach cioci z sercem.

– To było jedno wielkie kłamstwo. W tym czasie przebywałem w ośrodku terapeutycznym w Providence, ćwiczyłem tai chi, malowałem miski i szukałem drogi środka, by zapanować nad niekontrolowanymi wzorcami zachowań. To Cannon mnie tam wysłał. I przyjeżdżał w dni odwiedzin. Omawiał z psychiatrami moje postępy. Przekonał władze Darrow, żeby dali mi ostatnią szansę. Pomógł mi poprawić oceny. Przygotował papiery do college’u. Siedział ze mną całą noc, kiedy pisałem esej o mamie Greer. „Dwubiegunowa Mama”. Tytuł alternatywny: „Jak przetrwać pod opieką kompletnej wariatki”. Dzięki temu dostałem się na uniwersytet w Luizjanie. Gdyby nie Cannon, byłbym teraz śladem na oponach ciężarówki.

Mój umysł pracował gorączkowo. Wróciłam pamięcią do ostatniej klasy. Cannon był nieustannie zajęty, pojawiał się i znikał zniemacka z wypchanym plecakiem i naręczem książek. Nie domyślałam się, przez co przechodzi. Ale wcale mnie to nie zdziwiło. Należał do osób, które rozwiązują swoje problemy po cichu. „Spokojny i wytrwały strumyczek, który zawsze znajdzie sobie drogę”, jak mawiała Whitley. Mimo wszystko czułam się dotknięta, że nie wtajemniczyli mnie w swoje sprawy, że tuż pod moim nosem toczył się prawdziwy dramat, a ja nie miałam o tym pojęcia.

– Dlaczego nic nie mówiliście? – spytałam Kiplinga.

Zerknął na Cannona. Wyczułam przelotny cień milczącego porozumienia, który zniknął zaraz, jak tylko się pojawił.

Kipling wzruszył ramionami.

– Nadchodzi moment, kiedy twój prywatny obłąd sięga takiego miejsca na skali, że robi się tego trochę za dużo. Nawet dla najbliższych przyjaciół.

– To nie jest cała prawda – zauważyła Whitley, wyczekująco przekrzywiając głowę.

Kipling zrobił zakłopotaną minę.

– No, nie. – Odchrząknął. – Moje oceny w ostatniej klasie, dowód na to, że byłem całkiem niezłym uczniem, tylko przez cały czas udawałem, że jestem taki fatalny? Nie były prawdziwe.

– O czym ty mówisz?

Widać było, że nie ma ochoty zgłębiać tematu.

– Cannon hakował dla niego szkolną sieć – odparła Whitley. – Przez całą ostatnią klasę. Kipling dostawał z wyprzedzeniem wszystkie testy, z każdego przedmiotu. Łącznie z egzaminami połówkowymi i końcowymi.

– Nie z każdego – zauważył Cannon.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Tak czy inaczej, było to oszustwo.

– Pomagałem przyjacielowi – odparł lodowato.

Whitley prychnęła.

– Tak samo można usprawiedliwić to, co robiłam jako Biały Królik. Mnie wszyscy mają za złą osobę? Spójrzcie na siebie.

Cannon milczał. Przez lata działał w zacofanym dziale komputerowym naszej szkoły. Często wzywano go podczas lekcji, by pomógł w walce z wirusem czy błędem w systemie. Patrzył na Whitley z wściekłością i oburzeniem, i chyba nie czuł się ani odrobinę winny.

– Jak tego dokonałeś? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Inżynieria społeczna. Najślabszym ogniwem, jeśli chodzi o bezpieczeństwo każdej sieci, zawsze jest człowiek. Rozesłałem mail do wszystkich nauczycieli, z poleceniem aktualizacji systemu. W mailach adresowanych do nauczycieli Kiplinga umieściłem trojana. Ściągnęli go, a ja stałem się rootem. To było równie skomplikowane jak zawiązanie sznurowadła.

Zmarszczył brwi na widok mojej miny.

– Daj spokój, Sostro Bee. Kto jak kto, ale ty powinnaś zrozumieć. Szkoła stała Kiplingowi na drodze ku świetlanej przyszłości. Musiałby zaczynać od nowa w jakimś podrzędnym liceum. Z dała od nas. Fatalnie by to wyglądało w jego cv. Poza tym Kiplinga nie można mierzyć za pomocą takich kryteriów jak szkolne oceny. Kipling to osobna rzeczywistość. Musiałem mu pomóc, najlepiej, jak potrafiłem. – Wzruszył ramionami. – Są pewne zasady rządzące tym światem. Kiedy wszystko wali ci się na głowę, trzeba zastosować skuteczne środki.

Cannon wpatrywał się we mnie tak przenikliwym wzrokiem, że poczułam ciarki. Zapomniałam, jak intensywnie odczuwa się czasem jego obecność, zapomniałam, że kiedy odpowiednio się skoncentruje, sprawia wrażenie

raczej pola energetycznego niż człowieka z krwi i kości.

– I to by było na tyle – dorzucił Kipling. – Oto dwugłowy potwór, którego chowałem w szafie.

– Pytanie brzmi – szepnęła Martha, spoglądając na niego – czy twoje wyznanie pomoże nam odmienić pętlę?

Zamyśliła się, marszcząc brwi. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Czasem tak właśnie robiła – zadawała pytanie, pozwalając, by zawisło w powietrzu na kilka minut, nawet na godzinę, by w końcu, kiedy już wszyscy zapomnieli, o czym była mowa, wyrzucić z siebie odpowiedź.

– Mam pomysł – oznajmiła.

ROZDZIAŁ 18

I tak wylądowaliśmy w krzakach dzikiej róży na poboczu pustej nadmorskiej drogi o godzinie czwartej czterdzieści siedem rano, cztery minuty przed końcem pętli.

Dokładnie po drugiej stronie tej drogi wydarzył się nasz wypadek – to tam, jak twierdził Stróż, niejaki pan Howard Heyward, lat pięćdziesiąt osiem, zamieszkały pod numerem dwieście osiemdziesiąt jeden przy Admiral Road w South Kingstown, walnął ciężarówką w nasz samochód, skazując nas na Nieświat, to tam, w innym wymiarze, w czasie bardziej rzeczywistym niż ten tutaj, leżeliśmy wewnątrz skasowanego samochodu i wewnątrz pojedynczej sekundy, czekającej na rozwiązanie.

Martha wiedziała dokładnie, gdzie to się stało – na odcinku ostro skręcającym pod kątem stu sześćdziesięciu stopni pośród gęstych sosen. Przyznała, że wróciła kiedyś, by obejrzeć to miejsce.

Jak to się stało? Ledwo pamiętałam. Agresywne snopy oślepiających reflektorów. Krzaki dzikiej róży drżące w ulewnym deszczu. Ostrzegawczo machające wycieraczki. Jasna noc. Nasz pijany śmiech rozchodzący się dokoła. Klakson. Wirowanie. Samochód wypada z drogi, skacze w ciemność. Grawitacja znika.

– To pijak – powiedziała Martha. – Spędza wieczór w barze w Warwick, wypija dwanaście piw. Dwanaście. A potem siada za kierownicą, jest ledwo przytomny. O mało nie zderza się ze słupem telefonicznym. W Nieświecie przejeżdża tuż obok miejsca, gdzie w nas uderzył. Ten moment wyznacza koniec pętli.

Deszcz bębnił w dach samochodu. Okna zaparowały. Czułam się tak, jakbyśmy siedzieli zamknięci we wnętrzu łodzi podwodnej na dnie morza. Z radia płynęła muzyka klasyczna.

Przejechał tylko jeden samochód, niebieski pikap. Kierowca zauważył nasz samochód przycupnięty między krzakami róży na poboczu, przyhamował i cofnął się. Martha opuściła szybę.

– Hej, złapaliście gumę? – zapytał mężczyzna w średnim wieku ubrany w kamizelkę myśliwską. – Potrzebujecie pomocy?

– Nie, dziękujemy – odparła Martha. – Nic się nie stało. Szukamy psa.

Ściągnął brwi, zdumiony widokiem pięciorga drętwo uśmiechniętych nastolatków w zielonych pelerynach z kapturem. Skrzywił się, uznał, że nie ma nic więcej do powiedzenia i odjechał.

– Trzy minuty – powiedziała Martha, patrząc na zegarek.

Zbierało mi się na mdłości. Szokujące wyznanie Kiplinga i Cannona wyzwoliło więcej pytań niż dało odpowiedzi. Po pierwsze, wszyscy dziwnie się zachowywali, chociaż nie potrafiłam dokładnie określić, o co chodzi. Byli jacyś poirytowani. Po drugie, kiedy nie wiedzieli, że patrzę, Kipling i Cannon wymieniali przeciągłe, porozumiewawcze spojrzenia, które zdawały się zwiastować coś groźnego. Co się dzieje? Co oni kombinują?

I chociaż Martha przez cały czas nami kierowała, zapewniała, że wszystko będzie dobrze – „dwudziesty dziewiąty sierpnia, godzina dziewiąta trzydzieści pięć rano, Villa Anna Sophia, wyspa Amorgos, Grecja, tylko tyle musicie zapamiętać, jasne?” – to sam fakt, że ze wszystkich osób akurat ona dowodziła operacją, dodatkowo pogarszała sytuację. Jakie były jej zamiary? Czy chciała skierować nas na drogę śladami bohaterów *Zakrętu*, by w jakiś sposób nas zdradzić, zatrzaskać w którymś z przedziałów w czasie? Czy chodziło o to, byśmy na nią zagłosowali?

Głosowanie. Głosowanie.

Kiedy tak siedziałam obok Whitley na tylnym fotelu, czułam, jak zbliża się pętla, czułam tę znajomą siłę, jakby ogromnej fali napierającej na moje stopy, potem na łydki. Nagle radio zaszumiało, zakaszlało i wypluło z siebie *Boys Don't Cry The Cure*.

Bębnienie deszczu przybrało na sile, jakby ktoś mocno podkręcił dźwięk.

– Nie najlepiej się czuję – powiedział Kip, przyciskając dłoń do gardła.

Martha spojrzała na niego.

– Ja też to czuję. Nie tylko pętlę. To otwarte okno. To się dzieje.

Była podekscytowana – w takim stopniu, w jakim jest do tego zdolna tak poważna i opanowana osoba jak Martha.

– Czujecie?

Ja czułam. Elektryczne wyładowania w dłoniach, jakbym przed chwilą przeszła w samych skarpetkach po grubym dywanie. Podniosłam rękę i zbliżyłam ją do zaparowanej szyby, na odległość jakichś dwóch centymetrów. Zostawiła ślad. Pomachałam, a okno w magiczny sposób oczyściło się z pary. Zbliżyłam dłoń do włosów Whitley wystających spod

kaptura. Złote kosmyki wskoczyły mi prosto do ręki, jak czułki dziwnej morskiej istoty.

– Dwie minuty – powiedziała Martha. – Ruszamy.

Kiwnęła głową i wygramoliła się z samochodu. Cannon i Kipling ruszyli bez słowa w jej ślady. Otworzyłam drzwi i momentalnie przemokłam, uderzona strugą deszczu. Whitley chwyciła mnie za ramię.

– Nie dam rady, Bee – pisnęła. – Nie mogę się skupić.

– Co?

Płakała. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak przerażonej.

– Zagubię się w przeszłości. Jestem pewna.

– Nieprawda. – Złapałam ją za ramiona. – Posłuchaj. Dwudziesty dziewiąty sierpnia. Godzina dziewiąta trzydzieści pięć rano. Villa Anna Sophia. Powtórz.

– Villa Anna Sophia.

– Myśl o morzu. O niebie. O nieskazitelnym białym pięknie. O firankach. O zapachu pomarańczy.

– Pomarańcze. No tak.

– Dasz radę.

Zamrugła, nieprzekonana. Wyciągnęłam rękę, a ona ją chwyciła i obie wyszliśmy prosto w ulewę.

Nie przypuszczałam, że to będzie takie chaotyczne. Deszcz siekł jak szpilki. Jakaś siła próbowała zassać nas z powrotem do samochodu. Moje myśli zmieniły się w ciecz, rozlały po wnętrzu głowy. Musieliśmy tylko dotrzeć do miejsca, w którym wydarzył się wypadek i położyć się na Indiańskim Dywaniku zgodnie z instrukcjami Kiplinga. Martha już leżała na plecach wzdłuż wypłowiałej żółtej linii. Ruszyłam w jej stronę, pociągnęłam Whitley za sobą, ale kręciło mi się w głowie, a każdy krok sprawiał ogromną trudność, jakby ktoś przywiązał mi do stóp wielkie kamienne bloki. Kip stał na drodze, obracał się jak korek w splukiwanej toalecie, a Cannon próbował czołgać się na czworakach. Zmusiłam myśli, żeby zwolniły. Posuwałam się do przodu, robiąc wielkie kroki, jeden za drugim, i ściskając dłoń Whitley. W końcu dotarliśmy na miejsce i położyliśmy się obok Marthy. Minutę później dołączyli do nas Kipling i Cannon.

Zamrugłam. Krople deszczu bombardowały mi twarz. Nic nie widziałam. Zamknęłam oczy. Pętla objęła już moje kolana, pchnęła na ziemię.

Dwudziesty dziewiąty sierpnia. 9:35 rano.

Widziałam w pamięci skalisty, owiewany wiatrami klif, nowoczesny biały dom, który przycupnął na szczycie jak orle gniazdo, z odbiciem morza w szybach.

– Pięćdziesiąt sekund! – zawołała Martha.

Villa Anna Sophia.

– Nie dam rady! – krzyknęła Whitley.

Ktoś drasnął mnie po twarzy. Podniosłam rękę, by osłonić oczy i stwierdziłam, że to ogromna gałąź dębu, która oderwała się od pnia. Przetoczyła się po nas i poturlała dalej po drodze.

Whitley łkała, zaczęła się podnosić, ale Cannon ją przytrzymał.

– Przestań! – krzyknął.

– Puść mnie! Ja tego nie zrobię!

– Uspokój się! – wrzasnęła Martha.

– Nie mogę! Myślę o innych rzeczach! Nic na to nie poradzę!

Słyszałam ryk zbliżającego się samochodu. Howard Heyward, lat pięćdziesiąt osiem, pijany i półprzytomny, znajdował się w odległości zaledwie kilku sekund od nas. Cała się trzęsłam. Zacisnęłam powieki, wbiłam palce w asfalt.

Amorgos. Grecja.

Teraz krzyczał ktoś jeszcze. Kipling.

– Zatrzymaj to! Zatrzymaj!

– Nie rozumiecie? Pogubimy się i więcej nie odnajdziemy!

– To podstęp! Pułapka!

Walnął grzmot, jak bomba atomowa. Uszy mi eksplodowały, w głowie odbiły się rykoszetem piski i jęki. Pętla naciskała teraz na moje serce, tak mocno, że dopiero po chwili poczułam, że coś ukłuło mnie w szyję. Krzyknęłam z bólu, sięgnęłam zimnymi, zgrabiałymi palcami, by sprawdzić, co to było. Wyczuwałam niewielki twardy przedmiot. Wyrwałam go z szyi z kolejnym okrzykiem bólu.

To była szpilka z trzmiem, szpilka od Jima, którą ktoś mi ukradł.

I nagle wszystko wydarzyło się jednocześnie. Światła reflektorów przecięły moje ciało. Ciężarówka zatrąbiła, nieuchronnie zmierzając prosto na nas. Krople deszczu opadały w zwolnionym tempie. Zawyły hamulce. Ktoś krzyczał. Otworzyłam oczy i dostrzegłam postać w zielonej pelerynie, uciekającą w stronę lasu. Szczęk metalu. Ciężarówką zarzuciło, ogromne koła ślizgały się po mokrym asfalcie, kierowały się prosto na moją czaszkę.

Woń palonej gumy. Piekło.

Raz... dwa...

Szpilka z trzmielcem.

Jim.

CZĘŚĆ 3

ROZDZIAŁ 19

Kiedy otworzyłam oczy, było jasno.

Leżałam w trawie, twarzą do ziemi. Uniosłam głowę. Serce waliło mi jak młotem, okropnie mnie mdliło. Zaczęłam gwałtownie wymiotować, ciałem wstrząsały bolesne skurcze. Dopiero po chwili odzyskałam oddech. Otarłam usta, powiodłam wzrokiem dokoła. Światło raziło mnie w oczy.

Nie znajdowałam się na drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża. Nie przejechała mnie ciężarówka Howarda Heywarda – a nawet jeśli, to już należało do przeszłości. Nic mnie nie bolało.

Nie siedziałam też na tylnym fotelu jaguara. I po raz pierwszy od wieków nie padało. Świeciło słońce. Leżałam na ziemi, zasypanej suchymi liśćmi, w otoczeniu drzew. Powietrze było chłodnawe i rześkie, słońce jaskrawobłękitne. Wyciągnęłam ręce, otworzyłam zaciśnięte pięści.

Były puste.

Szpilka z trzmielcem. Gdzie ona jest?

Rozejrzałam się dokoła. Z pewnością nie znajdowałam się w pobliżu Villi Anna Sophia, ani w ogóle na żadnej greckiej wyspie.

Znajdowałam się w środku lasu. Spojrzałam w dół.

Bordowy wełniany płaszcz od Ann Taylor, który moja mama kupiła lata temu w sklepie z używanymi ciuchami w Woonsocket. Czarne rajstopy. Czarna wełniana sukienka. Zdarte buty z czarnej skóry.

Wstałam, mocno dezorientowana. Buty były za ciasne, sukienka drapała. Zrobiłam kilka kroków. Między drzewami prześwitywała trawiasta polana i jezioro pełne małych białych łódek, wzdłuż brzegu tłoczyli się ludzie. Poszłam w tamtą stronę, zastanawiając się, czy wyglądam jak totalna wariatka. Ale kiedy wyszłam spomiędzy drzew, nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Po jeziorze pływało co najmniej dwadzieścia żaglówek, dzieciaki i kilkoro nastolatków sterowało nimi zdalnie z brzegu.

Zrozumiałam, gdzie jestem: w Central Parku. Jezioro Conservatory Lake. Byłam tu kiedyś z Jimem.

– A, tutaj jesteś.

Kiedy usłyszałam jego głos, poczułam się tak, jakby ziemia usuwała mi się

spod stóp. Nie mogłam oddychać. Zamknęłam oczy, mózg zmienił się w galaretkę. Spadałam w głąb dziury.

– Gdzie byłaś? Już próbujesz się mnie pozbyć?

Był żywy. Stał tuż za mną, dłoń położył na moim ramieniu. Pachniał tak jak zawsze: mydłem miętowym, wiatrem i świeżym praniem.

– W dzieciństwie na okrągło tu przychodziłem. Raz zepsuł mi się pilot i moja łódka utknęła pośrodku jeziora. Rozplakałem się, a ojciec powiedział: „Jeśli chcesz ją odzyskać, to po nią idź”. Musiałem wejść do wody. Zapewne był to test na osobowość, podbudowany filozofią wolnego rynku, coś w stylu „przetrwaję najsilniejszy”, który pewnie poznał na studiach w szkole handlowej... Hej, co jest?

Obrócił mnie twarzą do siebie.

Co jest? Od czego mam zacząć?

– Spójrz na mnie.

Otworzyłam oczy.

Widok Jima Masona stojącego tuż przede mną – w blasku słońca, pośród ćwierkających ptaków i radośnie piszczących dzieci – był tak nieprawdopodobny, że mój mózg wywrócił się na lewą stronę.

To nie działo się naprawdę. Niemożliwe.

A jednak. To był Jim. Taki sam, a zarazem nie. Kiedy na niego spojrzałam, uderzyło mnie, że tak naprawdę nigdy nie widzimy tej drugiej osoby. Pamięć okazuje się leniwym pracownikiem, który stara się nie przemęczać. Nie rejestruje wszystkich szczegółów, kiedy ktoś żyje i przebywa obok ciebie niemal przez cały czas, a kiedy ta osoba umiera, pamięć tylko wykonuje kolejne słabe kserokopie i wszystkie szczegóły przepadają: piegi, krzywy uśmiech, linie wokół oczu.

– Chodź – powiedział Jim. – Nie możemy się spóźnić.

Wziął mnie pod rękę. Już zapominałam, że zawsze tak robił. Poprowadził mnie ścieżką, obok kobiet pchających wózki dziecięce – wszystkie panie rzucały mu zachwycone spojrzenia – i mężczyzny z wózkiem sklepowym pełnym plastikowych butelek.

Zdaje się, że pętla przeniosła mnie do jednego z tych dni, kiedy odwiedzałam rodzinę Jima w Nowym Jorku.

Nie była to Gwiazdka. A na wakacje wiosenne było za chłodno.

Kiedy więc?

Mogłabym zapytać, dokąd się spieszymy, ale wydawało mi się to niezbyt

dobrym pomysłem. Za każdym razem, kiedy patrzyłam na Jima, niemal podskakiwałam z niedowierzania. Chciałam zapisać wszystko w pamięci, każde mrugnięcie, prychnięcie, krzywy uśmiech. Poza tym byłam przerażona. W gardle mnie ścisnęło, jakby tkwiła tam wielka gęź z gumy do żucia, grożąca, że w każdej chwili może się oderwać. A wtedy się poryczę albo zacznę bredzić o Nieświecie i o jego śmierci.

Kochanie, ty nie żyjesz. Masz bardzo mało czasu.

Zagryzłam wargi i pozwoliłam się prowadzić przez Piątą Aleję. Wpadliśmy do budynku pod numerem 944, wypisanym eleganckim pismem na zielonej markizie. Na stole w holu stała gigantyczna kompozycja z róż i hortensji, która przypominała asteroidę i odbierała mowę. Jim pomachał do odźwiernego.

– Hej, Murdoch.

A potem znaleźliśmy się sami w windzie. Jim oparł się o ściankę pokrytą boazerią i wbił we mnie baczne spojrzenie. Już zapomniałam, że zawsze przyglądał się ludziom tak, jakby patrzył na bezcenne dzieło sztuki.

– Nie denerwuj się – powiedział.

Znowu chwycił moją dłoń, musnął palce wargami i wyszedł tyłem z windy, pociągając mnie za sobą do swojego apartamentu. Już zapomniałam, jaki jest ogromny. Echo jak w muzeum, żelazne figury ptaków, olejne obrazy przedstawiające surowe twarze, patykowate meble bardziej przypominające ogromne modliszki niż coś, na czym można na przykład usiąść. Spojrzałam w dół. Dostrzegłam rysy na butach i pozaciągane stare rajstopy i ogarnęło mnie dobrze znane poczucie zażenowania. Kiedy weszliśmy do salonu pełnego ludzi, zauważyłam, że wszyscy są ubrani na czarno – czarne sukienki, buty i torebki, jedwabne szale w czerni, bieli i czerwieni, granatowe garnitury – i wtedy zrozumiałam, gdzie jestem.

Pierwsza klasa liceum. Pięć lat temu. Weekend pod koniec września.

Jim poprosił mnie, żebym poszła z nim na pogrzeb wuja Carla. Ledwo się znaleźliśmy.

Przedstawił mi się zaledwie tydzień wcześniej.

—

– Jim Mason.

Siedział za mną na angielskim. Przysunął bliżej krzesło, tak że poczułam

na policzku jego miętowy oddech. Właśnie głowiłam się nad rymem do piosenki.

– Co robisz? – Zmarszczył brwi na widok mojego notatnika. – Co to jest *Krach chińskiej pralni Fenfang: oryginalna ścieżka dźwiękowa?*

Zażenowana, wsunęłam zeszyt pod laptop.

– Nic.

– Nie wygląda jak nic.

Odchrząknęłam. Zabrzmiało jak bagno.

– Tworzę ścieżki dźwiękowe do nieistniejących filmów. Nie pytaj, dlaczego to robię.

– Aha. – Rzeczowo pokiwał głową. – To kiedy zaczyna się twój pobyt na oddziale zamkniętym? Za tydzień? W przyszłym roku?

Roześmiałam się.

Wyciągnął rękę.

– Jim Mason. Miło, że się poznaliśmy, zanim odwieźli cię do pokoju bez klamek.

– Beatrice Hartley.

Puścił do mnie oczko.

– Ja też jestem szalonym poetą.

Uśmiechnęłam się. Zapadła niezręczna cisza. Jim obserwował mnie uważnie. Odwróciłam się, wbiłam wzrok w ekran laptopa i zaczęłam stukać w klawiaturę, udając, że piszę coś bardzo ważnego i usiłując zapanować nad rumieńcem. Zakładałam, że mój nowy znajomy wróci do swojego biurka i zostawi mnie w spokoju.

On jednak, jak gdyby nigdy nic, zaczął beatboxować.

—

Chodzę na angielski z niesamowitą dziewczyną,

co rzadkiego ptaka na maksa przypomina.

Boję się, że zaraz odfrunie spłoszona.

Trzeba szybko ją ogłosić gatunkiem chronionym.

—

Cała klasa umilkła, ktoś z tyłu zachichotał.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tak już będzie zawsze, że zostać obiektem zainteresowania Jima to jak wciąż na nowo przeżywać wybuch bomby prosto w twarz, to coś niespodziewanego, szokującego. W dodatku zaczęły mnie zaczepiać najpopularniejsze dziewczyny w szkole, o długich syrenich włosach i pełnych niedowierzania spojrzeniach.

– Skąd znasz Jima Masona?

– Ale jesteś z Nowego Jorku?

– Chodziłaś do Spence?

– Jestem z Watch Hill. Nie, chodziłam do Watch Hill East. Nie... nie znam Jima.

Tak poznałam Whitley. Spotkali się z Jimem na jakimś ekskluzywnym obozie w Appalachach.

– Jim Mason buja się w tobie – to były jej pierwsze słowa.

Właśnie pędziłam korytarzem, ściskając pasek plecaka, jakby był kołem ratunkowym.

– Nieprawda.

– Prawda. – Ściągnęła brwi. – Mówi, że jesteś niesamowita. I jak z dawnej epoki. Niewinna. Jakbyś tak naprawdę pochodziła z lat czterdziestych czy coś w tym stylu i trafiła do nas wehikułem czasu.

– Dzięki.

– To komplement.

Następnego dnia, kiedy szłam na boisko, nagle Jim wyrósł tuż obok mnie. Moje serce zatrzepotało jak złowiona ryba.

– Dorastałaś na farmie amiszów i bladym świtem chodziłaś doić krowy? – zapytał.

– Eee. Nie.

– A tak wyglądasz.

– Aha.

– Skoczmy gdzieś w niedzielę?

Zapytał tak, jakby proponował mi gryza swojej kanapki.

Odmówiłam. Najbliższa niedziela była niedzielą rodzinną, co znaczyło, że uczniowie Darrow albo wyjeżdżali na cały dzień do domu, albo zapisywali się na wycieczkę do muzeum. Nie widziałam rodziców od miesiąca. Planowali wystawny obiad z lasagną. Oczywiście tak naprawdę odmówiłam, ponieważ przerażało mnie zainteresowanie Jima, było jak ostre reflektory, które oślepiały mnie i jednocześnie stawiały w kręgu światła, każąc

wszystkim na mnie patrzeć.

Ale co ja wiedziałam. Dla Jima NIE znaczyło TAK, które jeszcze się nie wydarzyło.

– Beatrice! – zarapował bez żenady na początku lekcji angielskiego, ściągając na mnie zirytowane spojrzenie pani Henderson. – Ty jesteś taką realistką, chciałbym dać ci wszystko, a tyś twarda jak klepisko, twój umysł to siedlisko myśli jasnych jak ognisko, bystrych jak błystka. O, Beatrice...

Zostawiał liściki w mojej szafce. *Zgódź się (skocz ze mną z klifem do morza)*. Nagrał o mnie piosenkę. Krążyła po całej szkole.

– *Szyja królowej?* No błagam – słyszałam, jak syknęła jedna z dziewczyn.

– Zgódź się! – rzucił Jim, mijając mnie w holu. (– Niby na co? Ma urodzić mu dzieci? – powiedział kapitan drużyny siatkarzy do swoich kolegów.) Jim zadzwonił do moich rodziców, by się przedstawić, omówić rozkład pociągów z Penn Station i zapewnić, że będę z nim bezpieczna, i że jest prawdziwym dżentelmenem.

Te wszystkie oznaki uwielbienia byłyby dość uciążliwe w przypadku każdego innego chłopaka, ale przecież nie Jima Masona, Jima o gęstych, czarnych, potarganych włosach, złoto-czekoladowych oczach i krzywym uśmiechu.

– Wydaje się uroczy i nieco ekscentryczny – zawyrokowała moja mama.

W tamtym czasie wykazywała się naiwnością w ocenie dżungli Darrow, składającej się z dzikich zwierząt pochodzących z bogatych rodzin oraz pozycji lwa, którą zajmował w tym świecie Jim.

– Wspaniale, że już nawiązałaś takie ciekawe znajomości – stwierdził tata.

Wyprawa do domu Jima i pogrzeb wuja – właśnie ten, na którym byłam teraz – miały zakończyć się katastrofą.

Za pięć-sześć godzin będę siedziała w pociągu do Nowego Jorku, sama, z powodów, które zawsze będą stanowić temat naszych kłótni. Do dzisiaj nie potrafiłam dokładnie sobie przypomnieć, co tak naprawdę się wydarzyło. Dlaczego tak się zdenerwowałam? Nie potrafiłam oddzielić własnej nieśmiałości, poczucia skrępowania z powodu zbyt skromnych ubrań i braku obycia towarzyskiego, od prawdy. Po pogrzebie odbyło się przyjęcie w dziewiętnastowiecznym budynku na Park Avenue. W którymś momencie Jim zniknął, a mnie w końcu znudziło się przypominające tortury czekanie, chwyciłam więc płaszcz i wymknęłam się bez słowa. Przez całą drogę powrotną płakałam. Przysięgłam sobie – mało racjonalnie, bo nawet w tym

momencie czułam do niego coś, co było nieuniknione jak woda na dnie dziurawej łodzi – że to koniec mojej znajomości z Jimem Masonem.

A w poniedziałek rano na angielskim postawił na zeszytach, w którym akurat coś rysowałam, czerwone pudełko z logo Cartiera.

– Wybacz mi.

W środku znajdowała się wysadzana brylantami szpilka w kształcie trzmiela.

—

Ta szpilka.

Pewnego dnia zniknęła z szuflady na skarpetki w pokoju w internacie, by niespodziewanie pojawić się wiele lat później, wbita w boczną część mojej szyi, kiedy leżałam na poboczu nadmorskiej drogi. Ta myśl wywołała we mnie przerażenie. Najwyraźniej ktoś dopuścił się sabotażu, wykorzystał szpilkę, by się mnie pozbyć, nakierować moje myśli na Jima i w ten sposób wrzucić mnie do przedziału w przeszłości. Ktokolwiek to zrobił, życzył mi źle, chciał odebrać mi szansę na wygraną w głosowaniu i wyzwolenie z Nieświata.

Które z nich to zrobiło?

– Ciasteczko?

Podskoczyłam. Uświadomiłam sobie mgliście, że jestem w salonie Masonów z widokiem na Central Park, który z tej wysokości wyglądał jak architektoniczna makieta z drzewami zrobionymi z wyciorów do fajki. Jeden z adoptowanych braci Jima – Niles, lat około dziewięciu – właśnie podawał mi kilka ciasteczek ściśniętych między kciukiem a palcem wskazującym.

Wzięłam jedno.

– Dzięki.

Zmrużył oczy.

– Jesteś najnowszą dziewczyną Jima?

– Nie. Koleżanką ze szkoły.

– To uważaj, żebyś nie skończyła jak pozostałe. – Tu zrobił zęza i skrzywił się jak zaburzony clown.

Zaśmiałam się.

– Hej, a to co?

Dzieciak podszedł do wielkiego obrazu Rothki, który właśnie spadł ze

ściany, odsłaniając ciemny prostokąt, wyglądający na grzyba.

– Normalnie jak duchy!

Uśmiechnęłam się z przymusem. W tym momencie podszedł do mnie Jim z matką.

– Mamo, to jest dziewczyna, o której ci opowiadałem. Beatrice Hartley.

– Witam.

Pani Mason była piękna, czarny kostium leżał na niej jak ulał. Podała mi dłoń takim gestem, jakby wręczała podarunek. Już zapomniałam, jaka potrafiła być chłodna: znudzony uśmiech, zerknięcie ponad moim ramieniem, jakby gdzieś za moimi plecami roztaczał się znacznie ładniejszy widok, może na przykład na delfiny wyskakujące z morza.

– Kochanie, rozmawiałaś z Artiem Grossmanem na temat tego obrazu Currina? – zapytał pan Mason, podchodząc do nas.

Był niski i opalony, miał nastroszone włosy i spięte spojrzenie typowe dla wszystkich prominentów. Jego zęby, wielkie i nienaturalnie białe, sugerowały, że mógłby rozjaśniać ciemności w razie awarii prądu.

– Tato – powiedział Jim. – To jest Beatrice.

Pan Mason ciepło się uśmiechnął i potrząsnął moją dłońią.

– Też zaczęłaś w tym roku naukę w Darrow-Harker, tak? Jak odnajdujesz się pośród tych wszystkich staromodnych obyczajów i uśmiechów godnych Kennedy’ego?

– Dobrze.

– To wspaniale. Wspaniale. Glory, czy rozmawiałaś z Artiem?

– Już idę – odparła pani Mason i odplynęła, znów z uśmiechem na ustach.

– Miło było poznać – rzuciła bez przekonania przez ramię.

Teraz nie mogłam przestać się na nich gapić. Zastanawiałam się, jak przyjęli śmierć Jima. Co oni zrobili, tacy wygładzeni i wyperfumowani? Czy któreś z nich wrzeszczało, traciło zmysły tak jak ja, czy też ich życie po prostu toczyło się dalej jak zwykle?

Jim już nie żył. Leżał w trumnie pod nagrobkiem na cmentarzu Sleepy Hollow. W tym apartamencie o grubych murach i marmurowych podłogach wydawało się to nie do pojęcia.

Jim uśmiechnął się, odprowadzając rodziców wzrokiem. Chyba omyłkowo zobaczył w moim spojrzeniu podziw.

– Poznali się w pociągu metra linii R, kiedy mieli po dwadzieścia lat. I wciąż, po dwudziestu ośmiu, są w sobie szaleńczo zakochani.

Niewybaczalne. Chodź.

Znowu złapał mnie za rękę. Przecisnęliśmy się przez tłum, obok niemych służących w szarych uniformach i kelnera z tacą pełną trójkątnych kanapek przypominających nakrochmalone chusteczki do butonierki. Wyszliśmy z salonu, w holu minęliśmy troje jego rodzeństwa, grających w wiffle (– Co za nieodpowiednie zachowanie! – krzyknął Jim), bibliotekę ze ścianami wyłożonymi boazerią i wyposażoną w drabinę konieczną, by sięgać do półek zapełnionych tysiącami oprawionych w skórę pierwszych wydań, jadalnię z nowoczesnym stalowym abażurem wyglądającym jak gigantyczna tarantula. Za dwa lata będę siedziała tu przy świątecznej kolacji, przez cały czas jego matka nie odezwie się do mnie nawet jednym słowem, a ojciec będzie mówił do mnie Barbara.

Jim wciągnął mnie do jednego z pomieszczeń i zamknął drzwi. Okazało się, że to jego pokój, cienista, chaotyczna gawra gwiazdy rocka: elektryczne gitary na ścianach, partytury pokrywające każdy skrawek powierzchni, ręcznie pisane ćwierćnuty i pauzy półnutowe rozsypane wśród kresek taktowych. Syntezatory. Wieża McIntosha. Trzy laptopy. Stosy notatników zapełnionych tekstami piosenek zanotowanych paskudnym charakterem pisma. *Lost Little Blue* – biografia Janis Joplin. *Sweeney Todd: pełna partytura*. Oprawiona w ramki setlista z koncertu Bruce’a Springsteena w Madison Square Garden, podpisana *Dla Jimmy’ego*. *Zawsze słuchaj muzyki. Bruce*. Zwinięte plakaty walające się po kątach.

Jim szukał czegoś na półce.

– Napisałem taką piosenkę o dziewczynie, której jeszcze nie spotkałem – powiedział w końcu, wyjmując jeden z notesów. – *Nieśmiertelna*. Opowiada o miłości, która nigdy nie umrze, nawet jeśli ludzi dzieli wielka odległość, śmierć lub czas. Tego szukam.

Znów poczułam gulę w gardle, jak garść żwiru.

Zaczął czytać słowa piosenki, tak jak miał to robić jeszcze wiele, wiele razy. Dobrze ją poznałam. Należała do najlepszych, jakie kiedykolwiek napisał. Śpiewałam mu ją, kiedy w ostatnim tygodniu szkoły siedzieliśmy na kocu rozłożonym na trawie. A on mnie, czasem, nocami w Wincroft, kiedy zasypiałam.

Pamiętałam tę chwilę. Opowiadałam o niej Whitley setki razy, ponieważ była jak klasyczny refren z *Ballady o Jimie i Bee*. Wtedy po raz pierwszy zostaliśmy sami, to była nasza pierwsza głębsza rozmowa. A za kilka sekund

miał się wydarzyć nasz pierwszy pocałunek. Ta perspektywa paraliżowała mnie. Kiedy czytał, czasem potykając się na jakimś słowie, czasem przerywając, żeby podrapać się po nosie, wyglądał tak pięknie i młodo – młodziej niż w moich wspomnieniach. Od czasu do czasu unosił głowę, akcentując niektóre słowa ze szczególnym naciskiem, w taki specyficzny sposób, jakby były włóczniami, które ślepo ciskał przez mur.

– Piękne – powiedziałam, kiedy skończył.

Miał dziwną minę. Delikatnie odłożył książkę na biurko i usiadł obok mnie.

– Zamierzałem czekać, nawet wiele tygodni, zachowywać się jak totalny dżentelmen i adorować cię jak rycerz w średniowieczu, ale teraz porzucam ten plan. Nie jestem rycerzem. Nie jestem nawet dżentelmenem. Ale jestem oddany. I jeśli postanowię, że chcę z tobą być, to tak już zostanie. Na zawsze. Przysięgam, Beatrice.

I pocałował mnie. W tym pocałunku zawierał się cały świat. Zniknęły wszystkie chwile bólu, żalu i samotności, które nawiedzały mnie od jego śmierci. Dopiero teraz w pełni uświadomiłam sobie, jak bardzo za nim tęskniłam. A kiedy poczułam jego dłonie, przesuwające się po moich plecach, wiedziałam, że opowiem mu o Nieświecie, o Strózu, o głosowaniu i o jego śmierci. Czy będzie potrafił powiedzieć, dlaczego umarł, jeśli go zapytam? Czy nie moglibyśmy wybiec stąd, wsiąść do samochodu i żyć w tej pętli, zamieszkać w motelu przy autostradzie, gdzie jest złote światło, a na dywanie leżą rozsypane krakersy kupione w automacie?

Jutro moglibyśmy to powtórzyć.

A potem jeszcze raz.

I jeszcze.

Już nie musiałabym żyć z dala od niego. Powiem mu o wszystkim. Kto jak kto, ale on powinien zrozumieć. Wszystko będzie jak kiedyś, zanim zaczęły się jego wahania nastroju, jego wściekłość, jego kłamstwa.

Kiedy się odsunął, nagle dobiegł mnie dziwny dźwięk. Jim miał kompletnie zaskoczoną minę.

– Dziwne.

Podniósł się i podszedł do gitar wiszących na ścianie. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Wszystkie struny się zerwały. Co do jednej. – Wyszczrzył się. – Widzisz, jak na mnie działasz.

Uśmiechnęłam się bez przekonania.

Moja decyzja, by o wszystkim mu powiedzieć, wywołała scenę ucieczki z pogrzebu rodem z gangsterskich filmów oraz opóźniła chwilę, kiedy wziął mnie za rękę i zaprowadził z powrotem do swojej rodziny.

Było tam mnóstwo wujów, kuzynów i kobiet w czarnych futrach z norek i szpilkach cienkich jak wykałaczki, o blond lokach podobnych do cukrowych ozdób na deserach po trzydzieści dolarów. Cały ten czarny kondukt, elegancki jak z żurnala, ruszył Madison Avenue w stronę kaplicy pogrzebowej.

– Poprzednim razem byłam tu na pogrzebie Allegry de Fonso – powiedziała do mnie jakaś kobieta.

Nabożeństwo trwało bardzo długo, kolejne osoby, pociągając nosem, cytowały Dylana Thomasa i Boba Dylana, i *Let It Be* Beatlesów. Kobieta o zaczerwienionych oczach wygłosiła mowę, odchrząkując raz po raz. Dzieciaki podśmiewały się ze starego mężczyzny siedzącego w pierwszym rzędzie, który powiedział trochę za głośno: „Śmierdzi kocimi szczynami”. W końcu wyprowadziła go pielęgniarka. Jim uśmiechnął się i ścisnął moją dłoń. Gapiłam się z zaciekawieniem na zdjęcie przedstawiające zmarłego wuja Carla, zalaminowane i umieszczone na mosiężnych sztalugach obok trumny. Miał plamistą czerwoną skórę i niczego nieświadomy żółty uśmiech. Czy również wylądował w jakimś Nieświecie? A wszyscy wokół mnie byli całkowicie nieświadomi, że sama tkwię w formie istnienia bardzo bliskiej stanowi wuja Carla.

Chciałam powiedzieć Jimowi.

Ale, kiedy nabożeństwo się skończyło, a wszyscy wysypali się na chodnik – gdzie czekały rzędy czarnych cadillaków – i zaczęli składać kondolencje, i wymieniać uwagi na temat Carla, jaki to był z niego chojrak, jak zawsze robił wszystko po swojemu, za każdym razem, kiedy już miałam powiedzieć: – Muszę z tobą porozmawiać, kolejna osoba klepała Jima w ramię, ścisnęła, pytała, jak się miewa i kiedy premiera jego pierwszego musicalu na Broadwayu. Jim odpowiadał uprzejmie, a potem próbował do mnie wrócić, ale za każdym razem ponosił porażkę, bo zaraz podchodził ktoś jeszcze. Kiedy w końcu do mnie dołączył, były z nim dwie dziewczyny, znajome

z podstawówki.

– Beatrice, poznaj Delphine i Lucianę.

Uznałam je wtedy za onieśmielające i nieziemsko atrakcyjne. Teraz nie zrobiły na mnie aż takiego wrażenia, chociaż miały włosy do pasa i odrzucały je do tyłu jak kucyki grzywę, i były nieco zblazowane, co można by opacznie uznać za przejaw wiedzy i doświadczenia. Jim przez cały czas otaczał moje plecy ramieniem, ale po chwili, kiedy nasłuchiwałam się całej serii opowieści o Millicent, Castmanie i Ripperze – nawet nie wiedziałam, czy to ludzie czy może na przykład niedostępne nocne kluby – poczułam się jak wielka sofa w kształcie litery L, którą ktoś wyniósł na chodnik i tak zostawił.

To uczucie trwało, kiedy wsiedliśmy do cadillaca. Była nas spora grupa. Jim musiał zająć miejsce z tyłu obok Luciany, mnie zaś dostała się do towarzystwa starsza kobieta w czerwonej tafci, śmierdząca alkoholem.

– Znów musieliśmy kogoś pożegnać – wybełkotała.

Wysiedliśmy pod domem ciotki Jima na Park Avenue. Jim usadowił mnie na dwuosobowej kanapie, koło porcelanowego mopsa, i wyprawił się z misją znalezienia dla mnie coli. Po czterdziestu pięciu minutach wciąż nie dawał znaku życia, wstałam więc i zaczęłam krążyć wśród gęstego tłumu, oglądać półki z książkami i fotografie, snuć się po korytarzach, tak jakbym wiedziała, dokąd zmierzam. Zajrzałam do kuchni, gdzie pracownicy z firmy cateringowej uwijali się przy garnkach i tacach, i do łazienki dla gości, wyłożonej tapetą wyglądającą jak dwudziestoczworokaratowe złoto. Znów powróciło tamto poczucie opuszczenia, dryfowania w miejscu, do którego nie przynależałam. Marzyłam tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od tych ludzi, wrócić do Watch Hill, zjeść lasagnę z rodzicami, posłuchać, jak tata opowiada o nowym programie z Davidem Attenborough na Netfliksie.

Teraz, pięć lat później, uwięziona w Nieświecie, nie byłam nawet w połowie tak wrażliwa jak wtedy, ale nadal dokuczała mi nieobecność Jima. Dokąd on poszedł? Tłumaczył, że zagadał się z kuzynami, a ja uwierzyłam.

Pytanie nie dawało mi spokoju.

Zagłędałam do kolejnych pomieszczeń, szukałam go w sypialniach przypominających hotelowe pokoje, w gabinetach wyglądających jak biblioteki, w marmurowej galerii pełnej umieszczonych za szkłem starych przedmiotów związanych z lotnictwem. Jima nigdzie nie było. Niepokojące, ale nigdzie nie było również tych dwóch dziewczyn. W którymś momencie – akurat otworzyłam szafę wypchaną japońskimi puzzlami i planszówkami –

Edgar, ojciec Jima, wyszedł z gabinetu i, zapewne litując się nad zagubioną sierotką, przywołał mnie ruchem ręki.

– Jessica – powiedział z ciepłym uśmiechem, odrywając dłoń od czegoś, co przypominało mały czarny pendrive przyczepiony do gumowej bransoletki. Zanim opuścił rękaw, zdążyłam dostrzec serię migających wzdłuż brzegu cyfr.

– Przynieść ci coś do picia?

– Nie, dziękuję, proszę pana.

– Edgar. Poznaj, oto mój współpracownik Craig i jego córka, Greta. Greta właśnie wróciła ze Sri Lanki, przez jakiś czas pracowała na oddziale neurochirurgii szpitala w Kolombo.

Najwyraźniej wpływowy Craig i jego córka neurochirurg nie zamierzali tracić czasu na gadanie do niemej pierwszoklasistki, bo dosłownie po paru sekundach zauważyli kogoś znajomego – Bertrand? To ty? – a ja się zmyłam.

Nie mogłam zadzwonić do Jima. Nie wzięłam torebki, o telefonie nawet nie wspominając. Mogłam poczekać tam, gdzie mnie zostawił. W końcu na pewno wróci. Czy nie?

Minęła kolejna godzina. Z każdą sekundą mój plan, żeby powiedzieć prawdę i uciec z nim, stawał się coraz bardziej nieaktualny. Po tym, jak po raz trzeci potrąciła mnie kobieta z wielgachną torbą ze skóry aligatora, a pani Mason minęła mnie z kartonowym uśmiechem na twarzy, nagle przypomniały mi się słowa, którymi ostrzegęła nas Martha.

Przeszłość więzi jak narkotyk. Przyszłość wstrząsa jak krzesło elektryczne. Przeżywanie na nowo pięknych chwil z przeszłości może okazać się równie niszczące jak odtwarzanie tych strasznych. Uzależniają.

Może sprawił to ból wywołany porzuceniem, dręczące pytanie o jego kłamstwa w sprawie Vidy Joshua, a może odkrycie, że któreś z moich przyjaciół próbowało mnie zniszczyć i celowo ukłuło szpilką, by wysłać mnie do innego momentu w przeszłości, niewątpliwie sądząc, że jestem zbyt zakochana, by kiedykolwiek opuścić Jima, i że zostanę tu uwięziona już na zawsze.

W każdym razie skoczyłam na równe nogi, zaczęłam torować sobie drogę w tłumie. Znalazłszy się w holu, chwyciłam swój bordowy płaszcz, ale niechcący strąciłam na podłogę całą stertę futer z norek. Rzuciłam płaszcz, złapałam największe, najbardziej niewygodne futro, jakie wpadło mi w oko i włożyłam je. Uderzyła mnie chmura perfum. Pomknęłam do windy,

z sercem bijącym jak szalone, nacisnęłam guzik – rozpadł mi się pod palcami. Obróciłam się, pchnęłam drzwi na klatkę schodową i pobiegłam na dół. Żarówki nad moją głową trzaskały, kiedy mijałam kolejne piętra. Wparowałam do recepcji. Portierzy odprowadzili mnie zdumionymi spojrzeniami.

Jak mogłam zapomnieć, gdzie jestem i co mam do zrobienia?

Czyżbym nie chciała żyć?

Wybiegłam z budynku. Wiał silny wiatr, zbyt silny, zielona markiza gwałtownie trzepotała. Stałam tuż przy ulicy, żeby złapać taksówkę, ale w tym momencie usłyszałam piskliwy śmiech jakiejś dziewczyny. Obróciłam się i zobaczyłam Jima.

Siedział na żelaznym ogrodzeniu przed sąsiednim budynkiem. Były tam również Delphine i Luciana. Rozmawiali z portierem, który kogoś naśladował – najprawdopodobniej Marlona Brando w *Ojcu chrzestnym* – i śmiali się do rozpuku, rzeli tak, że nie mogli przestać.

Zamarłam. Myślami przywołałam Jima, żeby spojrzał w moją stronę.

Ale nie spojrzał. Widząc wyszczerz na jego twarzy, nagle coś sobie uświadomiłam. To było jasne jak słońce. On w ogóle o mnie nie pomyślał.

Może nigdy o mnie nie myślał.

Chciałam go zawołać. Chciałam krzyczeć jak mściwa wiedźma z baśni, aż mój głos sprawi, że chmury popędzą po niebie i zetrze uśmiech z tych zadowolonych twarzy:

– Jimie Masonie, za cztery lata będziesz trupem!

Odchylił się beztrąsko, objął Lucianę za szyję i musnął nosem jej ucho. Wielki nóż przekroił moje serce na pół.

Jaka ja byłam głupia, jaka ślepa.

Łzy napłynęły mi do oczu. Obróciłam się na pięcie i wybiegłam na ulicę, o mało nie wpadając pod koła taksówki. Kierowca zahamował w ostatniej chwili, przy wtórze klaksonu.

Wsiadłam.

– Skarbie, wszystko w porządku? Co do... Jezu!

Kierowca zamrugał, z niedowierzaniem wpatrując się w otaczającą wejście zieloną markizę, która oderwała się od chodnika i teraz, pchana silnym wiatrem, toczyła się wzdłuż Piątej Alei, brzęcząc i obijając się o różne przedmioty na swojej drodze. Zderzyła się z przednią szybą limuzyny i przy wtórze okrzyków zgromadzonych gapiów pofrunęła prosto do góry, jak

dziwny latający potwór.

Nie, nic nie jest w porządku.

Martha powiedziała, że w sytuacji awaryjnej spotykamy się w Wincroft.

Zawsze trzeba wrócić do pierwotnej pętli. Musi pozostać naszym miejscem spotkań, dzięki temu istnieje szansa, że zawsze tam dotrzemy, z dowolnego miejsca i czasu. Aby ponownie zmienić pętlę, jeśli tylko możecie, wróćcie na tę nadmorską drogę i powtórzcie całą operację, jasne? Jeśli nie uda wam się dotrzeć do drogi, zostaje samobójstwo.

Wróciłam pociągiem do Newport. Kiedy dotarłam na miejsce, było już po dziesiątej. Wsiadłam do taksówki czekającej na dworcu i poprosiłam kierowcę, żeby zawiózł mnie do Narragansett. Podróż trwała pół godziny, a ja nie miałam pieniędzy, ale stwierdziłam, że w Wincroft na pewno coś wymyślę.

Brama była otwarta. Paliły się lampy. Kiedy wjechaliśmy na podjazd, dostrzegłam, że kierowca zerka na mnie z zaciekawieniem w tylnym lusterku – pewnie zastanawiał się, czy jestem dziedziczką tego majątku. W oknach również się świeciło. Na podjeździe stało osiem lśniących samochodów. Kazałam kierowcy poczekać, wbiegłam po schodach i wcisnęłam dzwonek.

Drzwi się otworzyły i stanęłam twarzą w twarz z E.S.S. Burtem. Nie wydał mi się tak odrażający jak zapamiętałam. Wyglądał jak każdy bogaty facet w pastelowym swetrze. Z wnętrza płynęły głosy, brzęczenie kieliszków. Widocznie zjawiłam się w środku przyjęcia.

– Słucham? – zapytał.

– Szukam Whitley.

– Nie ma jej. Przebywa w szkole z internatem. Darrow-Harker.

– Byłyśmy umówione na kolację.

Zrobił zaskoczoną minę.

– Próbowłaś do niej dzwonić?

– Nie odbiera. – Zaczęłam tłumaczyć, że niestety zabrakło mi pieniędzy na taksówkę, a rachunek wynosi czterdzieści osiem dolarów. Burt zamrugał ze zdumienia, wyciągnął portfel, podszedł do taksówki i zapłacił kierowcy.

– Chyba wrócę do hotelu i później spróbuję jeszcze skontaktować się z Whitley.

Kiwnął głową.

– Mówiłaś, że jak masz na imię?

– Beatrice.

Burt nie bardzo wiedział, co o mnie sądzić – niezdarnej dziewczynie w czarnym futrze z nerek rozmiarów wieloryba. Pomachałam mu i ruszyłam podjazdem. Przez chwilę na mnie patrzył, a potem zniknął w środku, widocznie zbyt zaabsorbowany przyjęciem, by zastanawiać się, jak zamierzam dokądkolwiek się stąd dostać, skoro taksówka odjechała. Skręciłam w stronę garażu, w którym trzymał swój retro samochód, wbiłam czterocyfrowy kod. Na szczęście okazało się, że jest to ten sam kod co pięć lat później. Drzwi podniosły się z jękiem. Podbiegłam do wieszaka na kluczyki, chwyciłam te do rollsa.

Wyjechałam na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Spodziewałam się, że zaraz usłyszę syreny. Ale nie. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Czułam nadchodzącą pętlę. Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam ze zdumieniem, że ta pętla trwała krócej. Zaledwie osiem godzin. Poczułam przytłaczający ciężar w nogach. Wcisnęłam gaz, silnik zaryczał. Jechałam coraz szybciej, pchana myślą, że jeśli nie zdążę, ponownie wyląduję z Jimem w Central Parku. Straciłam czucie w nogach. Kiedy brałam zakręty, samochód zdawał się wyfruwać spode mnie, gałęzie drzew ocierały się o przednią szybę jak wściekłe miotły. Dotarwszy do naszego zakrętu, skręciłam w krzaki, ledwo unikając stłuczki z drzewem. Wytoczyłam się z samochodu na środek drogi. Silny wiatr pchnął mnie wzdłuż żółtej linii.

Przetoczyłam się na plecy, łapiąc oddech. Na granatowym niebie migotały gwiazdy.

Nie miałam pojęcia, czy mój plan się powiedzie. Czy okno nadal było otwarte? Uspokoiliam myśli i zamknęłam oczy. *Dwudziesty dziewiąty sierpnia. Villa Anna Sophia. Wyspa Amorgos. Grecja.* Czekałam, aż nadjedzie samochód, ale na razie słyszałam tylko wycie wiatru, przenikliwe cykanie świerszczy, daleki szum fal, równy jak metronom. Nagle pojawił się nowy dźwięk: świst, stopniowo przybierający na sile. Rower. Nadszedł z nienacką, rowerzysta skręcił gwałtownie, stracił panowanie i wylądował w krzakach na poboczu, przy wtórze szczęku metalu i własnych wrzasków. Wyszedł z tego bez szwanku. Przez chwilę kłął i z trudem łapał oddech. W końcu dźwignął się.

Spojrzał na mnie. Jego twarz była niewidoczna w ciemności.

– Co do kurwy? – szepnął ze zdumieniem. Na chwilę oświetliły go reflektory nadjeżdżającego samochodu, jak flesz aparatu.

Jak oparzony uskoczył na pobocze, a w moim świecie zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy otworzyłam oczy, leżałam na brzuchu, na drewnianych deskach. W pole mojego widzenia wdarły się mignięcia jaskrawego błękitu. To był ocean. Uniosłam głowę, zamrugałam. Miałam na sobie spodenki z obciętych džinsów i spłowieły T-shirt z logo Wrony Kapitana. Byłam boso. Leżałam na kei. Obróciłam głowę i zobaczyłam białe drewniane schody wspinające się zygzakiem wzdłuż gołej skały, na wysokość co najmniej trzydziestu metrów.

Villa Anna Sophia. Udało się.

Z radości zakręciło mi się w głowie. Zerwałam się na równe nogi, ale byłam tak zamroczona, że zatoczyłam się i poczułam mdłości. Mało brakowało, a wpadłabym do wody. Wzięłam głęboki wdech i wreszcie odzyskałam równowagę.

Ruszyłam schodami w górę. Przy każdym kroku spod desek sypały się kamyki i odłamki skały, odbijały się i spadały do oceanu. Szłam dalej. Nie patrzyłam w dół. W końcu dotarłam na górę, zdyszana. Spojrzałam na dom – niesamowity architektoniczny cud ze szkła i stali, stał tam, milczący, chyba opuszczony. Przebiegłam obok basenu, po którym leniwie dryfował dmuchany łabędź. Spróbowałam otworzyć jedno ze szklanych drzwi. Okazały się zamknięte. Okna zasłaniały rolety. Już zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie pomyliłam daty, ale w tym momencie krzyknęła jakaś kobieta. Zdjęta lękiem, pobiegłam kamienną ścieżką, wzdłuż drzew oliwnych, do frontu. Kipling stał przed potężnymi podwójnymi drzwiami dębowymi. Chyba robił za czujkę.

Poczułam taką ulgę, że zarzuciłam mu ramiona na szyję.

– Co za szczęście – wyszeptałam.

– Co... yy... jak tego dokonałaś, dziecko? Martha stwierdziła, że cię straciliśmy, być może na zawsze.

Odsunęłam się. Nie zamierzałam opowiadać o tym, co mi się przydarzyło. Jeszcze nie teraz. Spojrzałam na Kiplinga. Ta myśl bolała, ale wiedziałam, że równie dobrze to on mógł mnie ukłuć szpilką od Jima. Ale na jego twarzy malowała się autentyczna ulga.

– Popęłniłam błąd – odparłam. – Gdzie wszyscy?

– W środku. – Skrzywił się. – Związaliśmy całą rodzinę i teraz próbujemy zmusić ich do mówienia. Ale nie idzie nam najlepiej. – Wzruszył ramionami, wyraźnie zdenerwowany. – Najpierw próbowaliśmy po dobroci. Zapukaliśmy, rzuciliśmy od niechcienia, że akurat bawimy w pobliżu na wakacjach, że jesteśmy znajomymi Jima i badamy sprawę jego śmierci i tak dalej. Ale ci Masonowie to podstępne zmije. Podali nam ośmiornicę z grilla i sorbet bazyliowy, zaproponowali kąpiel w basenie. Nim się zorientowaliśmy, minęły cztery godziny. A my zdążyliśmy schlać się ouzo i nie przeprowadziliśmy ani jednej porządnej rozmowy na temat Jima. Whitley się wkurzyła. Od kilku pętli totalnie jej odbiło. No wiesz, Whitley w wersji deluxe, wrzaski, walenie w ściany, rozbijanie zastawy stołowej. – Westchnął. – Edgar Mason wprawdzie zatrudnia całodobową ochronę, ale o północy się zmieniają i są dość ospali, wtedy szturmujemy. Dwóch związanych strażników siedzi na końcu podjazdu.

Zmarszczyłam brwi.

– To ile pętli minęło?

– Pięć. Każda z nich trwała około pięciu godzin. A ty ile miałaś?

– Jedną.

To pewnie miała na myśli Martha, mówiąc o niestabilności, pociągach pędzących w różnych kierunkach i z różną prędkością, ryzyku, że nigdy więcej nie spotkamy się w tym samym miejscu i czasie, by oddać głosy.

Ale to nie był odpowiedni moment, żeby się tym zamartwiać. Jeszcze nie. Kipling otworzył drzwi i machnął ręką, żebym za nim weszła.

Masonowie i czwórka ich dzieci siedzieli na sofach związani, oczy mieli czerwone od płaczu. Patrzyli na Whitley w niemym przerażeniu. Wyglądała jak partyzant z Ameryki Południowej: bandana obwiązana wokół głowy, T-shirt zawiązany na supeł w talii, w oczach błysk szaleństwa. Mierzyła z pistoletu do pana Masona. Miał z jednej strony spuchniętą twarz. Widok rodziny Jima w tym stanie był dla mnie szokujący – podczas poprzedniej pętli widziałam ich przecież eleganckich i rześkich jak świeża kompozycja florystyczna, dryfujących wśród tłumu i cmoktających w powietrzu policzki gości zgromadzonych na pogrzebie wuja Carla.

Whitley na mój widok zrobiła wielkie oczy.

– Beatrice – podbiegła do mnie. – Gdzieś ty była?

Opowiedziałam jej skróconą wersję wydarzeń: jak przypadkowo wylądowałam w innym momencie w czasie, ale zdołałam dotrzeć do

nadmorskiej drogi, by zmienić pętlę.

– A więc nic ci się nie stało?

Kiwnęłam głową.

– Gdzie Martha?

– Próbuje zalogować się do komputera Edgara. Na razie bez powodzenia.

– A Cannon?

– Nie ma go.

Popatrzyłam na nią.

– Co?

Pokręciła głową.

– Nie zjawił się. Nie mamy pojęcia, gdzie on może być. Był tu i nagle...

Ani śladu.

Przypomniałam sobie, że widziałam, jak ktoś ucieka do lasu.

– Halo? O mój Boże. To ty?

Pani Mason wyciągnęła szyję, by lepiej mi się przyjrzeć. Jeszcze nigdy nie widziałam jej w tak żalonym stanie. Była niemal nie do poznania. Twarz miała czerwoną, a blond włosy, zawsze takie nieskazitelne, marniały jak roślina, którą ktoś postawił za blisko kaloryfera.

– Kto? Z kim ty rozmawiasz? – zapytał jej mąż.

– To ta dziewczuszka, z którą Jim chodził w liceum. No wiesz. Ona. – Rzuciła mi mordercze spojrzenie. – Jesteś w to zamieszana? Natychmiast nas wypuść. Nie mamy żadnych informacji na temat Jimmy'ego.

Wyrwałam Whitley pistolet i wycelowałam w panią Mason. Zrobiła minę karpia.

– Gadaj, co wiesz o jego śmierci – rozkazałam.

Zerknęła na męża, przerażona, potem znowu na mnie. Zaczęła szlochać. Dziwnie to brzmiało, jak powietrze uchodzące przez minidziurkę z piłki plażowej.

– Zostaw ją! – wrzasnął Edgar. – Gloria nie ma z tym nic wspólnego, ty mała podróbo artystki!

Teraz wymierzyłam w niego.

– Jak umarł Jim?

– Mówiłem już nie wiem ile razy – odparł, plując śliną. – My nic nie wiemy.

– Niemożliwe.

– Policja powiedziała, że popełnił samobójstwo.

– Jim na pewno by się nie zabił. Dobrze o tym wiesz.

– Nie. Nie wiem. – Pan Mason wbił wzrok w podłogę. Chyba płakał.

I wtedy sobie przypomniałam.

Podeszłam do niego i spojrzałam na nadgarstki spętane plastikowymi klamerkami. Szarpnęłam za mankiet koszuli. Wiedział, czego szukam, bo próbował cofnąć rękę.

– Nie! Nie waż się...

Czarna gumowa bransoletka nadal tkwiła na jego nadgarstku, pięć lat później, chociaż chyba w wersji jeszcze bardziej zaawansowanej technicznie, migały na niej elektroniczne litery i cyfry oddzielone przecinkami. Nie mogłam jej zdjąć, więc poszłam do kuchni po nóż.

– Nie waż się! Nawet o tym nie myśl!

Przeciąłam bransoletkę.

– Aha. Brawo. Pożegnaj się ze swoją świetlaną przyszłością, panienko, bo resztę życia spędzisz w dziurze tak ohydnej, że będziesz błagała, by przenieśli cię do normalnego więzienia.

– Gdybym tylko miała tyle szczęścia – odparłam.

Spojrzałam na Whitley, która gapiła się na mnie, wyraźnie zaszokowana.

– A w ciebie co wstąpiło? – wyszeptała.

– Będę w gabinecie pana Masona – rzuciłam i pognałam na górę po kręconych schodach.

—

Martha na mój widok zrobiła bezgranicznie zdumioną minę.

– O rany. Co się stało?

– Długo by opowiadać. Ale nic mi nie jest.

Wbiegłam do wnętrza szklanej wieży, przysunęłam sobie krzesło i usiadłam obok Marthy za wielkim biurkiem. Nie mogła przestać się na mnie gapić. Oczywiście zastanawiałam się, czy to ona mnie ukłuła. Nie miałam jednak jak tego sprawdzić. Jeszcze nie.

– Próbuję zalogować się do laptopa Edgara – powiedziała, wskazując na monitor. – Ale to niemożliwe. Wyświetla się komunikat, trzeba wpisać jakieś potrójnie szyfrowane hasło.

Spojrzałam na migający ciąg cyfr, symboli i liter na bransoletce. Zmieniały się co piętnaście sekund. Wpisałam je w trzy okienka.

Komputer odblokował się.

– Żartujesz? – wyszeptała Martha z podziwem. – Tak po prostu? Jak...?

– Później ci opowiem.

Najpierw kawałkiem taśmy zakleiłam kamerkę. Nie wiedziałam, co się wydarzy, kiedy wyjdzie na jaw, że włamałyśmy się do komputera Edgara, wiedziałam jednak na pewno, że trzeba działać szybko. Edgar Mason miał pocztę ze spersonalizowanym interfejsem, o nazwie Torchlight Command. Kiedy otworzyłam program, w prawym górnym rogu ekranu ukazał się wyłącznik czasowy.

Przed wszystkim zaczęłam szukać maili od Jima.

Ale nie znalazłam ani jednego. Było tam całe mnóstwo wiadomości z imionami jego braci i siostr, ale ani jednej od czy do niego.

– Ojciec wykasował go z poczty – wyszeptała Martha. – Dlaczego?

– Może Jim napisał coś drażliwego.

Wzruszyła ramionami.

Na twardym dysku znajdowało się ponad dwa tysiące folderów umieszczonych w chmurze pod nazwą Torchlight Library. Wpisałam *Jim Mason*. Nic się nie pokazało. Znalazłyśmy za to prawdziwy skarb: wykazy transakcji, listy szemranych spółek aukcyjnych o nazwach w rodzaju Redshore Capital America czy Grandview Fund, z adresami na Kajmanach i w Panamie. Były tam pokwitowania za przekazy z banku w Turcji do banku w Szwajcarii, niektóre na sumy takiej wielkości, że wyglądały, jakby ktoś przez pomyłkę wpisał za dużo zer. Nawet jeśli któraś z tych transakcji była nielegalna bądź w jakiś sposób powiązana ze śmiercią Jima, prawda leżała pogrzebana pod warstwami nazwisk, liczb i symboli, a dokopanie się do niej wymagałoby sporo wysiłku.

– Może Edgar dopuścił się defraudacji – rzuciła Martha. – Wykorzystywania pracowników. Nieletnich. Może Jim to odkrył i się pokłócili.

– Gdyby Jim odkrył coś takiego, na pewno byłby zdruzgotany, owszem, ale nie zabiłby się z takiego powodu.

Wzruszyła ramionami.

– A może Edgar wynajął kogoś, żeby go zabił?

Wlepiłam w nią wzrok.

– Własnego syna?

– Jeśli przeraził się, że straci całe imperium? Czemu nie?

Nagle wyprostowała się i ściągnęła brwi, wskazując na szklane ściany. Stwierdziłam z przerażeniem, że wszystkie popękały. Wszędzie dokoła na powierzchni szyb rozchodziły się cienkie pajęczyny, coraz dalej i dalej.

– Niestabilność Nieświata – wyszeptła Martha.

Kiwnęłam głową i jeszcze raz zajrzałam do skrzynki odbiorczej. Nie chciałam, żeby się zastanawiała, co oznacza to zniszczenie – jeśli to ja byłam jego przyczyną. Pochyliłam się i zmrużyłam oczy.

– Większość maili jest od kobiety o imieniu Janet – powiedziałam. – To jego asystentka. Mają taki system, że czyta jego pocztę i wysyła mu podsumowanie.

– „Dzwonił Chris Endleberg, rektor Princeton – przeczytała Martha. – Docenia sposób, w jaki załatwiłeś sprawę S.O. Złagodzą zasady”. Hm. Okej. Co jeszcze?

Przejrzałyśmy pocztę z kilku tygodni poprzedzających śmierć Jima.

Nie znalazłyśmy nic niezwykłego. Jeden z członków zarządu sprawiał problemy. *Patrick musi odejść*. Agent nieruchomości chciał pokazać Edgarowi pozarynkową ofertę w Bedford, wartą czterdzieści osiem milionów. *Obłędne miejsce, stary*. Ktoś prowadzący bar z fastfoodem żądał kolejnej pożyczki. *Rozumiem Pana obawy, ale czas rozszerzyć ofertę o mrożone gotowe dania z kurczaka, noszące nazwy kojarzące się z miłością*. Po śmierci Jima przez kilka dni przychodziły maile dotyczące organizacji pogrzebu, zamówionych kwiatów, chóru chłopięcego, listy gości i planowanych przemówień. Brzmiały uderzająco chłodno. Śmierć Jima była kolejną sprawą do załatwienia w skrzynce odbiorczej jego ojca. Moje imię ginęło pośród trzystu innych.

– Nie rozumiem – szepnęła Martha przy jednym z maili, ściągając brwi.

– Czego?

– „Do twojej wiadomości: S.O. chce zmienić akademik”. – Spojrzała na mnie. – To od Janet. „Chce, żebyś zadzwonił do dziekana Princeton i załatwił sprawę, bo studenci pierwszego roku nie mają takiej możliwości”. Dziwne.

– Co jest dziwne?

– Kolejny mail z Princeton. Kto z rodziny Masonów tam studiuje?

Dobre pytanie. Jim był najstarszy z rodzeństwa. Reszta chodziła do podstawówki.

– Kto to jest S.O.? – zapytałam.

Poszukałyśmy inicjałów. Pokazał się jeszcze jeden mail. W chwili, kiedy

go otworzyłam, szklana ściana naprzeciwko nas nagle się rozpadła, miliony odłamków poleciało na dach. Silny podmuch wpadł do pokoju, szarpnął firankami i zmiotł papiery z biurka.

– Mamy mało czasu – powiedziałam. – System zaraz nas wyrzuci.

Martha kiwnęła głową, zagryzła wargi i jeszcze raz spojrzała na monitor.

S.O. chce jutro podczas lunchu przedstawić propozycję biznesową. Zamówił stół na trzynastą w Jean-Georges.

– Wpisz „Princeton” – poleciła.

Pokazał się kolejny mail.

Chris Endleberg z Princeton pragnie osobiście podziękować za dotację. Zaprosił na obiad 24 lutego. Odmówiłam, bo będziesz wtedy w Buenos Aires.

– S.O. to może być kuzyn – podsunęłam. – Może Edgar płaci za jego studia?

– A może S.O. to pies-przewodnik w żółtej kamizelce, którego Edgar zabiera w podróże samolotem, pociągiem czy samochodem.

To chyba był przejaw typowego dla Marthy poczucia humoru, chociaż w jej wypadku trudno było cokolwiek stwierdzić na pewno.

– Albo wymyślony przyjaciel z dzieciństwa – dodałam.

– Albo jego szósta osobowość, bo od lat cierpi na schizofrenię, ukrywając chorobę przed światem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, ale radość, jak było do przewidzenia, skończyła się w momencie, kiedy dotarło do nas, co właściwie się dzieje: przez chwilę nie czułyśmy się spięte w swoim towarzystwie.

Nagle runęły trzy kolejne szklane ściany, do środka wpadł silny podmuch, papiery zaczęły fruwać dokoła.

W tym momencie do gabinetu zajrzała Whitley.

– Pętla skończy się za trzy minuty... – Ściągnęła brwi. – Co wy... co tu się dzieje?

Martha zerwała się na równe nogi.

– To Nieświat tak działa. Wynośmy się stąd. Już.

Pospiesznie przedstawiła plan. Mieliśmy wrócić do Wincroft i poszukać Cannona. Wszyscy zgadzali się, że Masonów nie da się złamać. Lepiej, żebyśmy wrócili całą piątką, niż dalej próbowali ich przesłuchiwać. Nie dowiedzieliśmy się nic nowego na temat śmierci Jima.

– Wykorzystajcie klif – rzuciła zdawkowo Martha, wychodząc.

Ja zostałam, przeszukiwałam dalej laptop Edgara, a wiatr hulał wokół

mnie, papiery wirowały, szklane ściany rozpadały się. Minutę później z głośników dobiegł sygnał. Komputer wyrzucił mnie z systemu, ekran poczerniał. Zerwałam się i pobiegłam. W pewnym momencie dostrzegłam Marthę, Kiplinga i Whitley. Właśnie mijali basen, pędzili w stronę klifu.

Wykorzystajcie klif.

Patrzyłam ze zdumieniem, jak stają obok siebie na samym skraju.

Wzięli się za ręce. I skoczyli.

—

Wróciłam na dół. Masonowie mieli przerażone miny.

Widzieli to samo, co ja. Pewnie uznali nas za kompletnych szaleńców.

Przesłuchiwałam ich jeszcze przez godzinę. Komórka pana Masona nieustannie dzwoniła. Stacjonarny też. Gdzieś na górze zawyła drukarka. Bez wątpienia Torchlight Security próbował ostrzec o zagrożeniu. Mierząc do pana Masona z pistoletu, zażądałam, by powiedział, o co pokłócili się z Jimem tuż przed jego śmiercią.

– O czym ty mówisz? – jęknął. – Nie pokłóciliśmy się. Nigdy się nie kłóciliśmy.

– Kto to jest S.O.?

– S.O.? – Miał zdezorientowaną minę.

– Student pierwszego roku w Princeton.

Skrzywił się.

– Syn kolegi. A co on ma wspólnego... Jesteś poważnie zaburzona, młoda damo. Jeśli masz choć odrobinę rozumu, rozwiąż nas, wracaj do swojego beznadziejnego życia i licz... nie, módl się, żeby moja armia prawników nie chciała rozsmarować cię na krakersie i podać w ramach przystawki.

Próbowałam jeszcze kilka razy zastawiać na niego słowne pułapki, powiedziałam, że Jim zwierzył mi się, że odkrył małwersacje. Obserwowałam go uważnie, szukając oznak niepewności czy lęku. Niestety, moje próby wywołały jedynie zdezorientowane spojrzenia i oburzone komentarze. Zawsze mieli mnie za dobrą dziewczynę. Mój udział w całym tym koszmarnym przedsięwzięciu wydał mi się tym bardziej rozczarowujący.

– Nie musicie udawać – powiedziałam. – Nigdy mnie nie lubiliście. A moje imię, w razie gdyby ktoś się zastanawiał, nie brzmi Jessica ani Antonella, ani Barbara, ani Blair. Nazywam się Beatrice Hartley.

Strzeliłam w sufit. Natychmiast rozbiegły się po nim miniaturowe pęknięcia, szybko dotarły we wszystkie kąty i zaczęły rozszerzać się na ściany.

– Dostaniesz pieniądze, wymień sumę – załkała pani Mason, z niepokojem spoglądając w górę.

I wtedy poczułam, że nadchodzi pętla. Odłożyłam pistolet i wyszłam bez słowa. Masonowie odprowadzili mnie wzrokiem, niepewni i przerażeni. Kiedy mijałam basen, dwa wozy policyjne właśnie wspinały się w górę stromego podjazdu. Jeden z policjantów wysiadł i zaczął krzyczeć coś po grecku.

Pobiegłam na skraj klifu.

Kiedy tam stanęłam, kamienie i piach zaczęły sypać się spod moich stóp, jakbym ważyła tyle, co budynek, jakbym ważyła z dziesięć milionów ton. Od powierzchni skały odrywały się wielkie głązy. W ostatniej chwili, kiedy ziemia usunęła mi się spod stóp, skoczyłam w powietrze z głośnym okrzykiem. Opadałam w szybkim tempie, głową w dół. Wyszło mi powietrze z płuc. Błękitne niebo wirowało. Zacisnęłam powieki, próbowałam uspokoić myśli, skupić się na Wincroft, na dniu, w którym tam się zjawiliśmy – ale jednocześnie w moim umyśle pojawiło się coś jeszcze.

Skojarzenie. Ledwo je pamiętałam. Jak swędzący punkt w głębi czaszki.

Już to kiedyś widziałam. Dwa razy.

Próbowałam zignorować to wrażenie. Ostre trawy, krzaki, cyprisy mijały mnie w zawrotnym tempie. Z krzykiem otworzyłam oczy, spojrzałam na klif za zasłoną z pyłu. Nagle dom się rozpadł, rycząca masa rozbitego szkła, stali i kamienia runęła razem ze mną do morza.

Wiedziałałam, że jest za późno.

ROZDZIAŁ 21

– Skarbie? Nic ci się nie stało?

Ktoś potrząsał mnie za ramię.

Otworzyłam oczy. Poderwałam głowę z krzykiem.

Patrzyła na mnie potężna ruda kobieta z ciężkim makijażem, wyraźnie przerażona. Na głowie miała różowy daszek ozdobiony rysunkiem kurczaka z sercem na piersi.

– Przykro mi, skarbie, ale nie możesz tu spać. Mam do kogoś zadzwonić?

Rozejrzałam się. Siedziałam w drewnianym boksie, w zatłoczonym barze. Wszyscy jedli smażone kurczaki i frytki i pili mleczne shake'i. Na ścianach, wyklejonych tapetą w serduszka, wisiały fotografie par całujących się bądź trzymających za ręce. Zamrugalam i wbiłam spojrzenie w papierową podkładkę na stojącej przede mną tacy.

Kurczaki Alonsa. Smażone z Miłością. Jeden kęs i się zakochasz.

– Gdzie... gdzie ja jestem? – wydusiłam.

– W Newport. Mogę zadzwonić do twojej mamy, skarbie. Albo może do przytułku?

Pokręciłam głową i wstałam. Mgliście zarejestrowałam, że mam na sobie mój stary szkolny mundur: białą bluzkę, zieloną spódnicę w szkocką kratę, czarne podkolanówki i zniszczone botki firmy Steve Madden, które służyły mi przez całe cztery lata liceum.

– Mówię poważnie. Mogę do kogoś zadzwonić.

Przycisnęłam dłoń do pulsującej bólem głowy i chwiejnym krokiem ruszyłam do wyjścia.

Co się stało? Dlaczego nie trafiłam do Wincroft? Nagle przypomniałam sobie, że kiedy spadałam, do mojego umysłu zakradła się pewna myśl.

Słowa Vidy. O tym, jak podwoziła Jima.

To była jakaś zapuszczona część miasta. Sklepy z rzeczami po dolarze. Sklep zoologiczny. Parking, na którym facet w kostiumie kurczaka rozdawał balony w kształcie serca.

– Po co Jim tam pojechał? – spytała ją Martha.

Może chciał zjeść smażonego kurczaka i kupić sobie iguanę? Nie mam,

kurwa, pojęcia.

Smażone kurczaki i serduszka widniały również na kuponie zniżkowym w pustym poza tym pudle z dowodami.

Rabat 5\$ na wiaderko Kurczaków Smażonych z Miłością. Specjalny zestaw Ich Dwoje!

A potem jeszcze w mailu do Edgara Masona. Właściciel baru prosił o kolejną pożyczkę. *Rozumiem Pana obawy, ale czas rozszerzyć ofertę o mrożone gotowe dania z kurczaka noszące nazwy kojarzące się z miłością.*

Minęłam kasę. Mój wzrok padł na laminowane ogłoszenie leżące na ladzie.

NOWOŚĆ! obiady z Organicznego Kurczaka, już dostępne w dziale z mrożonkami w Twoim najbliższym supermarkecie. Wypróbuj nasz oryginalny smak! Romans z Mesquite.

– Co dla pani? – zapytał nastolatek przy kasie. Posłałam mu uśmiech, pchnęłam drzwi, wyszłam i oparłam się o automat z gazetami. Po chwili uświadomiłam sobie, że patrzę na kogoś w kostiumie żółtego kurczaka, rozdającego balony przechodniom. Centrum handlowe zgadzało się z opisem Vidy. Po parkingu kręciło się kilka osób.

Pochyliłam się i sprawdziłam datę na gazecie.

Piątek czternastego maja. W zeszłym roku.

Udało się. W końcu doskonale pamiętałam tamten wieczór, kiedy Jim odjechał w samochodzie Vidy. Jakby to było wczoraj.

– Przepraszam, która godzina? – zapytałam starszego mężczyznę pchającego wózek pełen toreb z zakupami.

Spojrzał na zegarek.

– Dwunasta czterdzieści dziewięć.

Vida mówiła, że wyrzuciła Jima pod centrum około ósmej czy dziewiątej, co znaczyło, że przede mną prawie osiem godzin. Miałam nadzieję, że pętla nie skończy się wcześniej. O ile Jim w ogóle się zjawi. Rzykowałam. Ale nie trafiłam najgorzej. Ten, kto skonfiskował akta dotyczące śmierci Jima, najwyraźniej nie zwrócił uwagi na kupon. A jeśli to był dowód rzeczowy? A jeśli trafił do pudła, ponieważ śledczy sprawdzali wszystkie ruchy Jima w ciągu ostatnich dni życia i odkryli, że był w tym miejscu, w tym barze?

Głowa nadal mnie bolała. Minęłam kryty pasaż, sklep z alkoholami, sklep z rzeczami po dolarze, sklep zoologiczny o nazwie Najlepszy Przyjaciel Człowieka. Stwierdziłam, że muszę się przebrać. Bar był mały, Jim od razu

by mnie zauważył. Ale nie miałam pieniędzy. Obserwowałam przechodzących ludzi, mężczyzn w spłowiałych T-shirtach, gnających do monopolowego, kobiety ciągnące za sobą dzieciaki, starszuskę pchającą wózek z zakupami, pochyloną pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. W pewnym momencie z papierniczego wyszła uśmiechnięta kobieta ze szpicem na smyczy. Podeszłam do niej i zagaiłam:

– Przepraszam panią, mam nadzieję, że mogłaby mi pani pomóc. Potrzebuję ubranie na zmianę...

Z wyrazem grozy na twarzy pospiesznie szarpnęła smyczą i wsiadła do samochodu.

Wchodziłam do wszystkich sklepów po kolei, bezczelnie popychałam obrotowe drzwi z napisem *tylko dla personelu*, myszkowałam po magazynach i kanciapach, i przy rampach wyładunkowych, zaglądałam do szafek, szukając czegoś do ubrania. W zoologicznym udało mi się zwinąć bojówki, z szafy kierownika supermarketu bluzę z kapturem. Zapytałam starszego mężczyznę wyjmującego z zamrażarki pudełko lodów, czy mógłby mi oddać swoją czapkę baseballową. Musiałam mieć w twarzy coś desperackiego, dziwnego bądź całkiem niezwykłego, bo wręczył mi ją bez słowa i prędko się zmył.

Pobiegłam do chińskiej restauracji, Fu Mao Noodle, przebrałam się w łazience i wyszłam, łapiąc przy kasie garść ciasteczek z wróżbą. Zjadłam je na ławce przed sklepem zoologicznym, z widokiem na parking. Pierś ścisnął mi paniczny strach. *Drobne szanse to początek wielkich projektów. Jesteś architektem własnej przyszłości. Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku.* Musiałam zmieniać ławki trzy razy, bo po pewnym czasie drewno zaczęło trzeszczeć i pękać, a jedna nawet zapadła się pośrodku.

Ogarniały mnie coraz większe wątpliwości, czy słusznie robię, śledząc Jima, czy on w ogóle się pojawi. Może umówił się z inną dziewczyną? Co to za sprawa tak go absorbowała i dlaczego nie mógł mi o tym powiedzieć? *Czego tak się bał?*

Pięć po ósmej na parking zajechał zniszczony czerwony nissan z kartką NA SPRZEDAŻ na tylnej szybie. Zatrzymał się przed barem z kurczakami, otworzyły się drzwi po stronie pasażera i ze środka wysiadł Jim. Czarny T-shirt. Dzinsy.

Wszedł do środka. Widziałam Vidę siedzącą za kierownicą. Odczekała chwilę, jakby chciała się upewnić, że nie wróci i odjechała – dokładnie tak

jak mówiła.

Odczekałam minutę, po czym pognałam wzdłuż krytego pasażu, starając się nie widzieć czarnej pleśni na słupach.

Zajrzałam do środka przez szklane drzwi. Jim stał przy ladzie, plecami w moją stronę.

Prędko wśliznęłam się do baru i usiadłam przy pustym stoliku pod oknem.

– Niech pani zadzwoni jeszcze raz – usłyszałam gniewny głos Jima.

Kobieta, z którą rozmawiał – ta, która mnie obudziła – zrobiła zaskoczoną minę.

– Właśnie dzwoniłam. Powiedział, że zaraz...

– Proszę zadzwonić.

Przestraszona, chwyciła telefon i wybrała numer.

– Mówi, że zaraz przyjdzie.

Po chwili z zaplecza wyszedł mężczyzna w latynoskim typie. Był drobny, wyglądał na jakieś czterdzieści kilka lat, miał sympatyczną twarz i grube wąsy.

– Jim. Dawno cię nie widziałem. Co słychać?

– Musimy pogadać.

– Za chwilę mam telekonferencję. Może wpadniesz po zamknięciu?

– Teraz porozmawiamy.

Mężczyzna, wyraźnie zaniepokojony, dał Jimowi znak, by poszedł za nim. Zniknęli za drzwiami na zaplecze. Odczekałam minutę i ruszyłam za nimi. Przystanąłam, a kiedy trzasnęły kolejne drzwi, wskoczyłam do środka. Przede mną znajdowała się kuchnia, a dalej chyba biuro. Drzwi były zamknięte, ale wyglądały na cienkie. Podbiegłam do nich. Na szczęście wszystko było wyraźnie słychać.

– PYTAM JESZCZE RAZ. KTO TO JEST ESTELLA ORNATO?

– O czym ty mówisz?

– ESTELLA ORNATO!

– To... hm... to moja córka.

– I?

– I?

– Miała cztery lata. Zmarła w zeszłym roku. Odświeżyłem ci pamięć?

– Jim, proszę, nie tutaj...

– ZOSTAW TEN TELEFON ALBO...

– Jim...

– CZY KTOŚ WRESZCIE MOŻE POWIEDZIEĆ MI PRAWDĘ?
– Skąd o tym wiesz?
– Twój brat napisał do mnie list. ESTELLA NIE ZGINEŁA
W WYPADKU SAMOCHODOWYM...
– Jim. Jim. Wysłuchaj mnie...
Głosy przycichły. Nagle coś walnęło w drzwi.
– POWIEDZ PRAWDĘ ALBO PRZYSIĘGAM...
– Przepraszam, ale nie wolno ci tu wchodzić – usłyszałam głos jakiejś
kobiety. Odwróciłam się. Stała wsparta pod boki, z oburzoną miną.
– Mam przeprowadzić wywiad z kierownikiem – wypaliłam.
Rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie. Wystarczył kolejny ogłuszający huk za
drzwiami biura, by szybko o mnie zapomniała i pospieszyła do kuchni, gdzie,
robiąc wielkie oczy, zdała raport nastolatkowi stojącemu przy kasie.
– MÓJ OJCIEC ZA TO ZAPŁACIŁ? I ZA TO? ZA TO TEŻ?
Rozległ się przenikliwy okrzyk, potem jęk bólu. Pchnęłam drzwi. Jim
właśnie rzucił w pana Ornato, skulonego na podłodze w pozycji
embrionalnej, workiem pełnym kijów do golfa. Potem zaczął kopać go
w brzuch.
– Jim – powiedziałam.
Odwrócił się, zdumiony. W tym momencie do biura wpadła ruda.
– O mój Boże, panie Ornato. Co się dzieje? Dzwonię na policję.
– Nie, nie, wszystko w porządku. – Z trudem łapiąc oddech, podniósł się
do pozycji siedzącej. Twarz miał spoconą, włosy sterczały mu na wszystkie
strony. – Nie ma takiej potrzeby. To zwykłe nieporozumienie. Wracajmy do
pracy.
Jim otarł twarz przedramieniem, powiódł wzrokiem po zdemolowanym
pomieszczeniu.
A potem zaczął płakać. Podeszłam i objęłam go.
– Wynośmy się stąd – szepnęłam mu do ucha.

—

Usiedliśmy na krawężniku przed Fu Mao Noodle. Patrzyliśmy na
samochody przemykające w zanikającym świetle, na niebo zmieniające
barwę na granatowo-czarną, na światła zmieniające się z czerwonego na
zielone i na żółte. Widzieliśmy małe czarne ptaszki, jak siadają na drutach,

a potem odlatują, słuchaliśmy terkotu wózków z supermarketu. Obserwowaliśmy całe to zwykłe, codzienne życie – automaty wypluwające butelki z napojami, pracowników wychodzących na papierosa, cofające się samochody.

A Jim opowiadał.

To był wstrząs. Ale nagle wszystko ułożyło się w logiczną całość – obsesja jego ojca na punkcie bezpieczeństwa, roztargnienie i humory Jima, jego milczenie, decyzja, by nie mówić nikomu, nawet mnie. Czy gdyby powiedział mi wcześniej, coś by się zmieniło? Czy nadal by żył?

Chodziło o wypadek łodzią. Jim wypłynął z kumplem łodzią wyścigową na Zatokę Mecox. Zderzyli się z łodzią rybacką. Kiedy Jim odzyskał przytomność w szpitalu, usłyszał wersję historii od rodziny i policji – popartą artykułami w *East Hampton Star*. Prócz niego nikt nie ucierpiał.

Tym rybakiem był nie kto inny jak Alonso Ornato, właściciel Kurczaków Smażonych z Miłością. A prawda wyglądała tak, że w łodzi z Alonsem siedziała jego czteroletnia córka, Estella. Zginęła podczas zderzenia.

Jim powinien odpowiedzieć za nieumyślne spowodowanie śmierci – co w przypadku osoby nieletniej z tak ustawionym ojcem oznaczałoby kilkumiesięczny, może nawet kilkutygodniowy, pobyt w poprawczaku i zwolnienie warunkowe.

Ale Masonom nie odpowiadało nawet takie rozwiązanie.

Uznali, że ten wypadek w ogóle nie powinien się wydarzyć. Postanowili wymazać go z historii, przemeblować przeszłość. Zawarli umowę z Alonsem Ornato. Obiecali sprawować dożywotnią opiekę nad nim i jego rodziną – miesięczne wypłaty, nowe domy i samochody, najlepsze uczelnie dla pozostałych dzieci, nieograniczone pożyczki na prowadzenie firmy – w zamian za wymazanie Estelli z tamtego miejsca i czasu. Miała zginąć w wypadku samochodowym.

Państwo Masonowie zorganizowali wszystko z pomocą agencji Torchlight. Samochód Alfonsa wjechał w drzewo i został zniszczony tak umiejętnie, żeby policja nie zadawała zbędnych pytań.

– Wytarli do czysta blaty kuchenne – mówił Jim. – Usunęli wszelkie ślady gnicia. Zakamuflowali smrody dochodzące z piwnicy. Wszystko dla mnie. Żeby przypadkiem nie cierpiał z powodu wstydu, wyrzutów sumienia. Żeby nic mnie nie bolało. Mogłem dalej prowadzić życie beztroskie jak dietetyczny napój. Kroczyć bez przeszkód ku świetlanej przyszłości. – Wbił

wzrok w chodnik. – Nie rozumieją, że mnie zniszczyli.

Dotknęłam jego ramienia.

– To nieprawda. Jeszcze możesz coś z tym zrobić.

Ale kłamczucha – szepnął głos w mojej głowie. – *Co może zrobić? Przecież nie żyje.*

– Niby co, Bee? Nie mogę przestać o tym myśleć. Dlatego jestem chory, dlatego już nie mogę napisać nawet jednej porządnej nuty. Nigdy nie wezmę instrumentu do ręki. Bo jestem zatruty. – Przerazającym gestem zaczął walić się z boku po głowie. Chwyciłam jego dłoń. – Oni mnie zabili, nie rozumiesz?

– Powinieneś skontaktować się z dziennikarzami. Zgłosić to na policję.

Zaśmiał się gorzko.

– Jasne. Doniosę na rodziców. To rozwiąże sprawę. Moja rodzina byłaby zniszczona. Moi bracia i siostry mieliby rodziców w więzieniu. Cały świat by nas znienawidził. Bylibyśmy żywym symbolem deprawacji. A wszystko po to, by ukoić moje wyrzuty sumienia. Co dobrego miałyby z tego wyniknąć? Ta dziewczynka i tak nie żyje. To jest najgorsze. Nie mogę nic zrobić. Przerabiałem to w głowie setki razy.

Znów zaczął płakać, ukrył twarz w dłoniach.

Zapatrzyłam się na parking. Wypełniała mnie dziwna mieszanka rozpacz i spokoju. Jim miał rację. Nawet gdyby nadal żył, a ten moment był prawdziwy, co niby mógł zrobić? Założyć fundację imienia Estelli? Napisać o tym musical? Najstraszniejsze było to, że czyn Masonów przypominał toksyczny gaz, dokładnie przenikający wszystko.

Patrzyliśmy gdzieś w pustkę, w milczeniu, trzymając się za ręce. Czułam się tak, jakbyśmy oboje nagle zdjęli okulary i po raz pierwszy zobaczyli, że świat nie jest taki piękny jak zawsze nam się wydawało. Straciliśmy wzrok, bezpowrotnie.

– Przynajmniej mam ciebie, Beatrice – powiedział Jim, ściskając moją dłoń.

Nie masz mnie. Ja nawet nie żyję. Ty zresztą też nie.

Jesteśmy duchami. Powietrzem. Sugestią.

Poczułam bolesny ucisk w gardle. Miałam ochotę płakać, nad nim, nad sobą. Moje nogi robiły się ciężkie. Nadchodziła pętla. Nie wiedziałam, ile czasu mi zostało. Pętla poruszała się teraz jakby szybciej. Mój mózg topniał.

Jim przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami. Może zastanawiał się,

skąd w ogóle tu się wzięłam. Nagle zauważyłam, że dostrzegł czarną pleśń pokrywającą krawężnik, na którym siedzieliśmy i spękania po cichu rozszerzające się na powierzchni chodnika pod naszymi stopami.

Zerwałam się na równe nogi. Spojrzałam na niego. Musiałam go zapytać o jeszcze jedną rzecz.

– Ale nie zrobiłbyś z tego powodu czegoś strasznego, prawda?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Nie próbowałbyś niczego głupiego?

– Masz na myśli samobójstwo? – Wyglądał na urażonego.

Nie.

– Muszę już iść.

Ruszyłam biegiem, ale kiedy zaczął za mną wołać i pytać, dokąd idę, odwróciłam się i z obłąkanym śmiechem krzyknęłam:

– Kocham cię, Jim. Zawsze cię kochałam.

Z parkingu wybiegłam prosto na sześciopasmówkę. Samochody zaczęły trąbić. Jakaś kobieta opuściła szybę i krzyknęła:

– Zmykaj stąd! Skarbie, co ty wyprawiasz? Skarbie? – Słyszałam, jak Jim mnie woła, ale bez wahania weszłam prosto pod koła betoniarki i zamknęłam oczy.

—

Trzydziesty sierpnia, Wincroft, 18:12

– Beatrice? Bee! Beatrice!

ROZDZIAŁ 22

Martha, Kip i Whitley czekali na mnie w bibliotece.

Cannona wciąż nie było widać.

– Udało ci się, Bee – powiedziała Whitley, obejmując mnie.

– Co się wydarzyło po naszym odejściu? – zapytał Kipling.

Nie odpowiedziałam. Wyminęłam ich i skierowałam się prosto do sypialni na górze. Wróciłam kilka minut później, potwierdziwszy swe podejrzenia – znalazłam to, czego szukałam – i opowiedziałam im o wszystkim. O tym, jak połączyłam obraz mężczyzny w kostiumie kurczaka rozdającego balony w kształcie serca, o którym wspominała Vida, z kuponem z baru Smażone z Miłością, który znalazłam w pudle z dowodami oraz emailem w skrzynce odbiorczej Edgara Masona.

Opowiedziałam o Estelli Ornato.

Bardzo długo nikt nic nie mówił. Whitley otworzyła laptop i wygooglowała nazwisko dziewczynki. Przeczytała na głos jedyną informację, która ukazała się na temat jej śmierci – czterozdaniową wzmiankę w *South Shore Sentinel*.

– „Policja ujawniła nazwisko czteroletniego dziecka, które zginęło w środę wieczorem w wypadku samochodowym w Water Mill”.

– S.O. – zwróciłam się do Marthy. – Myślę, że to syn Alonsa Ornato.

Rzeczywiście, po wpisaniu do wyszukiwarki słów *Ornato* i *Princeton* pokazała się strona z kontem na Facebooku należącym do niejakiego Sebastiana Ornato, który właśnie zaczynał drugi rok studiów. Było tam zdjęcie przedstawiające go siedzącego w Bibliotece Firestone, ubranego w uczelnianą bluzę, z szerokim uśmiechem i palcami ustawionymi w debilny znak zwycięstwa.

– Biedny dzieciak, myśli, że dostał się do Princeton dzięki własnym zdolnościom – powiedział Kipling.

– Nie do wiary – stwierdziła Whitley z uroczystą powagą. – Wiedziałam, że rodzina Jima jest zdolna do wszystkiego. Ale żeby wykreślić istnienie konkretnej, żywej osoby? Zaprojektować dla niej nową śmierć, bardziej elegancką i do zaakceptowania przez wszystkie wplątane w sprawę osoby?

I w dodatku nie ponieśli żadnych konsekwencji!

– To chyba dowód, że Jim popełnił samobójstwo, prawda? – podsunął Kipling i zrobił głęboki wdech. – Pewnie czuł się bardzo osamotniony. Zagubiony. Pojechał rowerem do kamieniołomu i skoczył.

– Nie sądzę – odparłam.

Popatrzyli na mnie, zaskoczeni. Powtórzyłam im to, co powiedział Jim na parkingu.

– Jeśli to nie było samobójstwo – powiedziała Whitley – to w takim razie co się wydarzyło?

Wsadziłam rękę do kieszeni i położyłam na stoliku kawowym szpilkę z trzmielcem.

Kip zrobił wielkie oczy.

– Co to jest, dziecko?

– Prezent, który dał mi Jim w pierwszej klasie.

– No tak, zgadza się – powiedziała Whitley.

– Zdaje się, że ktoś ci ją ukradł? – spytała Martha.

Przytaknęłam.

– Przed chwilą znalazłam tę szpilkę na górze, w szkatułce na biżuterię Whitley.

Wit wbiła we mnie wzrok, blada jak ściana.

– Ukradłaś mi tę szpilkę, wiem na pewno. Jedna z twoich sławetnych kradzieży. Prawda?

– Bee, tak mi przykro...

– Ty nigdy nie myślisz. Nie masz pojęcia, ile bólu potrafią sprawić twoje beznadziejne wyczyny. Przyjaźń z tobą oznacza cierpienie. Zawsze tak było. Ale i tak cię kocham.

Ignorując zdumioną minę Whitley, zaczęłam opowiadać, że ktoś ukłął mnie szpilką w chwili, gdy nadeszła pętla, wywołał we mnie myśl o Jimie i w rezultacie trafiłam kilka lat wstecz.

– To nie ja, Bee – zaprotestowała Whitley. – Przysięgam.

– Wiem. To był Cannon.

Wszyscy rozdziawili usta ze zdumienia.

– Wiedział, że ukradłaś mi szpilkę, zabrał ją z twojej szkatułki tamtej pierwszej nocy, kiedy zmieniliśmy pętłę. Chciał, żebym wyłudowała w innym miejscu, a was zamierzał skazać na wieczne limbo. Nie chce, byśmy poznali prawdę na temat śmierci Jima. Nie chce, żebyśmy kiedykolwiek

opuścili Nieświat.

– Sądzisz, że miał coś wspólnego ze śmiercią Jima? – spytała Martha.

– Jeszcze nie wiem.

– Bee ma rację – stwierdził Kipling z niepewną miną. – Cannon wiedział, że jeśli coś pójdzie nie tak, mamy spotkać się w tym miejscu. To gdzie on teraz jest?

– Chowa się gdzieś w przeszłości bądź przyszłości – odparłam. – Istnieje tylko jeden sposób, by dowiedzieć się, co naprawdę stało się z Jimem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, wszyscy bez wątpienia myśleliśmy o tym samym.

– Nie – powiedziała w końcu Martha, kręcąc głową. – Nie. Mowy nie ma, Bee. Nie.

– To nie jest aż tak niebezpieczne jak ci się wydaje – odparłam.

– Owszem, jest.

– Już to zrobiłam. Cofnęłam się nawet dalej, przypadkiem, o całe pięć lat. Najzabawniejsze jest to, że nigdy nie spotyka się samego siebie. Nie ma sobowtórów. Kiedy docierasz do jakiegoś punktu w przeszłości, twoje dawne ja automatycznie znika, robiąc ci miejsce.

Martha wyglądała na wkurzoną.

– Ile trwają teraz twoje pętle?

Wzruszyłam ramionami.

– Nasze tylko cztery godziny. – Pokręciła głową. – Coraz bardziej się skracają. I są coraz gorsze. Za każdym razem, kiedy podróżujemy w przeszłość bądź przyszłość, jeszcze bardziej maleje nasza szansa na udane głosowanie. Czy tego nie rozumiesz?

Wyrzuciła te słowa z taką wściekłością – wytrzeszczyła oczy, okulary zjechały jej na czubek nosa – że nie mogłam wydusić słowa, tylko patrzyłam na nią w osłupieniu. Jak i cała reszta.

Umilkła, wyraźnie zakłopotana własnym wybuchem.

Kipling zapytał mnie:

– A jak długo trwają twoje pętle?

– Sześć godzin?

– Wystarczająco długo, żeby spróbować, prawda?

Martha wbiła ponure spojrzenie w podłogę.

– Jeśli dotrzemy do kamieniołomu o pierwszej w nocy – powiedziałam – to nawet jeśli wasza pętla trwa cztery godziny, czy trzy, jestem niemal

pewna, że wystarczy nam czasu, by sprawdzić, co stało się z Jimem.

Zemdliło mnie na wspomnienie jego ostatniej wiadomości. Wysłanej o 23:29.

Idę do kamieniołomu. Przyjdź.

Nadal nie wiedzieli o wiadomościach od Jima. A ja nie zamierzałam nic mówić.

– Zróbmy to – powiedziała Whitley.

Zaczęliśmy omawiać szczegóły techniczne dotyczące zmiany pętli. Tylko Martha przez cały czas milczała, zapadła się w poduszki sofy, jej mina wyrażała urazę przemieszana ze zniechęceniem. Widocznie mój pomysł wyprawy do kamieniołomu stanął na przeszkodzie jej wielkiemu planowi. Straciła kontrolę nad grupą – ale czego tak się obawiała i co to oznaczało dla wyniku głosowania, mogłam sobie tylko wyobrazić.

ROZDZIAŁ 23

Kiedy się obudziłam, ujrzałam nad sobą czyste niebo usiane gwiazdami. Noc wypełniało ogłuszające cykanie świerszczy. Leżałam w gęstej trawie, długie ostre źdźbła kłuły nagą skórę moich ramion. Miałam na sobie mundurek z Darrow. Uniosłam głowę i stwierdziłam z ulgą, że znajduję się w pobliżu kamieniołomu – ale ulga momentalnie ustąpiła dławiącemu strachowi.

Zardzewiałe siatkowe ogrodzenie biegło zaledwie kilka metrów dalej. Spojrzałam na zegarek.

1:02

Podniosłam się, nieco zamroczone, powiodłam wzrokiem dokoła.

Byłam sama.

Zaczęłam posuwać się wzdłuż ogrodzenia, walcząc z wysoką trawą i splątanymi gałęziami jeżyn, ostrymi jak drut kolczasty. Widziałam przed sobą zardzewiałą żółtą tablicę: ZAKAZ WSTĘPU. Gdzieś tu niedaleko była dziura, przez którą zawsze przełaziliśmy. Pochyliłam się, rozgarnęłam chwasty, zaczęłam macać dokoła. W końcu odnalazłam dziurę i przeczołgałam się na drugą stronę.

W oddali widziałam budkę brygadzysty, zdawała się zawieszona wysoko na niebie. Zadrżałam. Próbowałam ignorować falę mdłości podchodzącą mi do gardła. Stara drewniana wieża wyglądała w ciemności jak opuszczona stacja kosmiczna.

– Bee – wysyczał ktoś za moimi plecami.

Obróciłam się. To była Whitley, machała do mnie zza ogrodzenia. Kipling szedł tuż za nią, jego głowa ledwo wystawała ponad oceanem traw. Wskazałam im drogę do dziury w siatce. Po chwili znaleźli się obok mnie.

– Gdzie Martha? – zapytałam.

– Zniknęła – odparł Kipling, podnosząc się.

– Co?!

– Zwiła.

– Była z nami – dodała Whitley, kręcąc głową – i nagle rozplynęła się w powietrzu.

– Od początku nie chciała tu przychodzić – zauważył Kipling. – No i nie

przyszła.

Patrzyliśmy na siebie, ogarnięci niepokojem. Dokąd ona poszła? Czy jak Cannon ukryła się gdzieś w przeszłości bądź przyszłości, przerażona tym, co za chwilę odkryjemy?

Miałam mnóstwo pytań, ale nie było czasu, żeby się nad nimi zastanawiać. Nie teraz.

– Potrzebujemy kryjówki – wyszeptałam. – Obok wejścia do szybów jest taka cementowa rura. Moglibyśmy tam się schować.

Whitley ściągnęła brwi.

– A może lepiej w tym starym biurze tuż przy drodze?

Pokręciłam głową.

– Za bardzo na widoku. Jim może nas zobaczyć. Tym samym mimowolnie interweniujemy w przeszłość i nigdy nie poznamy prawdy.

– No to rura – zawyrokował Kipling z tajemniczym uśmiechem.

Wyruszyliśmy, walcząc z gęstą trawą. Z drogi do kamieniołomu niewiele zostało, nie licząc kawałków skał i żwiru, i śladu w postaci trawy sięgającej w tym miejscu zaledwie do kolan. Po chwili zauważyłam, że Kipling został daleko w tyle. Miał bardzo dziwną minę. Kiedy zobaczył, że na niego czekam, spojrzał na mnie i uśmiechnął się z przymusem.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Jasne, dziecko. Wyśmienicie. Nie co dzień człowiek ma okazję oglądać, jak mordują jego najlepszego przyjaciela.

Otoczyłam jego plecy ramieniem, by dodać mu otuchy, i ruszyliśmy razem, walcząc z wielkimi pierzastymi liśćmi. Ogłuszające cykanie świerszczy brzmiało tak, jakby w moje uszy wbijało się milion noży. W umyśle pojawiło się oczywiste pytanie: *Skąd ta pewność*, że Jima zamordowano? Kipling powiedział to bez śladu wahania, bez zastanowienia.

Jakby coś wiedział.

Ale nie wyglądał na zdenerwowanego. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście te słowa wymknęły mu się niechcący. Coś wiedział czy tylko dał wyraz przypuszczeniom?

Po kilku minutach dotarliśmy do centralnej części kamieniołomu, gdzie stara droga w kształcie wydłużonego U, omijała biuro, budynki gospodarcze i budkę brygadzysty – konstrukcję umieszczoną na czterech masywnych stalowych kolumnach wzmocnionych poprzecznymi belkami, z drewnianą drabiną biegnącą pośrodku jak stary artretyczny kręgosłup. Wzdłuż drogi

stały jeszcze inne budynki – baraki z kwaterami dla pracowników, teraz wyglądające raczej jak sterty gnijących sosnowych belek, oraz zniszczony dźwig przypominający szczątki wieloryba.

Przystanęliśmy i rozejrzeliśmy się dokoła. Miejsce było całkowicie opustoszałe i dzikie, bardziej niż zapamiętałam. Cykanie świerszczy przyspieszyło, jakby stanowiło puls nocy, nagle ogarniętej panicznym przerażeniem.

Chyba nie było tu nikogo.

Ani Jima. Ani nikogo innego.

Nagle chwyciły mnie mdłości i zaczęłam wymiotować.

– Biedna Bee – powiedziała Whitley, odgarniając mi włosy przyklejone do policzka. – Może zapomnijmy o wszystkim i wracajmy.

Pokręciłam głową.

– Nic mi nie jest.

Ruszyłam dalej ignorując jej zatroskane spojrzenie. Po chwili odnaleźliśmy cementową rurę. Liczyła niecałe dziesięć metrów i leżała na skraju kamieniołomu. Kiedy zrobiłam krok w stronę przepaści, ogarnął mnie lęk, że ziemia zaraz pokruszy się pod moimi stopami, ale nie. Popatrzyłam w dół. Pierś ścisnął mi strach, ziemia tak nagle ustępowała w tym miejscu nicości.

Spadek wynosił jakieś sto metrów. Niżej, pod szerokim niebem usianym gwiazdami, rozciągał się skalisty krater, daleko w dole ciemna woda połyskiwała w świetle księżyca.

– Siostrze Bee – szepnął Kip, stając obok mnie. – Mam dziwne przeczucie, że właśnie tak będzie wyglądała śmierć.

Jego głos, o dziwnie upiornym, beznamiętnym brzmieniu, sprawił, że poczułam ciarki na plecach. Zastanawiałam się, czy zaraz mnie popchnie.

– To będzie jak spadanie, które nigdy nie ma końca. Wiesz?

Patrzył na mnie z lekkim uśmiechem. Przełknęłam ślinę, ledwo mogłam oddychać.

– Patrzcie – powiedziała Whitley.

Odwróciłam się. Stała oparta o rurę. Pobiegłam wzrokiem za jej wyciągniętą ręką. Wysoko w oknie drewnianej budki brygadzysty paliło się maleńkie zielone światło. Płomień lampy naftowej, którą wiele lat temu zaniósł tam któryś z uczniów.

Milczeliśmy. Wniosek sam się nasuwał: ktoś tam był, wcześniej lub nawet

w tej chwili.

- Pójdę sprawdzić, kto to – rzuciła Whitley.
- Nie – zaprotestowałam.
- Dlaczego nie? Chcę sprawdzić, może to Jim...
- Zobacz cię. Jeśli interweniujesz, nie dowiemy się prawdy.
- To chociaż sprawdzę, czy jest tu jego rower.
- Nie. – Chwyciłam ją za ramię.
- Bee, co się z tobą... Przestań!

Wyszarpnęła rękę i już chciała ruszyć dalej, ale nagle przystanęła. Ktoś przedzierał się przez zarośla, dosłownie kilka metrów od nas.

Wpatrywaliśmy się w zbliżający się ciemny kształt głowy.

To Jim. Przerazenie chwyciło mnie za gardło.

Trawy zadrżały. I wynurzyła się z nich Martha.

Rozdziawiliśmy usta. Jaskrawoniebieskie włosy zniknęły. Wyglądała jak za czasów liceum: ciemne włosy związane w niedbały kucyk, za duża koszula.

– Z jakiej nory wypełzłaś? – zapytał Kipling.

– Myśleliśmy, że nas olałaś – dorzuciła Wit.

– Aha. Sorry. – Poprawiła okulary. – Z jakiegoś powodu, jak przypuszczam, dlatego, że tuż przed nadejściem pętli myślałam o mapie całego kamieniołomu, obudziłam się nie razem z wami tuż przy ogrodzeniu od południa, tylko przy wschodniej jego części, za naleśnikarnią. Musiałam przejść ponad kilometr, żeby tu dotrzeć. – Zrobiła głęboki wdech. – Coś już widzieliście?

– Tylko to światło – odparła Whitley, wskazując na budkę brygadzysty.

Martha spojrzała w górę. Nie wyglądała na zaskoczoną.

– Widziałaś kogoś na drodze? – zapytałam.

Pokręciła głową.

Nagle zauważyłam, że jest mokra od potu. Koszula kleiła się jej do ciała, włosy do czoła. Krótki spacer na pewno tak by jej nie zmęczył. Kłamała.

Dostrzegłszy mój wzrok, uśmiechnęła się i podeszła do rury, ocierając pot z czoła.

– Co teraz? – szepnęła.

– Teraz czekamy – odparłam, stając obok niej.

Samochód nadjechał o pierwszej trzydziści.

Najpierw go usłyszeliśmy. Poluzowany dekiel. Radio na cały regulator. Czekaliśmy w milczeniu, stojąc obok siebie wzdłuż rury, ramię przy ramieniu. Po trawie przesunęły się złote reflektory. A potem pojawił się czerwony nissan, podskakując na nierównej drodze. Zatrzymał się tuż obok budki. Nie mogłam dostrzec, kto prowadzi, ale widziałam kartkę NA SPRZEDAŻ przyczepioną do tylnej szyby.

– Vida Joshua? – wyszeptała Whitley z niedowierzaniem.

Silnik zgasł, w reflektorach zawirowały białe ćmy. Radio umilkło. Przez chwilę panowała cisza, w końcu otworzyły się drzwi od strony kierowcy, ktoś wysiadł.

Kiedy zobaczyłam, kto to, poczułam ciarki.

Cannon.

Miał na sobie dzinsy i swoją szarą hackerską bluzę z kapturem. Ruszył przez trawę w stronę biura – walącej się szopy z cynowym dachem. Zniknął w środku, ale po minucie znów się pojawił, wyraźnie poruszony. Wsiadł do samochodu, wysłał do kogoś wiadomość i czekał na odpowiedź, splatając i rozplatając ramiona na piersi. Zastanawiałam się, jakim cudem to właśnie on prowadzi samochód pana Joshuy, samochód, który zwykle, o ile Vida go nie używała, stał za szkołą muzyczną. Nagle przypomniałam sobie, jak zawsze kradli z Whitley różne rzeczy na terenie kampusu. Zwinął samochód Vidy, bo był tu z kimś umówiony.

– Halo? – zawołał. – Jest tu ktoś?

Cisza.

Wyszedł i usiadł na masce, zapatrzył się na światła reflektorów. Minęło dziesięć minut. Gotował się z wściekłości. Powiódł wzrokiem dokoła, nagle jakby dał za wygraną, wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi, z radia buchnął heavy metal. Próbował odjechać, ale koła utknęły w trawie, opony kręciły się w miejscu. Cannon zaczął cofać. Przejechał parę metrów, dodał gazu. Samochód rzucił się do tyłu i nagle w coś uderzył. Cannon podjechał nieco do przodu, znowu do tyłu. Samochód podskoczył, zmiażdżył przeszkodę i zgasł.

Cannon wysiadł, przykucnął i zajrzał pod koła.

Natychmiast zerwał się na równe nogi. Pochylił się. Wyprostował.

Pochylił się jeszcze raz.

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie!

Cannon odrzucił głowę do tyłu i zawył.

– Nie. Nie. Nie.

Ze zdumieniem spojrzałam na Marthę, Kiplinga i Whitley, którzy obserwowali tę scenę w milczeniu. Wyglądali na równie zdezorientowanych jak ja.

Mrucząc coś pod nosem, Cannon pochylił się jeszcze raz, chyba próbował wyciągnąć spod kół to, po czym przejechał. Przez kilka minut widzieliśmy tylko drżące trawy.

W końcu wyprostował się. Wydawał jakiś dziwny dźwięk, jakby płakał. I wtedy dostrzegłam, co trzyma w rękach.

Tweedowa czapka. Czapka Jima.

Nie. To niemożliwe.

Cannon znów usiadł za kierownicą. Po kilku próbach wreszcie zdołał cofnąć, wykonując zawracanie na trzy. Już miał odjechać, ale widocznie dręczyły go wątpliwości, bo samochód gwałtownie zahamował i Cannon znowu wysiadł.

Przez chwilę stał bez ruchu, jak w transie.

Potem podszedł do tego, co wcześniej wyciągnął spod kół, a co teraz, kiedy wspięłam się na rurę, by lepiej widzieć, jak stwierdziłam z niedowierzaniem zmieszonym ze skrajną grozą, wcale nie było drewnianą belką czy czymś w tym rodzaju. To był Jim, mój Jim. Leżał na boku, dzinsy miał poplamione krwią. Cannon trzymał jego głowę na swoich kolanach, szeptał coś, pochylony nad nim. Nagle zerwał się na równe nogi, chwycił telefon.

– Przyjedź. Musisz mi pomóc. Teraz. Proszę, zadzwoń. Proszę. Proszę.

Powtarzał to raz za razem, jego głos zmienił się w piskliwy jęk. To był straszny widok. Cannon, zawsze taki opanowany i zaradny, bez trudu rozwiązujący wszelkie problemy, wytrwały i silny – wszystkie te określenia definiowały go w moim umyśle tak jak fale definiują ocean, a chmury niebo – to wszystko zniknęło bez śladu. Był kimś innym.

– Potrzebuję cię. Natychmiast. Proszę, przyjedź. Proszę.

Nie wiem, do kogo dzwonił, w każdym razie ta osoba nie odbierała. Cannon usiadł za kierownicą, ale nie ruszał, siedział tak w gęstej jak smoła ciemności, z włączonym silnikiem, przy dźwiękach radia.

Kwadrans później ponownie wysiadł z samochodu. Widać było, że już ma plan. Znowu był sobą, znowu ze wszystkim sobie radził. Chwycił Jima za

kostki i zaczął brutalnie ciągnąć przez trawę. Zaklął, kiedy Jimowi spadł but, przez chwilę krzyczał z niedowierzania i rozpacz, w końcu otarł twarz przedramieniem i ruszył dalej.

Dotarł na skraj kamieniołomu. Dzielilo nas zaledwie kilka metrów.

Cisnął Jima do krateru. Nie odmówił modlitwy, nie zawahał się.

Rozległ się cichy świst spadającego ciała, które kilka razy odbiło się od skalnej ściany, a potem nic. Stłumiony plusk zaginął pośród cykania świerszczy.

Cannon patrzył w dół, znieruchomiały. Na jego twarzy kładły się dziwne cienie.

Zastanawiałam się, czy zamierza skoczyć za Jimem, zakończyć koszmar, tu i teraz.

On jednak odwrócił się, z pustym spojrzeniem, wszedł do samochodu i odjechał.

—

Długo nie mogliśmy się otrząsnąć.

Stałam w ciemności na rurze, serce biło mi młotem, mózg doznał zwarcia. Nagle – zbyt późno – uświadomiłam sobie, że cement pęka pod moimi stopami. Nagle rura zapadła się z wściekłym hukiem, Martha, Wit i Kipling zeskoczyli w trawę, a ja spadłam na górę gruzu.

Wit pomogła mi się podnieść.

– Co to było, do cholery? Jesteś cała?

Kiwnęłam głową, zlazłam z gruzowiska i otrzepałam się.

Przez chwilę staliśmy w kręgu, bez słowa, patrząc na siebie, zdjęci grozą.

– Ale do kogo dzwonił Cannon? – wyszeptała Wit z nutą oburzenia w głosie. – Bo na pewno nie do mnie. Nie miałam pojęcia o całej tej historii.

– Do Kiplinga – oznajmiła Martha.

Spojrzałyśmy na niego. Odpowiedział nieruchomym spojrzeniem winowajcy, ramiona trzymał pod jakimś dziwnym kątem.

– To prawda – wyszeptał. – Diabeł zadzwonił, a ja odpowiedziałem.

Wypowiedział te słowa bezbarwnym głosem, z lekką nutą ulgi. Przypomniałam sobie porozumiewawcze spojrzenia, które wymieniali z Cannonem w bibliotece w Wincroft, kiedy opowiadali, jak Kipling podstępem skończył szkołę. Nie myśleli wtedy o hackerskich wyczynach

Cannona ani oszukiwaniu na egzaminach. Myśleli o tej nocy, o wspólnej tajemnicy.

– Pomogłem mu wrzucić ciało Jima do kamieniołomu – dodał Kipling.

Gapiłyśmy się na niego.

– Jak to? – zapytała Whitley. – Ciebie nie widziałyśmy.

– *Zakręt*, rozdział trzydziesty dziewiąty – wyszeptała Martha. – Nie można spotkać samego siebie ani w przeszłości, ani w przyszłości.

Kipling kiwnął głową.

– Musiałem tu wrócić. Musiałem to zobaczyć. Musiałem się dowiedzieć, raz na zawsze, czy to ja wpadłem na pomysł, by wrzucić Jima do jeziora, czy Cannon. Czy gdyby mnie tam nie było, wydarzyłoby się to samo? Chciałem wiedzieć, który z nas jest ten zły, a który jeszcze gorszy.

– Czy Cannon wyjaśnił, po co tu wrócił? – spytała Martha i zagryzła wargi.

– Tak.

– A co powiedział?

Kipling uśmiechnął się.

– Może ją zapytasz? – Ruchem głowy wskazał Whitley.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Już myślałam, że zacznie wrzeszczeć, wpadnie w swój słynny szał, ale ona tylko westchnęła.

– Cannon był moim najlepszym klientem – wyjaśniła.

– O czym ty mówisz? – wyszeptałam.

– Adderall. Biały Królik dostarczał mu nieskończone zamówienia. Łykał tabsy jak tik taki. Zresztą nadal to robi.

– I przez cały ten czas nie zorientował się, że to ty jesteś Białym Królikiem? – spytała Martha.

Wit pokręciła głową.

– Aż do Vidy. Za bardzo się bałam, żeby mu powiedzieć.

Przypomniała mi się reakcja Cannona, kiedy usłyszał, że to była Wit. Zbladł jak ściana. Teraz rozumiałam dlaczego. Od początku znała jego sekret, ale swojego nigdy mu nie zdradziła.

– Powiem krótko i wprost – odezwała się Martha. – W noc śmierci Jima Cannon zadzwonił do Białego Królika z kolejnym zamówieniem na adderall. A ty kazałaś mu przyjechać do kamieniołomu.

Whitley ponuro przytaknęła.

– Dlaczego tutaj?

Wit pokręciła głową.

– Kilka tygodni wcześniej Jim się dowiedział. Obserwował mnie non stop, powtarzał, że mam przestać. Bałam się zostawić towar na terenie kampusu. Stwierdziłam, że to jest idealne miejsce. Na uboczu. Wysłałam Cannonowi wiadomość, jako Biały Królik, że znajdzie towar w budynku biura, w szufladzie stołu. Tylko że nie zdążyłam na umówioną godzinę. Zatrzymała mnie pani Lapinetti, w sprawie egzaminu końcowego z włoskiego. Pobiełam do kamieniołomu, podrzuciłam towar, ale Cannon więcej się nie odezwał.

– O której tu wróciłaś? – zapytała Martha.

– O trzeciej w nocy. Nikogo i niczego nie widziałam. Przysięgam.

– Musiałaś się z nimi minąć. – Martha spojrzała na zegarek. – Kiedy znaleźli ciało Jima, na pewno podejrzewałaś Cannona. Wiedziałaś przecież, że był tu tej nocy.

Wit przytaknęła.

– Ale wiem, że nigdy celowo nie skrzywdziłby Jima.

Martha spojrzała na budkę brygadzysty.

– Pozostaje tylko pytanie... – Urwała i zaczęła obgryzać paznokcie.

– No co? – ponaglił ją Kipling.

– Jak to się stało, że Jim nagle znalazł się pod kołami samochodu?

Obróciła się na pięcie.

– Chodźcie – zarządziła, ruszając w kierunku wieży. Po chwili zniknęła pośród traw.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy ją dogoniliśmy, siedziała w kucki pod budką brygadzysty. Spojrzałam w górę i stwierdziłam ze zdziwieniem, że brakuje drabiny. Po chwili zauważyłam, że jej pozostałości leżą rozsypane dokoła w trawie.

– Niesamowite – stwierdziła Martha, podniosła się i pokręciła głową. – Niebywały ciąg wydarzeń.

– Ale co? – zapytał Kipling.

– Mama Greer miała rację.

– W kwestii?

– Prawa anomalii.

Martha przyciągnęła stopą kawałek drewna, po czym popatrzyła w górę na podest wysoko nad naszymi głowami.

– Biedny Jim.

Spojrzała na mnie i nagle przeszły mnie ciarki. Do czego zmierzała? Co próbowała osiągnąć? Było ciemno, ale jej oczy za szklami okularów lśniły czujnie i żywo.

– To stało się w tym miejscu – podjęła. – Tej nocy, kiedy przyjechał tu z Vidą, Jim czuł się rozbity z powodu rozmowy z Beatrice, która odkryła, że ją okłamał. No i wciąż dręczyła go historia Estelli Ornato. Jego idealne życie legło w gruzach, uciekł więc do kamieniołomu, tak jak często robił, by pobyć w samotności, pisać muzykę. Zaczął wchodzić po drabinie, ale nagle się połamała. Zdołał chwycić się poprzecznej belki, chciał się ratować, ale belki też nie wytrzymały.

Martha pochyliła się i podniosła jeden z kawałków drewna, pod spodem całkowicie przegniły.

– Spadł. Ze znacznej wysokości, równej czterem-pięciu piętróm. Dla większości osób taki upadek okazałby się śmiertelny. Ale Jim przeżył.

– Jak? – szepnęłam.

– Był pijany. Pijani często wychodzą bez szwanku na przykład z wypadków samochodowych. Nie spinają mięśni. Są rozluźnieni. To ratuje im życie. Jim leżał nieprzytomny przez godzinę, może dwie. Potem się ocknął. – Spojrzała na drogę. – Pewnie usłyszał samochód i zobaczył światła.

A może tylko próbował odszukać rower.

Martha przeszła na drugą stronę drogi, wyciągnęła rower Jima z trawy i rzuciła go nam pod nogi, jak magik wyczarowujący królika z kapelusza.

– Przeczółgał się z tego punktu do tego – pokazała na drogę. – Dwa i pół, trzy metry? Szukał pomocy. Wtedy Cannon znów usiadł za kierownicą. Nawet jeśli Jim wołał, zagłuszyło go cykanie świerszczy, warkot silnika i muzyka z radia. Nie widzieliśmy go w ciemnościach i nie słyszeliśmy, Cannon też nie. Cannon, przekonany, że Biały Królik go wystawił, stwierdza, że musi się pospieszyć i oddać samochód, zanim Moses wróci ze spotkania dla anonimowych alkoholików. Jest zdenerwowany. Cofa i uderza w Jima. Uświadamia sobie, co się stało i kompletnie mu odbija. Dzwoni do Kiplinga, który ma wobec niego dług. Kipling przyjeżdża, razem dochodzą do wniosku, że jedyne, co mogą zrobić, żeby wypłatać się z tej koszmarnej kabały, to wrzucić ciało Jima do kamieniołomu i modlić się, by policja uznała jego śmierć za samobójstwo.

Kipling kiwnął głową.

– Mieliliśmy nadzieję, że gliny przypiszą wszystkie obrażenia upadkowi z wysokości stu metrów.

– Policja zapewne dokonałaby dokładniejszych oględzin – stwierdziła Martha – gdyby nie Masonowie. Martwili się o interesy i nie chcieli, żeby doszło do nagłośnienia historii z Estellą Ornato. Nie wiedzieli, ile Jim powiedział innym ludziom. I zapewne brali pod uwagę, że mógł popełnić samobójstwo, zważywszy na jego stan psychiczny po tym, jak odkrył, co zrobili. I co on zrobił. Dlatego woleli milczeć. I najprawdopodobniej wywarli nacisk na gliny. Niezależnie do tego, jakie tropy odkryli policjanci, czy wiedzieli o tym, że Jim był w barze z kurczakami, że dowiedział się dzięki Vidzie prawdy o Białym Króliku, czy sprawdzili rejestr rozmów telefonicznych, zarzucili śledztwo.

– Masonowie skonfiskowali akta, nie zapominaj – dorzucił Kipling.

– Właśnie.

– Ale tu jest krew – wyszeptała Whitley, oświetlając komórką miejsce, w którym stał nissan. – Policja musiała przecież od razu zauważyć, że wydarzyło się coś dramatycznego.

– Posprzątaaliśmy – odparł Kipling. – Zauważyłem krew. Przez godzinę wyrывaliśmy trawę. Wsadziłem wszystko do plecaka i w szkole spuściłem w kiblu.

– No i proszę – zawyrokowała Martha. – Prawo anomalii.

Nie było tu nic więcej do powiedzenia. Ani do zrobienia. Mogliśmy jedynie przetrwać dziwną historię, którą właśnie przedstawiła nam Martha jak wykładowca objawiający studentom nowe prawo ciężenia. Przez chwilę nie czułam nic i nie myślałam o niczym, istniały tylko mój płytki oddech, orkiestra świerszczy i otaczająca nas noc, żywa, wstrzymująca oddech.

Podobna wersja wydarzeń nawet nie przemknęła mi przez myśl.

– To zbyt dziwaczne – wyszeptała Whitley, cała drżąca, krzyżując ramiona na piersi. – Jak tak się zastanowić, wszyscy po trochu zabiliśmy Jima. Ja przysłałam tu Cannona. Cannon potrafił go samochodem. A Kipling pomógł mu zatrzeć ślady. Wszyscy jesteśmy winni, prawda? Za wyjątkiem Marthy i Beatrice. Wy jesteście dobre.

– To nieprawda – wydusiłam. Łzy paliły mnie pod powiekami, w gardle rosła gęła.

– Czas się zbierać – wyszeptała Martha, z namysłem ściągnając brwi i patrząc w górę. Ale my staliśmy bez ruchu. Nagle Martha nas popchnęła i stwierdziłam ze zdumieniem, że całkiem nieświadomie stałam za blisko jednej ze stalowych nóg. Cała konstrukcja trzęsła się gwałtownie, a drewniane części pękały.

Nagle, z ogłuszającym jękiem szkła i metalu, przechyliła się, sypiąc na nas deszczem zardzewiałych gwoździ, śrubek i drewnianych belek. Przebiegliśmy na drugą stronę drogi. Rzuciłam się w środek ściany z pokruszonego szkła, walcząc ze żdźbłami i liśćmi, siekącymi mnie po twarzy. Pochyliłam się i zakryłam głowę. Wieża runęła z rykiem na ziemię, Kipling i Whitley krzyczeli gdzieś z tyłu. Coś szarpnęło mną do przodu.

Kiedy otworzyłam oczy, leżałam na brzuchu. W nogach czułam potężny napór pętli. Zdołałam przetoczyć się na plecy. Zamrugałam i spojrzałam w niebo.

Usłyszałam głosy, a potem zobaczyłam nad sobą twarze Marthy i reszty.

– Kończy się jej pętla – stwierdziła Martha. – Musimy się pospieszyć i znaleźć Cannona.

– Chyba wiem, gdzie jest – odparła Whitley z poważną miną.

Kiedy podała lokalizację, nikt się nie odezwał. Ze wszystkich możliwych punktów w czasie i przestrzeni ten wydawał się najbardziej przerażający i najbardziej niemożliwy.

– Nie – powiedziała Martha. – Mowy nie ma. To zbyt wielkie ryzyko dla

Bee. – Pomogła mi wstać i pociągnęła za sobą na skraj kamieniołomu. – Musimy wracać do Wincroft.

– Cannon jest nam potrzebny, żeby zagłosować – odparłam. – Ja pójdę. Przyprowadzę go.

Martha miała wystraszoną minę. Ale nie było czasu na dyskusje. Czułam, że pętla już wspina się po mojej szyi. Wiedziałam, co robić. Spojrzałam na kamieniołom i jezioro, daleko, daleko w dole.

Tę samą podróż odbył Jim. Mój Jim.

– Do zobaczenia – szepnęłam.

Patrzyli na mnie z przestachem, ale nie miałam czasu do stracenia, poza tym nie wiedziałabym, co im powiedzieć na pocieszenie. Ścisnęłam ich dłonie, każdemu po kolei.

A potem skoczyłam.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy otworzyłam oczy, okazało się, że znajduję się w lodowatej wodzie.

Otoczała mnie mleczna niebieska ciecz. Odepchnęłam się nogami, w których niemal straciłam czucie. Nie wiedziałam nawet, gdzie jest powierzchnia, a gdzie dno. Moje płuca pulsowały z bólu. Wypuściłam powietrze z ust i obserwowałam bańki. Odpłynęły w przeciwnym kierunku niż sądziłam. Ruszyłam za nimi, prosto w nieprzeniknioną ciemność, woda była coraz zimniejsza, wokół przemykały ryby, ocierając się lodowatą śliską skórą o moje palce u rąk i nóg.

Miałam ochotę krzyczeć.

Znów odepchnęłam się nogami. I nagle wynurzyłam się na powierzchnię, łapiąc w płuca lodowate powietrze.

Rozejrzałam się. Wszystko zasłaniała gęsta mgła, kredowobiała i krystaliczna zarazem. Cienka warstwa lodu pokrywająca jezioro popękała wokół moich ramion. Przez chwilę kręciłam się w miejscu, szukając czegoś, czego mogłabym się chwycić, ale na próżno. Widziałam może na odległość pół metra przed sobą. Z wody wystawały martwe białe pnie drzew, łącząc się z bielą w górze.

To tutaj skierowała nas Whitley. Błękitne Jezioro, Klatka dla Ptaków Cannona, 15:33 w dzień jego urodzin rok temu. To było miejsce z tapety, ukazującej się na ekranie w wyniku błędu, który odkrył Cannon w systemie operacyjnym Apple'a w drugiej klasie liceum. Senny krajobraz, kredowa mgła, cienkie pnie brzoź i modrzewi japońskich wyrastające z lodowatoniebieskiej wody.

I nic więcej.

– Cannon?

Mój głos, zachrypnięty i drżący, dotarł nie dalej niż na odległość kilku metrów. Nogi miałam tak zmarznięte, że wydawały się obcą częścią ciała. Zimno kłuło mi plecy jak ostrza noży.

– Cannon!

Nagle z tyłu dobiegł warkot łodzi motorowej. Odwróciłam się i zobaczyłam wynurzający się z mgły, obłazący farbą dziób. Zmierzał prosto

na mnie. Dostrzegłam wypłówiały niebieski napis *Ptaszek*. Cannon siedział pochylony nad silnikiem, miał czerwoną twarz, brodę i długie zmierzwione włosy. Łódź uderzyła mnie w głowę. W czaszce eksplodował biały ból. Woda wciągnęła mnie pod powierzchnię i stłumiła mój krzyk.

Zapadła ciemność.

—

Kiedy otworzyłam oczy, znów znajdowałam się w lodowatej wodzie.

Panowała cisza.

Niebieska woda mąciła mi wzrok. Widziałam pływające dokoła szczątki łodzi, wodorosty, kawałki muszli i błoto, ciemne ryby o wydłużonych kształtach, przodozgrzyzie i wyłupiastych oczach, które wydawały się martwe, do chwili, aż którejs dotknęłam, a wtedy błyskawicznie uciekała w ciemność.

Nic mnie nie bolało, za wyjątkiem płuc. Wypuściłam z ust bąbelki i ruszyłam za nimi. Po kilku sekundach wynurzyłam się na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze.

To było to samo miejsce, Błękitne Jezioro, Klatka dla Ptaków Cannona.

Zamruczał silnik. Obróciłam się i znowu zobaczyłam pędzącą na mnie łódź.

Zanurzyłam się, panicznie odepchnęłam kilka razy nogami, prąc przez eksplozje bąbelków – łódź minęła mnie dosłownie o kilka centymetrów. Śruba przecięła moją lewą stopę, która zapłonęła bólem. Kiedy się wynurzyłam, Cannon właśnie zawrócił i znowu zmierzał w moją stronę.

Zanurkowałam i odpłynęłam na odległość kilku metrów, wynurzyłam się, by zaczerpnąć powietrza.

- Cannon, błagam, zaczekaj...
- Nie powinnaś tu przychodzić, Beatrice.
- Musimy porozmawiać.
- Nie ma o czym.
- O Jimie.

Skrzywił się i wyłączył silnik.

- Cannon. Proszę. Chcę tylko porozmawiać.

Wyciągnęłam rękę.

Pochylił się z niepewnym uśmiechem i podał mi rękę. Chwyciłam ją, ale wtedy złapał za wiosło i walnął mnie w głowę. Wszystko zrobiło się białe.

Wrzasnęłam. Czułam, jak moje ciało się rozpada, woda wlewa się do ust. Czułam wiosło na plecach, spychające mnie w dół.

Walczyłam, ale ono wciąż tam było, przytrzymywało mnie pod powierzchnią.

Cannon próbował mnie utopić.

Stał się nieprzewidywalny.

Nieświat doprowadził go do obłądu.

—

Kiedy otworzyłam oczy, znów znajdowałam się w lodowatej wodzie.

Panowała ogłuszająca cisza.

Nagle uświadomiłam sobie z przerażeniem, co się dzieje: raz po raz przeżywam tę samą pętlę. Cannon mnie zabijał, byłam martwa aż do kolejnej pętli. Ile to trwało? Godzinę? Kilka minut?

Nie mogłam pozbierać myśli. Mdliło mnie ze strachu. Wiedziałam, że muszę się uspokoić. Zaczęłam płynąć, próbując ignorować ból rozsadzający płuca. Spojrzałam w górę i zobaczyłam dno łodzi Cannona pośród wielkich odłamków lodu. Przyczał się między drzewami, czekał. Zanurkowałam głębiej, próbując nie widzieć ciemnych ryb o łuszczącej się skórze. Kiedy już nie zdołałam dłużej wstrzymać oddechu, podpłynęłam pod powierzchnię i nabrałam powietrza, starając się nie robić przy tym hałasu.

Od Cannona dzieliło mnie zaledwie kilka metrów. Nie widział mnie. Stał w łodzi i rozglądał się dokoła.

– Beatrice! – zawołał. Jego głos brzmiał spokojnie, prawie przyjaźnie. – Jesteś tu?

Zanurkowałam i odpłynęłam dalej. Woda była coraz ciemniejsza, gnijące korzenie drzew, pozółkłe i splątane, wydzielaly coś, co przypominało sadzę. Nie czułam rąk ani nóg. Myśli miałam zamglone. Przepłynęłam obok szczątków zatopionej łodzi z wyblakłym napisem *Ptaszek* na burcie. Nagle poczułam prąd podpowierzchniowy. Próbowałam z nim walczyć, ale okazał się zbyt silny. A kiedy rozpoznałam w niskim huku dźwięk wodospadu, było za późno. Leciałam bezwładnie, strugi wody waliły we mnie jak sikawki strażackie, kamienie uderzały w moją głowę, zdierały skórę z dłoni, gałęzie drapały po twarzy. Białe drzewa. Błękitne niebo. Koziółkowały pode mną i nade mną. Czekałam, kiedy wreszcie uderzę w ziemię, kiedy zapadnie

ciemność, ale koniec nie chciał nastąpić.

Spadałam, spadałam nie wiem jak długo, może godzinę, całe moje ciało było zlodowaciałe i sztywne.

W końcu uderzyłam w głaz. Moje życie zgasło jak świeca.

Kiedy otworzyłam oczy, znajdowałam się w lodowatej wodzie.

Ile razy już tu byłam? Cztery? Cztery miliony?

Ryby krążyły wokół mnie jak mordercze myśli. Wpłynęłam między nie, a wtedy się rozpierzchnyły.

Dryfowałam głęboko pod wodą. W końcu dostrzegłam łódź. Temperatura wody spadała. Na powierzchni tworzyła się warstwa lodu, z każdą minutą coraz grubsza. Widziałam Cannona, szukał mnie. Chwyciłam zatopiony kawałek drewna, podpłynęłam tuż pod kadłub łodzi, niemal przyklejając się do niego. Zaczepiłam powietrze przez otwór w lodzie tuż obok burty. Ściągnęłam różowy T-shirt i wypuściłam go z ręki, a kiedy Cannon, sądząc, że to ja, pochylił się, błyskawicznie się wynurzyłam i z całych sił walnęłam go w plecy gałęzią. Wrzasnął, zachwiał się, stracił równowagę i wpadł do wody, przebijając zamarznąłą powierzchnię. Wdrapałam się do łodzi, o mało jej przy tym nie wywracając. Szarpnęłam za linkę silnika, oderwałam dłonie Cannona wczepione w burtę i odpłynęłam.

– Beatrice! – zawył, machając. – Wracaj!

Zignorowałam go. Na dnie łodzi leżały jego stara bluza z kapturem i czerwony flanelowy koc, obok stał termos. Włożyłam bluzę, opatuliłam się kocem, odkręciłam termos i napiłam się herbaty, tak gorącej, że poparzyłam sobie usta.

Płynęłam dalej. Nie miałam pojęcia dokąd. Mgła ukazywała tylko fragmenty świata. Błękitna woda, drewno dryfowe, poczerńnięte pnie drzew – wszystko ukazało się jednocześnie, walnęło o burty, a silnik zgasł. Po chwili dobiegł mnie ogłuszający ryk wodospadu. I płacz Cannona, gdzieś daleko z tyłu.

– Zamarzam. Umrę tutaj. Pomóż mi, Beatrice.

Nie wiem, jak długo płynęłam, gdy nagle zobaczyłam pod lodem, grubym na co najmniej siedem centymetrów, długi pukiel jasnych włosów. Walnęłam w lód wiosłem. Dotarło do mnie, że to Whitley. Była ledwo przytomna. Kilka

metrów dalej dostrzegłam Marthę i Kiplinga, również uwieczonych pod lodem.

Wciągnęłam ich po kolei do łodzi. Byli półżywi, głowy opadały im bezwładnie. Ułożyłam ich na rufie, zdjęłam im buty, dzinsy i T-shirty, opatuliłam nogi kocem i wlałam herbaty do ust.

Po chwili zaczęli przejawiać oznaki życia.

– Co się dzieje? – spytała Martha.

Zdałam raport. Powiedziała, że chce zobaczyć Cannona, odwróciłam więc łódź i, sterując między pniami drzew, podpłynęłam do niego. Trwał w bezruchu przy drzewie. Jego broda była kompletnie biała od lodu.

Nie żył. Miał sine wargi. I był nagi, zdjął całe ubranie.

– Jego pęta musiała trwać całe lata, skoro broda tak mu urosła – wyszeptała Martha, dotykając zamrożonego kosmyka. Spojrzała na mnie. – Musimy to powtórzyć, ale następnym razem zachowaj go przy życiu. Wszystko zależy od ciebie, Bee. My zjawiamy się za późno. Musisz przejąć łódź i obezwładnić go, ale nie dopuścić do tego, by umarł. Kiedy dotrzemy na miejsce, będziemy mogli zagłosować.

Cannon już nie jest sobą. Jak niby mamy głosować?

Chciałam zadać to pytanie, ale nagle łodzią szarpnęło do tyłu i zorientowałam się, że zaraz wylądujemy w wodospadzie.

Chwyciłam wiosło, Martha drugie. Whitley próbowała złapać się przepływającego pnia, by zatrzymać łódź. Kipling jak sparaliżowany gapił się przed siebie. Oczywiście nasze wysiłki nie miały sensu. W ciągu niecałej minuty łódź znalazła się pośród grzmiących mas wody, pchana silnym prądem. Pędziliśmy pośród wystających głazów, obijaliśmy się o drzewa. W końcu wszystko zrobiło się białe. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak Whitley wyciąga do mnie rękę, a potem łódź się przewróciła i powpadaliśmy do wody.

—

Głosowanie. Głosowanie.

Ile razy to się powtarzało? Przejąć łódź. Związać Cannonowi ręce i nogi. Wyciągnąć pozostałych spod lodu.

Robiłam to raz po raz, zawsze w lodowatym zimnie, bliska utonięcia.

Za każdym razem próbowałam innej taktyki. Być może Cannon oszalał

i nie był do końca sobą, ale bez wątpienia chciał mi zrobić krzywdę. Był dziwnym, przerażającym wrogiem, czasem brutalnym, czasem dziecinnym. Ponieważ tak dobrze go znałam, robienie z niego jeńca było prawdziwym koszmarem. Czasem zachowywał się jak niegdyś, był zabawny, miły i wrażliwy, twierdził, że chce mi pomóc, że robi wszystko, co w jego mocy. Ale szybko zrzucił maskę, jak kostium na Halloween, ukazując swe prawdziwe obecne ja – człowieka pokonanego przez wściekłość i żal. Zrozumiałam, że Cannon zawsze widział przed sobą przyszlą chwałę, że myśl o niej wypełniała każdy moment jego życia, każdy miły gest dyktowało przekonanie, że kiedyś do czegoś dojdzie. A teraz nie miał przyszłości i nie potrafił się odnaleźć.

Wywrzaskiwał swoje skargi pośród mgły.

– Oszukano mnie! Nabrano! Najpierw ten koszmar z Jimem. A teraz to? Jakiś żart. Nie tak miało być. Miałem dorosnąć! Powinienem żyć jeszcze z siedemdziesiąt lat! Nie zostawiłem po sobie śladu. Jakby mnie nigdy nie było. Czy byłem? Czy w ogóle kiedykolwiek istniałem, Beatrice? Beatrice! Gdzie jesteś?

Czasami, kiedy Cannon sprawiał kłopoty, spóźniałam się i kiedy docierałam na miejsce, Wit i Kipling byli martwi. Martha, za każdym razem półprzytomna, w malignie powtarzała szeptem trzy słowa, raz po raz.

To byłaś ty.

Po pewnym czasie w mojej głowie wyrysowała się mapa całego Błękitnego Jeziora, jak w umyśle niewidomego, który zapamiętał każdy skrawek najbliższego otoczenia. Znałam każde martwe drzewo, każdy głąz, wiedziałam nawet, w którym miejscu woda rozbryźnie się o skały jak wielki fajerwerk.

Szansa na głosowanie rosła. Coraz szybciej udawało mi się spacyfikować Cannona, częściowo dzięki mojej wprawie i determinacji, a częściowo z powodu jego znużenia i zniechęcenia. Wiązałam mu ręce i nogi żółtymi pędami wyrwanymi z dna jeziora, wciągałam do łodzi i sadzałam na dziobie. Coraz szybciej potrafiłam uratować i ocucić pozostałych.

W chwili, kiedy byli bezpieczni i opatuleni kocem, z mojej pętli zostawało jeszcze tylko jedenaście minut. Przez ten czas musiałam wpłynąć łodzią między drzewa, żeby nie zepchnęło nas do wodospadu. Przez ten czas musieliśmy jeszcze zagłosować.

– Ja nie oddam głosu – powtarzał Cannon za każdym razem.

– Owszem, oddasz – odpowiadała Whitley.

– Nie.

– To utoniesz.

Śmiał się. Ja zdążyłam przywyknąć do jego obłąkańczego rechotu, ale pozostałych nadal przerażał.

– Utonę? Myślisz, że boję się utonięcia? To dla mnie jak uścisk ręki. Mówi: miłego dnia. Mówi: może kanapkę do tych naleśników? Albo: witamy w Home Depot, może pomóc panu w wyborze kosiarki?

– Przestań – szeptała Whitley, z trudem powstrzymując się od płaczu.

Głosowanie. Głosowanie.

Nie mieliśmy długopisów ani papieru. Oderwałam kawałek drewna z dna łodzi, rysowaliśmy nim inicjały wybranej osoby na wewnętrznej części dłoni.

Z czasem w ciągu tych jedenastu minut zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Martwe drzewa wpadały do wody, wywołując fale, które zatapiały łódź. Mgła ustępowała, pokazywało się szare niebo, po którym przetaczały się chmury jak magiczny napój w kotle czarownicy. Chmury czerwonych owadów, takich jak te, które rysowała Martha, krążyły wokół nas jak płachty zacinającego deszczu, brzęczały przenikliwie, obijały się o nasze czoła i uszy, wplątywały się we włosy, doprowadzając do panicznych krzyków. Pojawiła się też tłusta samotna mucha, bzyczała wokół naszych głów. Wiedzieliśmy, że to Pete, wymyślony przyjaciel Cannona z dzieciństwa, który mieszkał we wnętrzu komputera. Lód pokrywał nasze włosy i rzęsy. Grzmiało, padał śnieg i sypał grad. W jedenastej minucie łódź zaczynała się rozpadać, niebieska woda sączyła się między deskami poszycia, drewno czerniało i obracało się w czarną maź.

Wiedziałam, co się dzieje, ale nie skomentowałam tego ani jednym słowem. Podobnie jak reszta. Chodziło o naszą decyzję, wybór jednego, jedyne go imienia. To była śmierć naszych marzeń, naszej młodości, naszych szans. Niezależnie od tego, jak straszne wszystko mogło się wydawać, w Nieświecie zawsze istniała nadzieja.

A teraz i ona znikła.

Cannon ignorował nasze błagania i nie chciał głosować. Siedział przy burcie, gapiąc się gdzieś w przestrzeń, śpiewał pod nosem *Just Like Heaven* The Cure, bez końca powtarzając fragment „You, soft and lonely”.

Niespodziewanie podczas jednej z pętli wyrwał Kiplingowi drewnienko, zacisnął zęby i również wyrysował na dłoni czyjeś inicjały, szybko i za

mocno, aż krew pociekła spomiędzy palców, po czym znów odchylił się, oparł o burtę i zapatrzył przed siebie, wyzuty z sił.

W tym momencie Whitley czujnie się wyprostowała i wskazała na coś pośród mgły.

To był Stróż. Płynął w naszą stronę łodzią wiosłową, miał na sobie jak zwykle ciemny garnitur i krawat. Ustawił się burtą do burty. Chociaż sypał grad, a jego łódź podskakiwała i obijała się o naszą, wzbijając strugi wody, Stróż był zadziwiająco suchy.

– Gratulacje! – zawołał. Jego głos brzmiał przerażająco wyraźnie pośród grzmotów. – Mamy konsensus.

– Co? – wykrztusiła Whitley.

Stróż tylko się uśmiechnął.

Odchrząknął, poprawił krawat – a wiatr niemal natychmiast zwiął mu go z powrotem na ramię.

– Życie nie jest waszą własnością. To wynajmowane mieszkanie. Kochajcie bez lęku, ponieważ miłość to samolot, który zabierze was ku nowym lądom. W ciszy istnieje cały wszechświat. W krzyku – tunel prowadzący do ukojenia. Śpijcie spokojnie. Śmiejcie się, kiedy tylko możecie. Macie większą moc, niż wam się wydaje. Kierujcie się mądrością starych i dzieci. Żadna z tych rzeczy nie jest tak decydująca jak sądzicie, ale to nie znaczy, że nie jest istotna. Nasze życie toczy się dalej. I dalej. Wypatrujcie okruchów.

Chyba nie do końca słuchaliśmy, co mówi. Osłupieliliśmy.

– Miło było poznać – dorzucił z ukłonem.

A potem ujął wiosła i odpłynął.

Nastąpiła natychmiastowa zmiana. Woda się uspokoiła. Burza ucichła. Ryk wodospadu przeszedł w szept. Na błękitnym niebie ukazało się słońce, jaskrawe i ciepłe. Sceneria w tak szybkim tempie zmieniła się w spokojne, idylliczne jezioro o połyskliwych wodach, że wspomnienia ostatnich dwunastu pętli – a może dwunastu milionów pętli – wydawały się teraz mgliste i zamazane, jak niedokładnie zapamiętany sen.

Robiło się gorąco. Whitley i Kip rozebrali się do bielizny i pokrzykując, wskoczyli do wody, jakby świętowali zakończenie obozu letniego. Cannon z obojętną miną przetoczył się za burtę, głową w dół. Zerwałam się na równe nogi, zaczęłam go wołać, ale on odpłynął na plecach, z zamkniętymi oczami. Wydawał się potwornie zmęczony. Wydawał się szukać spokoju.

Zostałam sama z Martha. Chciałam powiedzieć jej coś bardzo ważnego, a wiedziałam, że to być może moja ostatnia szansa.

– Martha.

Patrzyła na roześmianych Whitley i Kiplinga. Odwróciła się w moją stronę.

– Nigdy nie byliśmy przyjaciółkami. Chciałam ci tylko powiedzieć, że rozumiem dlaczego. I nie mam pretensji.

Patrzyła mi prosto w oczy.

– Byłam jego dziewczyną. Wszyscy kochali się w Jimie. Domyślałam się, że ty też. Żałuję, że lepiej się nie poznałyśmy.

Przechyliła głowę i ściągnęła brwi.

– Uważasz, że byłam zakochana w Jimie?

Kiwnęłam głową. Uśmiechnęła się.

– Nigdy nie kochałam Jima. Chodziło o ciebie, o to, co dla mnie zrobiłaś. Uratowałaś mi życie.

Powiedziała to tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

– Pamiętasz tamten wieczór w pierwszej klasie, podczas zamieci? Kiedy odbywały się tańce. Wysiadł prąd, a ty pobiegłaś do internatu się przebrać. Zobaczyłaś mnie w świetlicy, siedziałam tam z książką. Śmiałaś się, bo nie zauważyłam, że okno jest otwarte, śnieg zdążył napadać do środka. Zostałaś ze mną, rozmawialiśmy, chociaż Jim na ciebie czekał.

Pamiętałam. Po raz pierwszy pogadałyśmy wtedy tak naprawdę.

– Nie przypadkiem okno było otwarte.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Planowałam to od kilku tygodni. Wszystko obliczyłam. Piąte piętro. Larkin Hall. Przyspieszenie wywołane siłą przyciągania ziemskiego na odcinku dwudziestu trzech metrów. Nawet gdybym wylądowała w zaspie, moje szanse na przeżycie wynosiły mniej niż jeden procent.

Nie mogłam oddychać.

– To było głupie. Jeden z tych mrocznych momentów osamotnienia, które wydawały się wszechogarniające. Co ja wtedy wiedziałam. Były niczym. Te monumentalne chwile w naszym dzieciństwie są tylko zakrętem na rzece, ostrym i zasypanym wielkimi głazami, przez które nic nie widać. A rzeka pokonuje odległości, których nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Już miałam skoczyć, kiedy usłyszałam, że ktoś nadchodzi. Niespodzianka. Rzuciłam się na sofę, chwyciłam jakąś książkę i udawałam, że czytam.

Zjawiałaś się i uratowałaś mi życie. Dlatego tutaj, w Nieświecie, ja musiałam uratować ciebie.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

– Myślałam, że wiesz – powiedziała, kręcąc głową. – Na przykład w Warwick, kiedy nagle zobaczyłaś mnie w magazynie. Wiedziałaś, że to ja usunęłam akta, prawda?

– Co takiego? – wyszeptałam.

– To nie Masonowie. Ja to zrobiłam. Ukryłam papiery w innym pudle, żeby nigdy ich nie odnaleziono. – Zrobiła krótki, drżący wdech. – Było w nich wszystko. Wiadomości, które wysłał ci Jim. Nie chciałam, żeby cię podejrzewali. Dlatego tak bardzo sprzeciwiałam się wyprawie do kamieniołomu. Nie chciałam, by odkryli prawdę. Jak tylko wylądowaliśmy, oddzieliłam się od grupy, żeby zdemontować drabinę przy budce brygadzysty, zanim reszta tam dotrze. Wspięłam się na wysokość piętnastu metrów, przy okazji zaliczyłam milion drzazg, ale wiedziałam, że po prostu muszę przedstawić spójny, niepodważalny scenariusz i zrobić to z takim przekonaniem, by nikt nawet nie pomyślał, że może nie jest prawdziwy.

– Co?

Przyglądała mi się z łagodnym uśmiechem.

– No przecież wiesz, Beatrice. Byłaś tam.

Ciarki przeszły mi po plecach.

– Widziałam cię, jak wracałaś z kamieniołomu. – Ścisnęła moją dłoń. – Nie musisz czuć się winna. Cokolwiek się wydarzyło, wiem, że miałaś swoje powody. Nigdy w to nie wątpiłam. Nie zmienię zdania.

Krew odpłynęła mi z twarzy. Czułam, że zaraz zwymiotuję.

– Jim kochał cię. Ale cię nie widział. Nie był do tego zdolny. To ty zawsze jego wspierałaś. Byłaś jego fundamentem. Jim potrafił być fascynujący, uzależniający. Kochałaś go, a rzadko widzimy ukochane osoby takimi, jakie są naprawdę. – Westchnęła, opuściła ramiona. – To właśnie dręczyło mnie najbardziej. Dlatego nie mogłam być twoją przyjaciółką. Dlatego nie mogłam przebywać blisko ciebie. Budziłaś we mnie wściekłość, Bee.

Pokręciła głową i spojrzała mi prosto w oczy. Jej twarz zdradzała z trudem powstrzymywane emocje.

– Już kiedyś widziałam coś podobnego. Przydarzyło się mojej siostrze. Kochała pewnego chłopaka i przez tę miłość siebie zawsze stawiała na

drugim miejscu. Zapomniała o sobie i to ją zabiło. Twoja miłość również była ślepa. Kazała ci robić niebezpieczne rzeczy. A to z kolei zabijało mnie.

– Martho, o czym ty mówisz?

– *Człowiek znikąd*, musical Jima. Wszyscy zachwycali się, jaki jest genialny. I był, zgadza się. Ale czy to nie dziwne, że nagle, po kilku miesiącach narzekania, kryzysu twórczego i użalania się nad sobą Jim nagle wyczarował takie dzieło, dosłownie na chwilę przed debiutem na Festiwalu Wiosennym? Magia, co?

Wciąż patrzyła na mnie z bardzo poważną miną.

– To ty czyniłaś czary.

Nie mogłam wydusić słowa. Czułam się tak, jakby nagle ktoś poświecił mi w oczy ostrym reflektorem.

– Pokazałaś mi te utwory tamtego wieczoru podczas zamieci. Ścieżki dźwiękowe do wymyślonych filmów. Nigdy ich nie zapomniałam. Zapisaly mi się w sercu. Rozpoznałam je momentalnie, kiedy Jim pokazał mi, co napisał. *Jesteś jak Château Margot, trufle i kawior, z wisienką tort.* – Martha pokręciła głową. – Jim bez skrpułów podał twoje słowa za własną twórczość. Może wspomniał, że je tylko pożyczca? Że później uzna twoje zasługi? Połykał wszystko dokoła i nie zostawiał po sobie nic. – Zmarszczyła nos. – Zabawne. Taki niby pełen energii, a wokół niego jakoś zawsze ziało chłodem. Zresztą, jego wielkie wizje własnej przyszłości zawsze przerastały faktyczny talent.

Wzruszyła ramionami ze zrezygnowaną miną. Moją pierś wypełniła gorąca fala.

– Jim nie ukradł mi tych tekstów – odparłam. – Sama mu je dałam. Leżały w szufladzie, w ciemnościach, bezużyteczne. Musiałam mu pomóc.

Martha wpatrywała się we mnie z taką intensywnością, że zakręciło mi się w głowie.

– Wszystko, co robiłam w Nieświecie – powiedziała – wszystkie rzeczy dobre, dziwnie absurdalne, wyczerpujące, to wszystko było dla ciebie. Kierowanie dyskusji na odpowiedni tor. Zadawanie ci podchwytliwych pytań, żeby uważali mnie za bezstronną. Odwracanie uwagi od oznak zgnilizny i zepsucia, które nieustannie pokazywały się wokół ciebie. Pleśń, tłukące się szkło, smoła, olej, walące się drzewa, budka brygadzysty... Jezu, Bee, jakbym próbowała ukryć krążącą wokół ciebie trąbę powietrzną. Wszystko z powodu twojej tajemnicy. Że byłaś tam tamtej nocy.

Pokręciła głową i zagryzła wargi.

– Poświęciłam się do tego stopnia, że chyba z milion godzin przegadałam z tym walniętym profesorkiem o przerażającym zaroście i cuchnącym oddechu, żeby nauczyć się sztuki perswazji, zaszczepić w ich umysłach przekonanie, że to ty musisz ocaleć, ponieważ tylko ty możesz opowiedzieć naszą historię.

Mój mózg jak krab niezdarnie pełzał po jej słowach, próbując odnaleźć w nich sens.

O czym ona mówi? Głosowałam na nią. To ona miała ocaleć.

– Nie mogłam ci powiedzieć, co robię, bo próbowałabym cię powstrzymać. Wszystko byś zepsuła. Chodziło o to, byśmy zbadali sprawę śmierci Jima, ale ty musiałaś pozostać poza podejrzeniami. Być nadal Siostrą Bee. – Znowu pokręciła głową. – Mówię ci o tym wszystkim, żebyś wiedziała. Żebyś zobaczyła prawdę. Bo każdy z nas ma jakieś słowa zapisane w notatnikach upchniętych na dnie ciemnej szuflady. Nie możesz ich oddać, Bee. Należą do ciebie. Jak odciski palców. Są jak twoje dzieci. Są światłem, które rozjaśnia ci drogę. Bez nich będziesz stracona.

Wyciągnęła rękę i delikatnym ruchem zatknęła mi luźne kosmyki za uszy.

– Nigdy więcej nie oddawaj nikomu własnych słów.

Martha. *Jak mogłam tak się pomylić.*

– Nieważne. – Zdjęła okulary, złożyła je, ostrożnie położyła na ławce. Uśmiechnęła się. – Rozdział siedemdziesiąty drugi. To dopiero początek.

A potem wstała i mrużąc coś, co brzmiało jak „okruchy”, skoczyła do wody, prosto na turkusową głębinę.

A ja siedziałam na ławce roztrzęsiona, nie mogłam się ruszyć.

Jak mogłam tak się pomylić.

Zerwałam się na równe nogi, zapatrzyłam się w wodę, przysłaniając oczy.

– Martha!

Nie został po niej żaden ślad.

Whitley i Kipling, pływający kilka metrów dalej, odwrócili się w moją stronę.

– Przed chwilą tu była. Martha. Muszę... muszę jej powiedzieć. Chcę, żeby wiedziała... – Odwiązałam cumę, chwyciłam wiosła i skierowałam łódź między drzewa.

– Martha! – wołałam przez łązy.

Skoczyłam do wody, zanurzyłam się w ciemność, w chłodną pustkę.

Whitley i Kipling wciągnęli mnie do łodzi.

– Przed chwilą tu była – szlochałam. – A teraz jest za późno. Za późno. Nie rozumiecie? Martha. Ona już nie wróci. Muszę jej powiedzieć. Odeszła, jest już za późno, by jej powiedzieć...

– Szsz – powiedziała Whitley, kołysząc mnie w ramionach i ocierając łzy z mojej twarzy. – Już po wszystkim, Bee. Rozejrzyj się. Prawie minęło.

—

Rozejrzyj się. Prawie minęło.

Gdyby tylko ktoś mi to wcześniej powiedział. O życiu. Gdybym zrozumiała.

Potem już nic nie mówiliśmy. Nie było potrzeby. Owinęliśmy się kocem i zapatrzyliśmy na wodę.

Cannon już był gdzieś indziej.

Słońce zaczęło zachodzić. Wyglądało jak czerwona pomarańcza z dziecięcych obrazków, delikatnie grzało nam twarze, przenikało do środka, wypełniało wszystkie czarne dziury, oświetlało każdy kąt. Kiedyś już tak się czułam, w Darrow, w jakiś całkiem zwyczajny wtorek, kiedy siedzieliśmy razem, a któreś z nich ubrało moje odczucia w słowa i świat nagle nabrał ostrości, jak to czasem bywa. Na chwilę zapadła cisza, przecucie wieczności pojawiło się w niciach naszego śmiechu przypominającego rozwiane końskie grzywy, w dotyku naszych złączonych ramion.

Coś się ze mną działo. Nie wiem, czy była to śmierć czy inny stan przynależny tajemnicy życia. W każdym razie to coś pchnęło mnie na dno łodzi i kazało patrzeć w szerokie żółte niebo. Kiplingowi i Wit zostało więcej czasu w ostatniej pętli, ale oni również mieli to w końcu poczuć. Widziałam, jak siedzą skuleni obok mnie, jak szepczą słowa, których nie mogłam usłyszeć, niepewni, ale pozbawieni lęku, ściskają ciepłymi dłońmi moje dłonie, czekając na to, co za chwilę nastąpi.

Nie zostawię ich. Nigdy.

Ale ich twarze rozplynęły się w zapadającym zmierzchu, a ja znalazłam się gdzieś bardzo daleko.

ROZDZIAŁ 26

Dryfowałam w mlecznej przestrzeni.

W moim gardle tkwił twardy przedmiot. Usłyszałam kroki.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna. – Trzyma się pani?

Usłyszałam klekotanie. Ktoś stał tuż obok mnie.

– Wiem, że to trudne. Jak już wczoraj mówiłem, będziemy postępować powoli, krok za krokiem. Wszystko wskazuje na to, że dzisiaj będziemy mogli ekstubować. Musimy sprawdzić, czy reaguje na polecenia.

Coś się działo. Dobiegły mnie stłumione szepty. Czyjaś ręka dotknęła mojego ramienia.

– Beatrice? Możesz otworzyć oczy?

Zamrugałam. Widziałam tylko rozmazane pasma kolorów.

– O mój Boże.

– Beatrice?

– Jest z nami...

– Bee?

– Możesz pokazać dwa palce?

Kręciło mi się w głowie. Pływałam w trzęsawisku. Próbowałam unieść rękę. Gardło płonęło.

– A teraz druga ręka. Świetnie. Porusz palcami u nóg.

Ktoś pochylał się nade mną. Nagle do moich oczu wdarł się strumień światła, gorąca szkarłatna kula zaczęła obijać się o wnętrze mojej czaszki.

Zamrugałam.

I zobaczyłam telewizor na ścianie. Lecił poranny program, jakiś wywiad, dźwięk był wyłączony. Data w dole ekranu nagle się wyostrzyła.

7:21, dziesiąty września.

Żyłam.

—

Kiedy znów zapadłam się w ciepłą wodnistą ciemność, przypomniała mi się ostatnia rozmowa z Marthą. Miałam wrażenie, jakby tu była dosłownie

przed chwilą. Jej wyznanie przewróciło wszystko do góry nogami. Chowałam ten sekret tak głęboko, że w końcu go pogrzebałam, ukryłam przed wszystkimi jak zaginiony samolot, który nagle rozplynał się w powietrzu bez śladu, aż niektórzy zastanawiali się, czy pasażerowie w ogóle kiedykolwiek istnieli.

Whitley nie miała pojęcia, jak bliska była prawdy.

Jak tak się zastanowić, wszyscy po trochu zabiliśmy Jima.

Nikt nigdy mnie nie wypytywał – ani przyjaciele, ani policja, ani rodzice. Nikt. Ponieważ byłam tą dobrą. Siostrą Bee.

Idę do kamieniołomu. Przyjdź.

W pokoju w internacie odsłuchiwałam wiadomość od Jima raz za razem, patrząc przez okno na pusty trawnik. Czułam się taka samotna. Kochałam go. I nienawidziłam. Nienawidziłam tego, że dzięki niemu w jednej chwili czułam się taka żywa, a w następnej nagle niewidzialna, jakby był magikiem, a ja królikiem w jego kapeluszu. Rozpaczliwie pragnęłam spotkać się z nim, wybaczyć mu, wygnać go z myśli. Wolałabym, żeby nigdy nie zobaczył we mnie niczego wyjątkowego. Perspektywa, że mogę go stracić, była zbyt bolesna.

Wyskoczyłam z łóżka, ściągnęłam pizamę i włożyłam seksowną bieliznę, na którą specjalnie oszczędzałam, i obcisłe krótkie spodenki z białego dzinsu, które Jim tak lubił oraz biały top od Gucciego z odkrytymi ramionami, pożyczony od Whitley. Zamierzałam przespać się z nim. To była głupia decyzja, ale jakże ekscytująca. Stanowiła konkret, którego mogłam się ucześcić jak liny holowniczej. Nałożyłam eyeliner i tusz, i czerwoną szminkę MACa, również pożyczoną od Whitley. Rozwiązałam koński ogon i dałam włosom opaść swobodnie na plecy. Włożyłam conversy, wrzuciłam do plecaka dwie świece, zerwałam narzutę z łóżka.

A potem ruszyłam do kamieniołomu.

Na szczęście byłam tak przejęta, że zostawiłam telefon na umywalce. Później miałam się dowiedzieć, że śledczy, sprawdzając połączenia, stwierdzili, że mój telefon nie ruszał się z tego miejsca przez całą noc. To zapewniło mi alibi. Ale nawet gdyby mnie przesłuchali, nie sądzę, by podejrzewali mnie o kłamstwo. Nikt nigdy nie podważał mojej prawdomówności.

Błąd.

Do kamieniołomu dotarłam kwadrans po północy. Jima nigdzie nie było

widać. Jeszcze nie przyjechał. Noc była chłodna, niebo przejrzyste, gwiazdy jasno świeciły. Zawsze spotykaliśmy się pod budką brygadzysty i razem wspinaliśmy się po drabinie. Tym razem sama weszłam na górę. Chciałam wszystko przygotować, zrobić mu niespodziankę. Nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę, zapomnę o wszystkim, wrócę do początków. Czułam również strach – strach, że znów z nim będę, strach z powodu wątpliwości. Zauważyłam, że niektóre gwoździe w drewnianych szczelkach się poluzowały, a kilku nawet brakuje, zwłaszcza na ostatnim odcinku.

Zatrzymałam się w połowie drogi i spostrzegłam, że nie dość, iż ręce mi się trzęsą, to jeszcze nie wiadomo kiedy i jak obtarłam sobie całą lewą łydkę. Krwawiłam i wyglądałam strasznie, jak obdarty ze skóry opos. Zaczęłam schodzić. Nie chciałam, żeby Jim zobaczył mnie w takim stanie. Byłam zepsuta, beznadziejna, brzydka, nie tak jak Vida Joshua. Vida Joshua była syreną. Pomyślałam, że powinnam wrócić do internatu. Tak by było najlepiej, najbezpieczniej.

Byłam już prawie na samym dole, gdy znów się zatrzymałam. Zaczęłam sobie wyrzucać, że jestem tchórzem, mięczakiem, że żyję tak *pianissimo*, jak zawsze powtarzał Jim. Dlaczego zawsze wszystkiego się bałam? Ruszyłam z powrotem w górę – *Carpe noctem!* Whitley zawsze wykrzykiwała to hasło, z głową odchyloną do tyłu. Chwytaj noc. Czemu ja przynajmniej raz nie miałabym spróbować? Dotarwszy na podest, zauważyłam, że sporo gwoździ w szczelkach ledwo się trzyma.

Zapaliłam świece w brudnym pomieszczeniu. Włączyłam lampę naftową stojącą na starym drewnianym stole, pokrytym setkami inicjałów wrytych przez uczniów Darrow. Rozłożyłam narzutę, rozebrałam się i czekałam.

Wkrótce usłyszałam Jima. Gadał do siebie, bełkotał.

Skoczyłam na równe nogi, owinęłam się narzutą, podeszłam do podestu i wyjrzałam.

Był w połowie drabiny, pijany, śpiewał, wymachując jedną ręką. To była piosenka z jego nowego musicalu, piosenka, której słowa ja napisałam.

*Pośród nocy drzewo rośnie,
ciemność w konarach gęstnieje.
Kiedy wreszcie prawdę dojrzę?
Ta trucizna mieszka we mnie.*

Ruszył dalej, mamrocząc coś pod nosem. Po cichu cofnęłam się do środka, ponownie rozłożyłam narzutę i położyłam się na niej. Jim będzie tu za kilka

sekund. To dzieje się naprawdę. Ta myśl wywołała we mnie dziwną pustkę. Czułam, że popełniam błąd. To było oczywiste. Powinnam trzymać się od niego z daleka. Powinnam spać teraz w swoim pokoju.

Nagle coś łupnęło i zagruchotało. Jim krzyknął.

Skoczyłam na równe nogi. Trzy szczeble oderwały się od drabiny. Jim ledwo się trzymał. Próbował chwycić się kolejnego szczebla, lecz nie sięgał. Z trudem łapiąc oddech, zdołał oprzeć nogę na poprzecznej belce łączącej nogi wieży.

– Bee? – Spojrzał na mnie. Czoło błyszczało mu od potu. – Dzięki Bogu. Bee. – Wyciągnął rękę. – Pomóż.

Zastygłam w bezruchu. Jim zaczął krzyczeć, jego twarz wykrzywił grymas.

– Beatrice! Co z tobą?! Podciągnij mnie! Beatrice!

—

Co się wydarzyło w ciągu tych czterech sekund?

Nigdy się nie dowiem.

Wszystko stało się bardzo szybko. Widziałam Jima, lecz nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać.

Z całego serca pragnęłabym powiedzieć, że powodowała mną wyłącznie panika, nie jest to jednak prawdą. Było coś jeszcze. Mała jaskinia w głębi mojego serca. Coś mi mówiło, że jeśli go uratuję, nigdy się od niego nie uwolnię. Może Martha miała rację. Może chodziło o to, że ukradł mi teksty, całe albumy, które podsunęłam mu, gdy szlochał, że jest zwykłym partaczem, że nigdy nie dorówna ojcu, że wszystko skończone, jego marzenia legły w gruzach. Podeszłam do szafki i wręczyłam mu całą kolekcję ścieżek dźwiękowych do wymyślonych filmów, jednaście zeszytów pełnych tekstów piosenek i rysunków, nad którymi pracowałam przez całe życie, bez celu i powodu, nie licząc tego jednego: były miejscem, w którym mogłam się ukryć. Może chodziło o to, jak zareagował – prychnął, jakbym podała mu długopis, chociaż wiedział, co te wiersze dla mnie znaczą, co znaczyły, i zaczął przepisywać je do swojego notatnika. Może chodziło o dręczące mnie pytanie: skoro z taką łatwością zabrał moje słowa, to może z czasem odbierze mi wszystko?

Wahałam się tylko przez krótką chwilę. Skoczyłam na równe nogi,

podbiegłam do drzwi, położyłam się na brzuchu na podeście, klinując stopy w progu i wyciągnęłam rękę.

Za późno.

Spadł. Głową uderzył w drewnianą belkę, czapka zsunęła mu się z głowy. Uderzył w ziemię z głuchym hukiem.

Leżał tam nieruchomo, daleko w dole, jego policzek znaczyła smuga krwi.

Kolejna minuta przypominała sen. Mój rozpadający się umysł z brutalną siłą uświadomił sobie, co się stało.

Jim nie żyje. Jim nie żyje. To nie dzieje się naprawdę.

Jak obłąkana zaczęłam biegać dokoła, roztrzęsiona i zapłakana. Zdmuchnęłam świece, wcisnęłam narzutę do torby, wskoczyłam w ubranie i zaczęłam schodzić, po cztery szczeble na raz, chyba cudem ominęłam ziejącą wyrwę w drabinie i skoczyłam w trawę.

Podniosłam się i spojrzałam na Jima.

Krew ciekła mu po twarzy. Oczy miał zamknięte. Był martwy. Nie miałam najmniejszych wątpliwości. Wiedziałam, że powinnam zadzwonić na policję. Chwyciłam plecak i zaczęłam szukać telefonu. Bez skutku. Czyżbym zostawiła go w budce? Spojrzałam w górę i stwierdziłam, że zapomniałam zgasić lampę naftową. W tym samym momencie zobaczyłam reflektory rozświetlające trawę jak błyskawicznie rozprzestrzeniający się ogień. Samochód. Pokazał się, podskakując na zrytej koleinami drodze, postukując luźnym dekle, przy wtórze muzyki buchającej z radia.

To był stary czerwony nissan pana Joshuy, z kartką NA SPRZEDAŻ przyklejoną do tylnej szyby.

Vida Joshua. Tak jak myślałam. Co ona tu robiła? Czyżby Jim wysłał do niej wiadomość, umówił się w tym miejscu z nią zamiast ze mną?

Wycofałam się w ciemność i rzuciłam biegiem przez wysokie trawy. Chciałam do domu. Do mamy. Odnalazłam dziurę w siatce i przeszłam na drugą stronę.

Vida znajdzie Jima i wezwie karetkę.

Nic mu się nie stanie. Wszystko będzie dobrze.

Nie pamiętam, jak biegłam przez las i przez kampus. Oprzytomniałam, pędząc po schodach na trzecie piętro internatu. Pobiegłam korytarzem do swojego pokoju. Pewnie właśnie wtedy widziała mnie Martha. Mieszkała na tym samym piętrze, może czytała coś w świetlicy. Wpadłam do pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i ściągnęłam ubranie. Wszyscy powtarzają, że

jestem dobrą osobą, miłą, a więc to chyba znaczy, że taka jestem? To znaczy, że zawsze postępuję słusznie.

Zawinęłam bieliznę od La Perli w bibułę i wcisnęłam na dno szuflady, wsadziłam top Whitley do szafy. Znalazłam telefon – nadal leżał na umywalce w łazience. Pokazywał dwie minuty po pierwszej. Nie było nowych wiadomości. Drżącymi rękami stałam szminkę, opłukałam twarz chłodną wodą, wyciągnęłam trawę i liście z włosów.

Nagle dotarło do mnie, co właściwie wyprawiam. Dlaczego nie dzwonię na policję? Muszę wrócić do Jima. Do mojej miłości. Zaczęłam wybierać numer, ale zmieniłam zdanie. Co niby miałabym powiedzieć osobie przyjmującej zgłoszenia?

Mój chłopak leży martwy w kamieniołomie Vulcan. Spadł. Wyślijcie karetkę.

Jesteś przy nim? Gdzie jesteś?

Uciekłam. Byłam zazdrosna o inną dziewczynę. Byłam wściekła. Kochałam go. Pokłóciliśmy się.

Cannon. Potrzebny był mi Cannon, specjalista od rozwiązywania problemów. Wybiegłam z budynku, przecięłam dziedziniec i wspięłam się na dąb, którego gałęzie sięgały do drugiego piętra budynku Marlborough. Zapukałam w szybę. Cisza. Otworzyłam okno. W pokoju nie było nikogo.

Kipling. Kipling mi pomoże. Zajmował pokój na wieży w budynku Eldred. Zeszłam z drzewa, pobiegłam na drugi koniec kampusu, wśliznęłam się przez wyjście ewakuacyjne, wbiegłam na górę schodami od tyłu. W jego pokoju również nikogo nie było. Potem pobiegłam do pokoju Whitley, zapukałam w okno. Jej również nie było.

Co tu się dzieje? Gdzie są wszyscy?

Martha. Biegając z powrotem do Creston, zobaczyłam, że w jej oknie na trzecim piętrze pali się światło, ale nagle wyobraziłam sobie jej obojętną reakcję, kiedy wyznam prawdę, przerażona i zapłakana. Ta wizja sprawiła, że pognałam prosto do pokoju, z sercem tłukącym się w piersi jak oszalałe zwierzątko.

Położyłam się i zapatrzyłam w sufit. Powtarzałam sobie, że powinnam zadzwonić do mamy, ale nie mogłam się poruszyć. W mojej głowie wybuchały pytania jak granaty: jeśli nie wpadłabym na pomysł spotkania z Jimem, czy on nadal by żył? Czy umówił się z Vidą? Czy poluzowałam szczeble drabiny, wchodząc i schodząc po niej kilka razy? Gdzie są moi

przyjaciele? Czy Jim zdołał zadzwonić do nich po pomoc, czy teraz są z nim, czy właśnie opowiada im, co zrobiłam, że pozwoliłam mu spać i uciekłam? Czy zabiłam Jima?

Stwierdziłam, że muszę wrócić do kamieniołomu. Stamtąd zadzwonię na policję. Wstałam, wciągnęłam dzinsy, T-shirt i wysokie buty. Biegłam przez całą drogę, gnana panicznym przerażeniem, pewna, że Moses mnie przyłapie. Dotarłam na miejsce po czwartej. Cała się trzęsłam. Podeszłam do budki – i zamarłam.

Jima nie było.

Nie został po nim żaden ślad.

Ani kropli krwi. Tylko kilka przygniecionych ździebeł. Nic więcej.

Vida znalazła go i zabrała do szpitala. Albo jakimś cudem zdołał wstać i odszedł, cały i zdrowy, co z kolei znaczyło, że teraz mnie nienawidzi.

Wróciłam do pokoju. Chciałam tylko umrzeć.

Następnego dnia czułam się jak zombie. Kiedy wracałam pamięcią do tej nocy, pokazywały się obrazy zniekształcone, niepełne, jakby stanowiły wytwór mojej wyobraźni. Co tak naprawdę się stało? Jima nigdzie nie było. Nikt go nie widział. Whitley, Kip i Cannon zachowywali się niby przyjaźnie, ale nieco sztywno. Twierdzili, że przez całą noc byli w swoich pokojach. Martha powiedziała, że zasnęła w bibliotece.

Następnego dnia gruchnęła wiadomość: Jima znaleziono martwego w jeziorze.

Nie mieściło mi się to w głowie. Co się stało, kiedy uciekłam? Co zrobiła Vida? Czy wszyscy moi przyjaciele kłamali? Czego się bali?

Aby znaleźć odpowiedzi na te pytania, postanowiłam pojechać do Wincroft.

I przez cały ten czas Martha znała mój sekret. Martha sprzątała po mnie i mnie chroniła.

Jak mogłam tego nie dostrzegać? Jak mogłam być tak ślepa?

—

Kiedy otworzyłam oczy, leżałam w szpitalnym łóżku. Teraz widziałam wszystko wyraźnie: jasnożółte ściany, stoliki i blaty, klimatyzator, wazon z kwiatami, pluszowy miś z balonikiem ozdobionym napisem WRACAJ DO ZDROWIA. Taca ze szpitalnym jedzeniem, różowy kubek ze słomką.

Już nic nie tkwiło w moim gardle, ale było ono wysuszone i obolałe.

– Obudziła się – wykrzyknęła mama, odwracając się od okna.

– Moja najukochańsza Bee – powiedział tata.

Podbiegli do łóżka, patrząc na mnie z niepokojem. Mama ścisnęła w rękę garść chusteczek, jej włosy sterczały we wszystkie strony, przygniecione od spania na krześle. Tacie przybyło siwych włosów.

– Nie próbuj mówić – powiedział. – Już wszystko dobrze. Jesteś w szpitalu Miriam w Providence. Miałaś wypadek samochodowy, doznałaś urazu głowy. Powstał krwiak. Lekarze wszystkim się zajęli, będziesz zdrowa.

Domyśliłam się, że tata poinstruował mamę, żeby nie mówiła za dużo, bo teraz tylko kiwała głową, walcząc ze łzami.

Powiedzcie, że moi przyjaciele żyją. Że leżą w sali obok.

– Odpoczywaj – powiedziała mama, ściskając moją rękę.

Spojrzałam ponad jej ramieniem, na ścianę z oprawionym w ramki zdjęciem przedstawiającym plażę i tablicą, na której napisano *Twoja pielęgniarka dyżurna to LAURIE*.

Na krześle przy drzwiach siedział kościsty nastolatek z potarganą blond czupryną. Patrzył na mnie. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jest to Senny Sam, ten Anglik, z którym pracowałam przez całe lato we Wronie.

Mama pobiegła spojrzeniem w tę samą stronę.

– Chyba pamiętasz Sama.

– Przychodzi codziennie, czyta ci – powiedział tata.

Sam podszedł do łóżka.

– Bardzo się cieszę, że otworzyłaś oczy, Bee. Witaj z powrotem.

Tata położył mu dłoń na ramieniu.

– Sam jest lektorem światowej klasy. Kto by pomyślał? Potrafi mówić różnymi głosami. Pięćdziesiąt postaci? Bułka z masłem. Mógłby zrobić karierę na West Endzie.

I wtedy spojrzałam na książkę, którą Sam trzymał pod pachą. Na srebrnej okładce widniał kolaż z ptasich klatek, parowozów, i zarumienionych postaci w cylindrach. *Legendarna kultowa saga o przyszłej przeszłości. Teraźniejszych tajemnicach. I wiecznej miłości na końcu świata.*

Tytuł wywołał u mnie ciarki.

Mroczny dom na zakręcie.

– Dzień dobry, Beatrice.

Do pokoju wszedł siwowłosy lekarz w białym fartuchu i zielonym

uniformie. W rękę trzymał podkładkę do pisania i papierowy kubek z kawą. Towarzyszyła mu Azjatka, również ubrana w biały fartuch.

– Witamy – powiedział. – Pozwól, że się przedstawię. Jestem jednym z twoich lekarzy. Doktor Miller. Miło mi wreszcie poznać.

Pochylił się nade mną i poświecił mi w oczy. Kiedy spojrzałam z bliska na jego twarz, zabrakło mi tchu.

Rozpoznałabym go wszędzie. Wyrył się w mojej pamięci, wiedziałam, że już zawsze, ilekroć zamknę oczy, stanie przede mną jak żywy: zielone, wszyszkowidzące oczy, ciemny baryton, eleganckie, zblazowane ruchy emerytowanego baletmistrza, będące rezultatem tysięcy godzin ćwiczeń i bólu.

To niemożliwe.

– Kiedy będzie można ją przenieść do ośrodka rehabilitacyjnego? – spytała mama.

– Za kilka dni. Ma jeszcze słabszą lewą stronę ciała, możliwe są problemy z pamięcią krótkotrwałą, ale wszystko powinno wrócić do normy. Może to jednak potrwać nawet kilka miesięcy.

Stróż.

Kazał mi podnieść ramiona, wyciągnąć trzy palce, zgiąć kolana. Zapytał, czy wiem, który mamy rok, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, ile mam lat. Kręciło mi się w głowie. Ledwo mogłam się skupić na tym, co mówił, gapiłam się z niedowierzaniem na jego twarz. Postawił papierowy kubek na stojącej przede mną tacy. Zakołysała się etykieta od torebki z herbatą.

Potem chwycił kubek, upił i obrócił się na pięcie. Powiedział coś cicho do moich rodziców, a oni ruszyli za nim. A potem wyszedł, zniknął za drzwiami.

ROZDZIAŁ 27

Rodzice nie mieli wyjścia, musieli mi powiedzieć – chociaż i tak wiedziałam.

Kipling St. John.

Whitley Lansing.

Cannon Beecham.

Martha Ziegler.

Wszyscy zginęli.

Przeniesiono mnie do ośrodka rehabilitacyjnego, w którym spędziłam sześć tygodni. Spacerowałam po wyłożonych linoleum korytarzach, wsparta na regulowanej lasce z miękkim uchwytem, ćwiczyłam wchodzenie i schodzenie po schodach oraz unoszenie lewego ramienia, które drżało i trzęsło się, jakby kierował nim osobny umysł. Pierwszego wieczoru po kolacji zajrzałam do powszechnie dostępnego komputera i przeczytałam wszystko, co udało mi się znaleźć na temat naszego wypadku.

Pisali o nim w *Providence Journal*, *Warwick Beacon* i *USA Today*. We wszystkich artykułach pojawiało się dokładnie to samo sformułowanie: „wstrząsająca śmierć młodych ludzi”. O wypadku wspomniano również we wstępie do *Republic Nation*, mówiącym o jeździe po pijanemu i częstym występowaniu tego zjawiska wśród społeczności Nowej Anglii o rosnącej liczbie bezrobotnych. We wszystkich artykułach na samej górze widniało zdjęcie Whitley, podręcznikowej martwej blondynki z marzeń, a potem portrety Cannona, Kiplinga i Marthy – zawsze z uwagą, że otrzymała pełne stypendium na Uniwersytecie Technicznym w Massachusetts. Moje imię wymieniano na samym końcu – imię jedynej ocalałej, dziecka losu.

Ich profile na Facebooku zmieniły się w tablice pamiątkowe. Nie czułam zdziwienia. Tak samo stało się w przypadku Jima. Dzieciaki, których w Darrow ledwo znali i znajomi z rodzinnych miast umieszczali wiadomości w rodzaju *mam złamane serce* czy *świat jest teraz pusty*, ozdobione emoji symbolizującymi modlitwę, anonimowi użytkownicy dzielili się refleksjami w stylu *życie jest cierpieniem* i GIF-ami z Heathem Ledgerem.

Przegapiłam pogrzeby, bo leżałam wtedy w szpitalu. Ale czytałam o nich. Wszystkie lokalne gazety umieściły dodatkowe artykuły na temat tragedii (bo

te pierwsze zebrały całe mnóstwo lajków i udostępnień), ozdobione na przykład zdjęciem któregoś z członków rodziny o zaczerwienionych oczach, czytającego wiersz na kazalnicy. Z tyłu na sztalugach stało powiększone zdjęcie Kiplinga/Cannona/Marthy/Whitley, widoczne na ich twarzach szczęście i nieświadomość nadchodzącej przyszłości dobitnie przypominały, że w życiu często napotykałyśmy na ostre zakręty.

Linda Tolledo przemawia podczas nabożeństwa pogrzebowego swej córki, Whitley Lansing, która zginęła w wypadku samochodowym.

Były też zdjęcia z miejsca wypadku, niekończąca się procesja kwiatów, fotografii, świec i pluszowych misiów ciągnąca się wzdłuż nadmorskiej drogi. Ludzie robili zdjęcia i zamieszczali je w necie z hashtagami w rodzaju #rip i #nigdyniezapomnimy.

Policja powiedziała moim rodzicom, że nie cierpieli. Zginęli na miejscu, w chwili zderzenia.

Ja przeżyłam tylko dlatego, że nie zapięłam pasa. Wyrzuciło mnie z fotela prosto w krzaki, a reszta została w samochodzie, który stoczył się do wąwozu.

Nikt nie znał prawdziwej przyczyny mojego ocalenia: w ciągu sekundy przeżyłam całą epokę. Umierałam tysiące razy. Poznałam i pokochałam czwórkę ludzi, w sposób, który zdarza się nielicznym. Nazywałam domem miejsce, gdzie szczegóły takie jak życie i śmierć nie mają znaczenia, gdzie liczą się tylko kruche chwile połączenia między nimi.

A potem możesz czuć tylko zdumienie i zachwyt każdą sekundą swojego małego życia.

—

I zaczęło się moje życie poza Nieświatem.

Różniło się od tego, które zapamiętałam. Bo ja się zmieniłam.

I nie chodziło tylko o bliznę w kształcie odwróconego znaku zapytania, otaczającą czaszkę nad moim prawym uchem. Bliznę dało się zakryć włosami – ale była tam, jeśli chciało się ją znaleźć. Mój tatuaż, memento. Sprawiałam teraz wrażenie pewnej siebie, może nieco zbyt poważnej. Już nie zagryzałam warg, nie zakładałam włosów za ucho. Przestałam się przejmować, czy ludzie mnie lubią, czy jestem ładna, czy popełniłam błąd. Nie bałam się jeść sama przy stoliku w zatłoczonej stołówce ani zagadać do

przystojnego nieznajomego, śpiewać w karaoke, chodzić na rozmowy kwalifikacyjne i przemawiać publicznie. Wszystkie sprawy, którymi tak przejmują się ludzie w tym świecie, niepotrzebnie marnując czas – Nieświat mnie od nich uwolnił. Nie spieszyłam się, by za wszelką cenę wypełnić ciszę. Pozwalałam jej trwać, jakby była misą z owocami stojącą na stole.

Znajomi rodziców szeptali: Beatrice wyszła ze skorupy, i: To dla was na pewno wielka ulga. Nie mogli się nadziwić, słysząc, że przeniosłam się do Boston College, jako przedmioty kierunkowe wybrałam teorię muzyki i historię sztuki, pracuję na część etatu w firmie produkującej gry wideo i w ramach wolontariatu czytam książki na dobranoc osieroconym dzieciom.

Właśnie tym dzieciom opowiedziałam o Nieświecie.

Poza tym nikomu, nawet rodzicom. Coś mi podpowiadało, że te dzieci o oczach wielkich jak spodki, z wiedzą na temat ciemności, z królestwami poranka i gry w chowanego, drzemkami i miłością do słodyczy, że ze wszystkich ludzi na świecie właśnie one rozumieją. Opowiedziałam, że pewnego razu trafiłam do najbardziej obłąkańczego miejsca, tajemnej fałdy wszechświata. I że pewnego dnia oni również mogą tam trafić, do sennej krainy zagubionej między życiem a śmiercią, gdzie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość tworzą dżunglę, a piekło może stać się niebem w mgnieniu oka.

– Jak tam trafić? – zapytała szeptem jedna z dziewczynek.

– Jeśli zostaniesz wybrana, to miejsce samo cię odnajdzie. Cały myk polega na tym, żeby się nie bać. Bo w sumie tamten świat nie różni się aż tak bardzo od tego, który znamy.

Czy Nieświat istniał? A może stanowił skutek uboczny mojego urazu, *krwiaka podtwardówkowego z prawej strony czaszki, wymagającego kraniotomii w celu chirurgicznego usunięcia*, jedenastu dni spędzonych w śpiączce, intubacji i podawanych lekarstw. Sam czytał mi książkę. Jeden z lekarzy wyglądał jak Stróż. Czy to wszystko wydarzyło się tylko w mojej głowie? Czy to moje zmysły, kiedy leżałam pogrążona we śnie, wyciągnęły szczegóły z hałaśliwego, ruchliwego świata wokół mnie i utkały z nich rzeczywistość, która istniała tylko w mojej wyobraźni?

Oczywiście Nieświat był prawdziwy, chociaż nie umiałabym tego dowieść.

Próbowałam. Próbowałam potwierdzić wszystkie sekrety. Odkryłam, że pewne rzeczy się zgadzają – pani Kahn naprawdę mieszkała przy drodze do Wincroft i zbierała śnieżne kule, istniała ekskluzywna marina o nazwie

Przystań Davy'ego Jonesa, istniał również Ted Daisy zamieszkały w Cincinnati i oficer Channing pracująca na komisariacie w Warwick, w drogówce – ale inne rzeczy nie. W Internecie nie było żadnej wzmianki o Estelli Ornato. Bar Kurczaki Smażone z Miłością, owszem, kiedyś istniał, ale zastąpił go Foot Locker. A Biały Królik, Indiański Dywanik – tych szczegółów nie miałam jak sprawdzić.

Mnóstwa kropek, które wtedy połączyliśmy, nie dało się połączyć w tym świecie.

Jedynym realnym dowodem na istnienie Nieświata był czas. Dla mnie już nie płynął w prostej linii. Od czasu do czasu zapętleł się i tracił równowagę. Godzina mijała w mgnieniu oka. Siedziałam na wykładzie historii, pogrążona w myślach i nagle rozległ się dzwonek i stwierdzałam ze zdumieniem, że wszyscy się pakują i wychodzą, a tablica jest pokryta notatkami z godzinnego wykładu, chociaż przecież była czysta zaledwie kilka sekund temu.

Rozglądałam się, szukając wzrokiem Stróża, wyobrażałam sobie, że może właśnie pochyla się nad rabatką i sadi cebulki tulipanów, może stoi na drabinie i przycina bluszcz – bo dobrze wiedziałam, czym są te dziwne momenty odklejenia od rzeczywistości: reperkusjami Nieświata, destabilizacją, przed którą ostrzegała Martha.

Moja lokomotywa lekko ślizgała się na torach.

Nadal myślałam o Jimie. Ale nie był już prześladowającym mnie duchem. Widziałam go jako chłopca, pięknego i nieukształtowanego, jak my wszyscy. Widziałam nasz wspólny czas chyba bardziej zgodnie z prawdą niż wcześniej: jako coś między dzikim wyobrażeniem miłości a autentycznym uczuciem. Czasem odnajdywaliśmy się nawzajem w tej dziwnej mieszance i te chwile były prawdziwe. A czasem cała konstrukcja drżała i wyrwała nam się z rąk jak latawiec na zbyt cienkim sznurku. Gdyby Jim nie zginął, być może nasza miłość przestałaby istnieć, zgasiłaby światła, podobna do karuzeli na wesołym miasteczku, do muzyki, która cichnie, a zagrana po pewnym czasie, okazuje się mniej zachwycająca niż we wspomnieniu. Pewnie nikt by o nas nie pamiętał. Po dwudziestu latach odnaleźlibyśmy się na Facebooku czy tym, co zapewne po nim nastąpi, i dziwilibyśmy się, jakie wszystko stało się zwyczajne, jak blask chwały, który mieliśmy zobaczyć kiedyś w swoich oczach, zgasł bezpowrotnie.

Codziennie myślałam o czwórce moich przyjaciół. Czasem, kiedy zamknęłam oczy, czułam ich obecność. Wyobrażałam sobie, gdzie mogą

teraz być. Bo gdzieś byli. Razem. To wiedziałam na pewno. Modliłam się o szczęście dla nich – czy stan być może wykraczający poza ludzkie pojęcie szczęścia.

Myślę, że tam właśnie byli.

Przede wszystkim myślałam o Marcie, o tym, jaka była i co dla mnie zrobiła. Zaciągnęłam u niej dług i pamiętałam o tym w każdej minucie swego życia. Czasami czułam z tego powodu smutek i zniechęcenie, odmawiałam wyjścia na imprezę, niedzielną pizzę czy Festiwal Wiosenny, zaszywałam się sama w pokoju, rysowałam i pisałam teksty, z bolesną świadomością, że nigdy nie dostrzegamy tak naprawdę tych, którzy nas zmieniają – dopiero kiedy jest za późno.

Pamiętałam, jak Jim powtarzał, że pewnego dnia stwierdzę ze zdumieniem: *Przyjaźniłam się z Martha Zeigler. Bo Martha będzie wielka.*

Miał rację.

Nie powinnam była ocaleć. To powinna być Martha. Nigdy nie byłam dobrą osobą. Wielu rzeczy nie dostrzegałam takimi, jakie były naprawdę. Ale tego nauczyła mnie Martha. Przysięgamy, że widzimy się nawzajem, ale tak naprawdę patrzymy na ocean przez małe okrągłe okienko. Wydaje nam się, że widzimy prawdziwą przeżytą przeszłość, ale nasze wspomnienia są równie fantazyjne i nieskładne jak sny. Łatwo jest nienawidzić piękności, ubóstwiać geniusza, kochać gwiazdę rocka, ufać dobrej dziewczynie.

Ale historia każdego z nas jest znacznie bardziej skomplikowana.

Jesteśmy antologiami. Każdy z nas liczy tysiące stron, wypełnionych baśniami i poezją, tajemnicami i tragediami, zapomnianymi opowieściami upchniętymi gdzieś na końcu, których nikt nigdy nie przeczyta.

Możemy tylko podać sobie ręce i nawzajem pomóc przejść przez nieznanne. Bo w naszych złączonych dłoniach odnajdziemy ścieżki pośród ciemności, wśród dżungli i miast, mosty zawieszane nad najgłębszymi przepaściami. Twój przyjaciele będą kroczyć obok ciebie, towarzyszyć ci i ścisnąć twoją dłoń z całej mocy, nawet jeśli ich zabraknie.

—

Dwa lata po wypadku ukazała się jedna z moich ścieżek dźwiękowych, w niewielkim wydawnictwie spod Minneapolis. Nawet oni nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić. Rynek albumów z muzyką do nieistniejących

filmów jest raczej skromny.

Kiedy dostałam od wydawcy cztery egzemplarze, zerwałam się z zajęć i pojechałam pociągiem do St. Louis, a tam przesiadłam się w autobus do Winwood Falls. Pieszko przeszłam półtora kilometra wzdłuż różowych ceglanych posiadłości z fontannami w kształcie muszli, aż dotarłam na cmentarz Ardenwood. Posługując się mapą, odbyłam samodzielną wycieczkę krajoznawczą po mauzoleach sławnych pisarzy i rekinów przemysłu, by po chwili skręcić w stronę nowszej części.

Grób Whitley leżał na wzniesieniu, na końcu kamienistej ścieżki. Kiedy stanęłam przed marmurowym nagrobkiem, rozplakałam się, bo cytat, który na nim widniał, wybrany przez Lindę, pochodził z jednej z najlepszych piosenek Jima, *Nieśmiertelnej*. Skoro Linda zadała sobie tyle trudu, przeszukała Instagram Whitley i odnalazła ten tekst, być może myliłam się również co do niej. Może jednak rozumiała córkę.

Jest świetlikiem w mojej głowie
niewypowiedzianym słowem
obrazem w pamięci
który żyje wbrew śmierci.
I nawet gdy ciemność zapadnie
ona w echu ciszy
będzie istnieć dalej.

Postawiłam płytę obok kwiatów i odeszłam.

Następnie wsiadłam do kolejnego pociągu, tym razem do Nowego Orleanu, a potem do autobusu z zepsutą klimą do Moss Bluff, miasteczka obrośniętego mchem hiszpańskim, który sprawiał, że wszystkie ulice wyglądały, jakby pokrywał je niedbały trzydniowy zarost. Stamtąd przeszłam pieszo dwanaście kilometrów do domu Kiplinga.

Ku mojemu zaskoczeniu wyglądał dokładnie tak jak opisywał go Kip: rozłożyste białe domiszcze pokryte odłazającą farbą. Po dziedzińcu przechadzał się biały paw. Zawsze myślałam, że Kip przesadza, ale okazało się, że przeciwnie, pominął sporo barwnych szczegółów, takich jak zielony cadillac na środku podjazdu, z podłogą porośniętą wystającymi chwastami jak kłaki wyrastające z uszu starca.

Zostawiłam płytę na huśtawce na ganku. Odchodząc, obejrzałam się

i zobaczyłam siwowłosą kobietę w zielonej podomce. Spojrzała na płytę, a potem ze zdziwieniem na mnie.

Następnie Los Angeles: dwa dni w pociągu, toczącym się wzdłuż pustyni, palm i centrów handlowych, potem autobus do Montecito. Wsunęłam płytę do skrzynki pocztowej przy kremowym domu w stylu wiktoriańskim – domu Cannona – i szybko zbiegłam po schodach, bo włączył się alarm. Mężczyzna podlewający trawnik po drugiej stronie ulicy przerwał pracę i popatrzył za mną.

Trzy dni później dotarłam do Providence na Rhode Island. Przeczytałam siedem powieści kryminalnych i dwanaście czasopism, skończyła mi się czysta bielizna, a kark całkiem mi zeszywniał. Pokonałam te sześć ostatnich kilometrów przepełniona dziwnym spokojem i dotarłam do warsztatu samochodowego Zieglera o zmierzchu.

W recepcji nie zastałam nikogo. Część światel już wyłączono. Zostawiłam płytę na parapecie, obok tabliczki z napisem KAWA 99 CENTÓW. Już miałam sobie pójść, gdy otworzyły się drzwi do warsztatu.

– Czym mogę służyć?

Odwróciłam się. To był tata Marthy. Wprawdzie nigdy wcześniej go nie widziałam, ale miał taki sam podbródek, takie same grube okulary. Był ubrany w poplamiony benzyną kombinezon, wycierał dłonie w szmatę.

Przedstawiłam się, mówiąc, że jestem przyjaciółką Marthy.

– Ależ oczywiście. Beatrice, zgadza się? Jak miło. Rzadko mam okazję spotkać jej znajomych.

– Przyjechałam, ponieważ wydałam płytę. Tak jakby. Chciałam dać ją Marcie. To ścieżka do nieistniejącego filmu o czworgu niesamowitych superbohaterach obdarzonych ukrytymi mocami. Nieważne, w każdym razie chciałam, by jeden egzemplarz trafił do pana.

Podałam mu płytę. Wziął ją do ręki, obrócił. Zdjął swoje grube szkła i włożył okulary do czytania.

– Ach. – Spojrzał na mnie z zaskoczeniem. – Dedykowałaś ją Marcie?

Przytaknęłam.

– *Dla Marthy. Która widziała mnie naprawdę i mimo wszystko wierzyła.* Coś podobnego. – Uśmiechnął się i, wskazując na recepcję, dodał: – Wiesz, powiesiłem jej plakaty w poczekalni. Zawsze snuła wizje świata istniejącego gdzieś poza naszą rzeczywistością. Już jako mała dziewczynka. Niewiele rzeczy mogło ją przerazić.

Pokazał mi rzeczy Marthy, rysunki z dzieciństwa, zbiór obrazów przedstawiających sowę o fioletowych piórach, projekt maszyny latającej, którą skonstruowała. Pokazał mi również prace starszej siostry Marthy o imieniu Jenny, która malowała niesamowite widoki oceanów, kryjące pośród fal całe królestwa i światy z atramentu.

– Wszystko, co mamy, jest pożyczone – powiedział, ocierając łzy. – Nawet nasze dzieci.

Zaproponował piwo, ale odmówiłam i dodałam, że muszę już iść.

– Może jeszcze kiedyś przyjadę.

– Oczywiście. Jesteś zawsze mile widziana.

Patrzył za mną, obracając płytę w dłoniach i zapewne wyczuwając, że nie powiedziałam mu wszystkiego.

A potem wsiadłam do autobusu. Patrzyłam przez okno na ciemniejące niebo. W pewnym momencie dostrzegłam smugę pomarańczowego światła na horyzoncie – ale to tylko światła ciężarówki odbiły się od dachu autobusu. Szum liści brzmiał dziwnie żywo i elektryzująco, inaczej niż zwykle i chociaż bardzo chciałam wierzyć, że oto znów otwiera się przede mną jakiś ukryty świat, opadłam na oparcie fotela i powiedziałam sobie w myślach, jak jest naprawdę.

Tym razem to był tylko wiatr.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować mojej wydawczyni, Beverly Horowitz, która była mi przewodnikiem podczas mojej pierwszej wyprawy do świata książek dla młodzieży. Przez cały ten czas, poczynając od naszej pierwszej rozmowy trzy lata temu i wielu próbnych szkiców, jej mądrość, humor, spostrzegawczość i drobiazgowość stanowiły dla mnie prawdziwą lekcję i inspirację. Wiele zawdzięczam także mojej agentce i przyjaciółce Binky Urban, która towarzyszyła mi na nieznanym terytorium i zawsze służyła niezawodną radą i wiedzą.

Jestem ogromnie wdzięczna wielu twórczym osobom z wydawnictwa Delacorte Press, które niezmordowanie pracowały dla dobra tej książki, zwłaszcza Noreen Herits, Johnowi Adamo, Colleen Fellingham, Alison Kolani, Tamar Schwarz i Rebecce Gudelis. Dziękuję również Kate Medinie i ekipie z Penguin Random House, których oddanie pisarzom i czytelnikom, niezależnie od panujących trendów, zawsze budzi podziw.

Podziękowania niech przyjmą także Felicity Blunt, Roxane Eduard i Mairi Friesen-Escandell za to, że dotarły z tą książką do czytelników za granicą, Ron Bernstein za wiedzę z zakresu prawa autorskiego i adaptacji filmowych, Brenda Cronin, Seth Rabinowitz i Nicole Caruso, moi powiernicy i doradcy, a także Anne Pessl, mistrzowska pierwsza czytelniczka, wyszukiwarka wszelkich słabych punktów i supermama.

A najszczególniejsze podziękowania należą się moim trzem Parkom, Davidowi, Winter i Avalon, których wizja świata i szacunek do wszelkich opowieści, dużych i małych, są dla mnie źródłem codziennej radości.

Wreszcie chcę podziękować wszystkim młodym czytelnikom, którzy wybierają moje książki w księgarni. To wasza pasja do postaci, które dodają sił i zwięzają, zainspirowała mnie do napisania tej historii.

O AUTORCE

MARISHA PESSL napisała również *Nocny Film* i *Wybrane zagadnienia z fizyki katastrof*, debiutancką powieść, która cieszyła się ogromną popularnością i otrzymała pierwszą nagrodę Center for Fiction oraz trafiła na listę dziesięciu najlepszych książek roku w *New York Times Book Review*. Marisha mieszka w Nowym Jorku z mężem i dwójką dzieci. Odwiedź ją na MarishaPessl.com, na Facebooku i obserwuj na Twitterze i Instagramie.

[1](#) Hedy Lamarr (wł. Hedwig Kiesler, 1914-2000) zyskała rozgłos jako aktorka. Podczas II wojny światowej, kiedy wycofała się na pewien czas z filmu, wykorzystała swoje zdolności z obszaru nowoczesnej techniki, szczególnie systemów łączności radiowej. Jej wynalazki do dziś stanowią element powszechnie stosowanych sieci radiowych, znajdują też zastosowanie w US Navy.